

MH
WROCZNE HISTORIE

PIOTR
SOWIŃSKI

MARCOWO

KONCÓWKA LAT 60-TYCH XX WIEKU, MARTWA
CZTERNASTOLETNIA DZIEWCZYNA I ŚLEDZTWO
LIJAWNIĄCE NIETYPOWE FORMY RELACJI MIĘDZY
NĄ A DUCHOWNYM KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO.
ANTYSEMICKA NAGONKA, TRUDNE UKŁADY
NA LINII PRL-KOŚCIÓŁ, A TO WSZYSTKO
OSADZONE W REALIACH ÓWCZESNEJ ŁÓDZI

MH
MOCNE HISTORIE

PIOTR,
SOWIŃSKI

MARCOWO

Copyright © by Piotr Sowiński, 2022
Copyright © by Wydawnictwo WasPos, 2023

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone, zabrania się kopiowania oraz udostępniania publicznie bez zgody Autora oraz Wydawnictwa pod groźbą odpowiedzialności karnej.

Redakcja: Kinga Szelest

Korekta: Aneta Krajewska

Projekt okładki: Agnieszka Przyłucka

Zdjęcie na okładce: © by Aramyan/iStock

Ilustracje wewnątrz książki: © by pngtree.com

Skład i łamanie oraz wersja elektroniczna: Adam Buzek/skladpublikacji@o2.pl

Wydanie I – elektroniczna

ISBN 978-83-8290-278-5

Imprint Mroczne Historie

Wydawnictwo WasPos

Warszawa

Wydawca: Agnieszka Przyłucka

kontakt@waspos.pl

tel:691962519

www.waspos.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

Łódź, koniec lutego 1968 roku

- A może pojedziemy do Bułgarii? - Halina z wdziękiem położyła na stole „Głos Robotniczy”.

Siedzieli w jasno oświetlonym, niedużym pokoju wyposażonym w połyskującą meblościankę, zieloną wersalkę z lakierowanymi obiciami, ciężki telewizor na rozchybotanych nóżkach i kilka rachitycznych paprotek. Powietrze pachniało inką.

- Zobacz! - dodała i postukała palcem w gazetę.

W „Głosie Robotniczym” zamieszczono reklamę biura Orbis zlokalizowanego przy ulicy Piotrkowskiej sześćdziesiąt osiem.

- Tylko spójrz. Osiemnaście dni, przejazd w wagonach sypialnych, cztery tysiące sto osiemdziesiąt złotych, ale musimy się zdecydować bardzo szybko, bo to jest promocja. - Przymknęła powieki, zamyśliła się, a po chwili dodała: - Marzą mi się Złote Piaski. Nigdy nie byliśmy za granicą, a przecież od marca będziesz mieć wyższą pensję, kapitańską.

Popatrzyła na niego z nieukrywaną dumą. Miał na sobie nowy mundur i wpatrywał się w nią. Kochał ją bardzo.

- Pensja będzie wyższa, ale i wydatki się szykują - zauważył roztropnie Banasik. - Płaszcz musisz mieć nowy. W ten stary raczej się z brzuchem nie wciśniesz, a maj może być chłodny, podobnie jak wrzesień, kiedy będziesz szła rodzić.

- Wystarczy mi kapota z laminatu, nie musi być z wełny - zareagowała szybko.

- Z wełny kosztuje tysiąc pięćset złotych, a z laminatu siedemset. Tak czy inaczej to jest potężny wydatek.

Zrobiła ponurą minę. Wiedział, że tak będzie, i przygotował się na to. Sięgnął do kieszeni munduru.

- Ale za to dwunastego marca pójdziesz na koncert Trubadurów.

Na blacie wylądował bilet.

- Kochany jesteś! - wykrzyknęła i niemal podskoczyła z radości.

- Uspokój się. Jesteś w ciąży.

- Ale... - Zawiesiła wzrok na kartoniku - Dlaczego jest tylko jeden bilet? Nie idziesz ze mną?

- Mam czterdzieści trzy lata i jestem oficerem MO. Nie wypada mi słuchać jakichś szarpidrutów. Moje serce bije w rytmie przebojów Miecia Fogga. - Uśmiechnął się.

Następnego dnia w komendzie odbywała się uroczystość. Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej świętowała swe dwudziestolecie. Banasik setnie się ubawił, gdy usłyszał, że ormowcy wysłużyli równe sześćset sześćdziesiąt sześć tysięcy godzin. Pomyślał, że dla Wyszyńskiego z pewnością jest to jednoznaczny dowód na powiązania socjalizmu z szatańskimi mocami.

Koledzy potraktowali jubileusz jako okazję do solidniejszej biesiady, ale świeżo upieczony kapitan był gorliwym abstynentem. W związku z tym teraz nie bardzo wiedział, jak się zachować. Na szczęście z opresji wybawił go pułkownik Borodziej.

- Jak się, obywatelu, czujecie w mundurze kapitana?

- Przyzwyczajam się.

- Musimy porozmawiać.

Po chwili siedzieli w gabinecie pułkownika.

- Dzisiaj jest uroczystość, ale wy, towarzyszu, i tak przecież nie pijecie. Prawda?

- Nie piję - przytaknął, uniósłszy podbródek, Banasik.

- Może to i dobrze. - Przełożony uśmiechnął się prawie niezauważalnie i dodał: - Ale nie o alkoholu chciałem z wami porozmawiać.

- A o czym?

- Widzicie, pojawił się nowy trop w sprawie Sobczakówny.

- Przecież prokurator umorzył postępowanie.

- O to się właśnie rozchodzi! Śledztwo jest umorzone, ale pojawił się nowy świadek.

- Przesłuchaliśmy połowę Łodzi.

- My, znaczy się milicja, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale... - Zawiesił głos i lekko się skrzywił.

- Ale co? Nie rozumiem.

Borodziej westchnął, oparł się mocniej na krześle i popatrzył na kapitana, mrużąc oczy.

- Otóż ten świadek pojawił się późno - powiedział. - Przez długi czas nie było go w Łodzi. W ogóle nie jest mieszkańcem miasta. Nie miał nawet pojęcia, że ma wiedzę, i to być może kluczową dla sprawy.

- A teraz już wie, że ma taką wiedzę?

- Teraz tak.

- A co na to prokurator?
- O to się rozchodzi - powtórzył jedno ze swoich ulubionych powiedzonek Borodziej. - Ten świadek twierdzi, że prokurator nie chciał go wysłuchać.
- Jakoś nie chce mi się wierzyć. - Kapitan uniósł brwi i spojrzął na przełożonego z wyczekiwaniem.
- Mnie również, ale takie są fakty. Prokurator Hirschman nie widzi potrzeby, by wznowiać postępowanie.
- I co to oznacza?
- Cóż. - Pułkownik podrapał się po brodzie. - Jest nowy prokurator, który zleca nam, milicji, prowadzenie wznowionego śledztwa. Zeznania naszego nowego świadka mogą być kluczowe dla sprawy i waszej dalszej kariery, towarzyszu.
Za oknem padał śnieg. Zima nie odpuszczała. Za pasem był marzec, a mimo to łodzianie zmuszeni byli przebiegać się przez zbrylone szarobure śniegowe barykady. Teraz Borodziej przebił się do świadomości zamysłonego podwładnego.
- Jutro oficjalnie przesłuchacie świadka.

Wracał do domu piechotą. Lubił się ruszać. W cieplejsze miesiące roku starał się każdą niedzielę spędzać na rowerze. Uwielbiali z Haliną wyjeżdżać do lasu. W wakacje pływali kajakami. Nigdy nie byli za granicą.

- Może rzeczywiście jechać w maju do Bułgarii? - mamrotał do siebie, zastanawiając się. - Kajaki i tak odpadają. We wrześniu Halina będzie rodzić. Nie pojeździśmy nawet na rowerach.

Szedł wyprostowany. Mimo faktu, że czterdziestka stuknęła mu dawno temu, prezentował się bardzo dobrze. Zdrowy tryb życia procentował sprężystością ruchów. Milicyjny płaszcz z solidnej wełny sprawiał, że kapitan wydawał się wyższy - w rzeczywistości miał niewiele ponad metr siedemdziesiąt wzrostu. Kiedy przebywał w domu, w kapciach i okularach, które zakładał do czytania, wyglądał zdecydowanie starzej i mniej okazale.

Była szesnasta. Z biur i zakładów pracy wysypały się tłumy. Czerwone autobusy pękały w szwach, tramwaje chwiały się na torowiskach. Banasik nienawidził tłoku. Kojarzył mu się on z kolejką po darmową zupę w czasach wielkiego kryzysu. Poczucie panicznego strachu przed głodem było nieodłącznym elementem jego życia. W wieku piętnastu lat miał tylko jedno marzenie: nie odczuwać tego przeraźliwego ssania w żołądku. Dzisiaj miał nie tyle marzenie, co możliwość, by pojechać do Bułgarii. Stołówka w komendzie wydawała posiłki - prawie każdego dnia mięsne. Luksus! Był w górach i nad Bałtykiem. Zmierzał właśnie do mieszkania, które co prawda było małe, ale za to własne. Wszystko, co miał, zawdzięczał ludowej ojczyźnie. Był jej wiernym pretorianinem. Nigdy nie wątpił, że socjalizm jest najlepszym z ustrojów. Czasem jedynie przychodziło mu do głowy, że nie do końca idealnym.

Halina czekała na niego z zalewajką.

- Wznawiamy sprawę Sobczakówny.

Popatrzyła na niego znad parującego garnka.

- Przecież prokurator ją umorzył.

- Podobno jest jakiś nowy świadek.

- To może wreszcie uda się coś wyjaśnić.

Usiedli nad talerzami przy stole w małej kuchni. Banasik nabrał trochę zupy na łyżkę i wbił wzrok w zatopione w pachnącej zawieszynie kawałeczki ziemniaków.

- To moja największa porażka.

- Na szczęście nie przeszkodziła ci w awansie.

- Nie wszystkie sprawy są tak proste jak tych idiotów z ŁZG Restauracje.

Kilka miesięcy wcześniej Banasik rozpracował gang malwersantów. Kierownicy restauracji oszukiwali na gramaturze, dolewali do wódki wody, obrusy prali w samej wodzie.

Nad wyraz szybkie złapanie przestępców przypięcętowało jego awans na kapitana.

- Nie chodzi o to, że oni są idiotami, tylko o to, że ty jesteś genialny.

Oboje się zaśmiali. Po chwili jednak twarz Banasika nieco stężała.

- Sprawa Sobczakówny naprawdę mnie przerosła. - Przełknął kilka łyżek zalewajki i wrócił do rozmowy. - Jak nie masz ani motywu, ani śladów, ani nawet poszlak, to po prostu sprawcy nie znajdziesz.

- Miała osiemnaście lat.

- Żadnego gwałtu. Z mieszkania nic nie ukradziono. Mimo że na stole leżało pięć tysięcy złotych. W szafce, w puzderku była złota biżuteria.

- Ojciec tej dziewczyny jest jednym z najbogatszych łodzian, prawda?

- Tak. Ale wyznaczenie nagrody nic nie dało.

- To było dwieście tysięcy.

- Majątek.

- Wiesz, że za taką kwotę moglibyśmy polecieć na Hawaje?

- Nie dostałabyś paszportu na taką wyprawę.

- Jak to? Mając za męża towarzysza kapitana?

Znowu się zaśmiali. Zjedli kilka kolejnych łyżek zupy, a ona zapytała:

– Jakim cudem w Polsce można mieć fabryczkę czekolady i zarabiać dwieście tysięcy złotych?

– Wiesz, czasem trzeba zrobić krok w tył, by ruszyć z miejsca. Na razie mamy realny socjalizm, a nie komunizm. Poczekaj.

– Na co mam czekać?

– Na czasy, w których każdy będzie mógł jechać do Bułgarii.

Następnego dnia z samego rana Banasik był gotowy do wyjścia. Halina zaparzyła mu kawy zbożowej. Zjadł kanapkę z salcesonem, a do teczki zapakował prowiant składający się z chleba i kaszanki. Na szczęście dzisiaj nie musiał się tłuc tramwajem, bo porucznik Miler obiecał mu, że podrzuci go samochodem.

– Uważaj na siebie. – Halina pocałowała go w policzek.

– Ty też uważaj.

Bał się, że żona znów poroni. Pracowała – jak przygniatająca część kobiet w ciąży – do ostatnich chwil przed porodem. Banasik miał zamiar udać się później do znajomego lekarza i spróbować wydeducować zwolnienie. Nigdy niczego w ten sposób nie załatwiał. Miał obsesję na punkcie przestrzegania regulaminów i zasad. Ale teraz? Był świadom, że już za kilka lat będzie w wieku odpowiednim do stania się dziadkiem, a nie ojcem. Był gotów uczynić wszystko, aby mieć dziecko. A ona pragnęła tego samego – nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Gdy wyszedł, w twarz uderzyło go mroźne powietrze. Pierwszy dzień marca postanowił przywitać go śnieżną zamiecią. Banasik miał wrażenie, że wiatr za chwilę urwie mu głowę. Oczami wyobraźni zobaczył, jak Halina przewraca się na krzywym chodniku i traci ciężę. Zaciśnął zęby i poprzysiągł, że dziś koniecznie musi załatwić dla niej zwolnienie.

– Dzień dobry, towarzyszu, wsiadajcie – rzucił towarzysz szofer.

Banasik ledwo to usłyszał, gdyż szara syrenka, sztandarowy produkt polskiego przemysłu motoryzacyjnego, prychała, stękała i jęczała jednocześnie. Co jakiś czas jęk był zastępowany warkotem. Wokół krążownika szos unosiły się kłęby spalin.

Kapitan wtarabanił się do auta. Nie przepadał za swoim młodszym kolegą z grupy dochodzeniowo-śledczej, razily go jego grubiańskie dowcipy. Nie mogli się porozumieć, kiedy rozmowa przenosiła się na temat niezwiązany z pracą. Miler był gorącym zwolennikiem piłki kopanej, a Banasik uważał ją za sport prostacki i ordynarny. Miler chodził do kina na westerny, nie bywał w teatrze, rzadko czytał książki. Wywodził się ze względnie zamożnej rodziny spolonizowanych Niemców, którym udało się przetrwać powojenne „oczyszczanie” Łodzi z tak zwanych elementów wrogich, a przetrwali dlatego, że podczas okupacji ukrywali dwójkę Żydów. Jan Birnbaum został po wyzwoleniu oficerem UB, Rachela Wizestein stała się prawą ręką towarzyszkki Tatarkówny, wszechmocnej działaczki PZPR. Mając takie zaplecze ideowe, Milerowie mogli zostać w mieście, a teraz bez większych oporów patrzyli, jak ich syn Franciszek wybiera drogę kariery milicyjnej.

Przez chwilę jechali w milczeniu. W przeciwieństwie do Milera Banasik swoje awanse milicyjne zawdzięczał wyłącznie sobie. Wywodził się z rodziny fornalna, który każdy zarobiony grosz przeznaczał na wódkę. Gdy dziedzic, u którego ojciec pracował, roztrwoniał majątek, rodzina Banasików musiała szukać szczęścia w Łodzi. Przybyli do miasta w roku 1932 i zderzyli się z okrutną prozą życia podczas wielkiego kryzysu. Były dni, w których Zdzisiek jadał wyłącznie zupę z darmowej garkuchni. Szczęśliwy przypadek sprawił, że pijany ojciec wpadł pod rozpędzone auto. Nikt w rodzinie za nim nie płakał, a nad jego trumną młody Banasik ślubował abstynencję. W roku 1934 składał rotę przed Bogiem. W roku 1943 wierzył już tylko w PPR. Po wojnie nie miał żadnych wątpliwości, że chce służyć ideałom – jak to mawiano w owym czasie – Wielkiego Października. Pracując w MO, wziął się do nadrabiania zaległości w rozwoju intelektualnym. Książki pochłaniał, bardzo szybko odkrył walory teatru, muzeów i innych przybytków kultury. Stał się cichym, ale realnym intelektualistą. W komendzie lubili się z niego naśmiewać, ale nikt nie wątpił, że dzięki sile intelektu i szerokim horyzontom potrafił rozwikłać prawie każdą sprawę.

– Ciekawe, czy znaleźli te bliźniaczki – odezwał się nagle Miler.

– Jakże bliźniaczki?

Kierowca nie odpowiedział, gdyż automobilowa klacz wyścigowa zatańczyła na śliskiej powierzchni jezdni.

– Te, co ich do *Czterech pancernych* szukali. Znałem takie dwie... Ta jedna to miała Zośka, druga była Baśka. Bardzo cyncate...

Banasik spurpurowiał i chrząknął coś pod nosem. Reszta podróży minęła w ciszy.

Na komendzie czekał już nowy świadek. Banasik chciał go przesłuchać w towarzystwie podwładnego. Choć kapitan Milera nie lubił, to w kwestiach zawodowych mocno go doceniał. Tak naprawdę świetnie się uzupełniali. Kapitan podchodził do życia nieco po akademicku, potrafił odnaleźć drugie dno tam, gdzie na pozór go nie było. Porucznik zaś był bardziej życiowy. Nie dywagował, po prostu zmierzał do celu najprostsza drogą. Ten jego nieskomplikowany styl rozumowania często okazywał się bardzo skutecznym. Teraz tych dwóch zupełnie różnych ludzi wspólnie przystąpiło do przesłuchania. Banasik zaczął:

– Antoni Feliniak. Pochodzenie robotniczo-chłopskie. Miejsce urodzenia: Chańno. Syn Stanisława i Genowefy. Pracował w Łęczycy, służbowo przeniesiono go do Łodzi z początkiem roku.

– Chcę złożyć wyjaśnienia w sprawie zabójstwa obywatelki Sobczakówny – powiedział oficjalnie Feliniak.

Twarz łęczycanina oświetlił chłodny blask późnozimowego słońca. Mimo brudnych szyb promień przedarł się do wnętrza i subtelnie podkreślił potężny nos Feliniaka. Płowa czupryna świadka była lekko przerzedzona. Rumiane lico zdradzało krzepę. Banasik pomyślał, że mężczyzna reprezentował charakterystyczny dla centralnej Polski typ urody.

– A dlaczego teraz? – zapytał kapitan.

– Bo wtedy nikt mnie nie przesłuchał. A ja byłem przejazdem w Łodzi u znajomych i widziałem tego człowieka w zielonym płaszczu.

– Dlaczego nie zgłosiliście się wcześniej?

– Bo dopiero niedawno przeczytałem artykuł w „Odgłosach” i zorientowałem się, że moje zeznanie może pomóc w ujęciu bandyty.

Banasik się zadumał. Myślamy wrócił do głośnego zabójstwa. Dziewczyna zginęła miesiąc przed maturą. Oczywiście nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Wykluczono motyw seksualny. Żaden absztyfikant się w niej nie podkochiwał, ona też nie była zadurzona w żadnym kawalerze. Nikt jej nie groził ani nie pisał do niej anonimów. Z mieszkania nic nie zginęło, mimo że na stole leżały pieniądze i biżuteria. Śledztwo ugrzęzło. Badano ewentualny motyw zemsty. Przefiltrowano – na tyle, na ile było to możliwe – przeżycia rodziców denatki z czasów okupacji. Niczego podejrzanego nie znaleziono. Żadnych poszlak wskazujących, że rodzice Sobczakówny na przykład wydali kogoś gestapo czy skrzywdzili w inny sposób. Jedyny punkt zaczepienia to jakiś człowiek w zielonym płaszczu. Byli świadkowie, którzy go widzieli, ale nic więcej nie umieli powiedzieć. Czy ten tajemniczy ktoś miał związek z morderstwem? A może po prostu kręcił się w pobliżu? Żaden ze świadków nie potrafił go opisać. Nie udało się stworzyć portretu pamięciowego. Nie ustalono, czy był wysoki czy niski, gruby czy chudy, młody czy stary. Podawano sprzeczne, wykluczające się wersje. Banasik w pewnym momencie wręcz zaczął wątpić w istnienie tego obywatela. A teraz po kilku latach nagle pojawił się zupełnie nowy świadek.

Kapitan zadał pytanie:

– Jak wyglądał ów człowiek w zielonym płaszczu?

– Był średniej budowy ciała. Miał czarne, siwiejące włosy i duży nos, taki garbaty jak u... – zawahał się Feliniak.

– Jak u kogo?

– Jak u Żyda.

– Z jakiej odległości go widzieliście?

– Z bliska. Najpierw jak wychodziłem z kamienicy, a potem w barze Śnieżka przy Piotrkowskiej dwanaście.

– Widzieliście go w barze i pamiętacie, jak wyglądał? Spotkaliście go dwa razy w życiu, kilka lat temu.

– Bo on, panie kapitanie, miał takie oczy...

– Jakie?

– Jakby mściwe. Zapamiętałem te oczy. Wystraszyłem się.

– A co on robił wcześniej? Zanim spotkaliście go w barze.

– Jakby coś zapisywał. Notes miał i coś w nim grzymolił.

– Z mojej wiedzy wynika, że chcieliście o tym powiedzieć prokuratorowi.

– Tak, ale prokurator nazwał mnie mitomanem.

– A co wyście w tej kamienicy robili?

– Odwiedziłem moich znajomych. Tomczaków. Bo święta się zbliżały.

– A te całe „Odgłosy” to kiedy czytaliście?

– W grudniu.

– I wtedy zgłosiliście się do prokuratora?

– Akurat przyjechałem do Łodzi załatwiać sprawy związane z moją nową pracą.

– A gdzie pracujecie w Łodzi?

– W zakładach imienia Marchlewskiego.

Zapadła cisza. Kapitan wyjął miętusa i wsunął go do ust. Porucznik sięgnął po papierosa. Podziękował świadkowi skinieniem głowy i podał dokument do podpisu. Świadek sapnął, mlasnął i podpisał się kulfoniastymi literami, po czym wyszedł.

– I co o tym myślicie, Miler?

Porucznik drapał się po głowie.

– Dziwne to wszystko. Po kilku latach zjawia się człowiek, pamięta detale. Jakoś do tej pory nikt inny nie podał szczegółowego opisu delikwenta w zielonym płaszczu. A przecież zeznawało wiele osób.

– Nie dziwię się prokuratorowi, że nie chciał go słuchać.

– Gdzie on go później niby spotkał? W barze Śnieżka? Dosyć daleko od miejsca zbrodni.

– Jeżeli był w odwiedzinach u tych jakichś Tomczaków, to potem powinien udać się na dworzec: autobusowy albo kolejowy. Na jego miejscu to właśnie tam bym jadł obiad, a nie w centrum miasta. Na Kopernika blisko

dworca kaliskiego jest restauracja Kolejowa.

– Ja bym zrobił tak samo.

– Musimy tego całego Feliniaka sprawdzić. Ja porozmawiam z Hirszmanem, a wy się dowiedzcie, czy świadek brał tamtego dnia urlop. W kadrach powinni mieć dokumentację. Następnie ustalcie, kim są ci Tomczakowie i czy znają Feliniaka. Musimy mieć pewność, że się nie ośmieszamy.

Zrobili sobie przerwę. Miler paplał, że nie udało mu się załatwić biletu na Trubadurów. Banasik jadł kaszankę. Dobrnęli jakoś do szesnastej, pisząc różne zaległe sprawozdania i raporty.

Na przystanek podjechał autobus. Banasik zawahał się, ale po chwili jednak wsiadł. A raczej wcisnął. Owionął go zapach salcesonu, cebuli, smalcu i wódki. Zbawienna woń spirytusu kamuflowała odór przepoconych dywanów, rzadko mytych pach i uczulonych na proszek do prania koszul. Brać robocza wracała z szycy do domów. W swoich zgrzebnych kubrakach wyglądali jak bryła brudnego śniegu. Stali w milczeniu. Kobiety siedziały, ale i one nic nie mówiły. Wszyscy byli zmordowani robotą i zmierzali do swoich izdebek. Szczęściarze wracali do mikroskopijnych mieszkańek na Dąbrowie i Teofilowie – malutkich, ale z łazienką i kuchenką gazową. Ci, wobec których los nie był aż tak łaskawy, kierowali się do zimnych kamienic. Czekali ich bieg po węgiel do piwnicy lub stanie w kolejce do wspólnego wychodka. Dla najmniej zaradnych podróży autobusem była wyłącznie wstępem do dalszej peregrynacji. Wracali do wiosek, które należały do miasta jedynie na papierze. Ci mieli jeszcze gorzej niż ich koledzy z kamienic – nie tylko musieli iść po węgiel, lecz także do studni po wodę.

Z zaciśniętymi zębami i zatkanym nosem Banasik przejechał kilka przystanków. Na Piotrkowskiej dwadzieścia siedem czekał na niego doktor Guckowski, który właśnie, zamiast przyjmować pacjentów, zmywał z drzwi napis. Ktoś farbą olejną napisał „JUDE”. Lekarz pozbywał się śladów wandalizmu tak zamazyście, że pot spływał po jego szerokich plecach. Medyk dyszał i znać było, że jest od kapitana kilka lat starszy. Doktora obserwowali sąsiedzi. Milczeli. Razem z nimi milczał kapitan. Gdy drzwi były doprowadzone do względnie porządku, usiedli w kuchni. Z jednego z pokoi dobiegał szloch żony Guckowskiego, Hanny. W drugim pomieszczeniu urzędowały dzieci. Trzecia izba zarezerwowana była na gabinet.

– Co się stało?

– Po raz trzeci w ciągu tygodnia ktoś maluje mi ten napis.

– Zgłosiłeś to na MO?

– Oczywiście.

– No i?

– Wyśmiali mnie. Niby napisali protokół, a potem powiedzieli, że jak mi się w Polsce nie podoba, to Dajan mnie z chęcią przyjmie.

– Będę interweniował.

Guckowski spojrzał na kapitana z nadzieją. Milicjant zaś przeszedł do sedna sprawy.

– Halina jest w ciąży.

– Gratuluję.

Banasik popatrzył na stół, po czym zmarszczył brwi, pochylił ku doktorowi i rzekł:

– Zamiast gratulacji oczekuję pomocy.

– Jakież komplikacje?

– Lekarz zakładowy mówi, że jest dobrze, ale ja wolę dmuchać na zimne.

– O co konkretnie chodzi?

– Chcę, by Halina była na zwolnieniu. Raz poroniła, a ma już trzydzieści lat.

– Nie wiem, czy uda mi się załatwić takie zwolnienie – powiedział powoli Guckowski. – To nie jest takie proste – dodał.

– To ją połów do szpitala.

– Powtarzam: nie wiem, czy mi się uda.

– To naprawdę aż takie trudne?

– Od kilku tygodni tak. Trudne dla mnie. Bo dla lekarzy, których dziadek miał na imię Józef, a nie Icek, wydaje się całkiem proste.

Banasik wytrzeszczył oczy i jeszcze mocniej pochylił ku Guckowskiemu.

– O czym ty mówisz?

Doktor wstał, podszedł do ciemnobrązowego kredensu, sięgnął po butelkę wódki i szklanek. Wrócił do stołu, napełnił naczynie i wypił zawartość duszkiem. Banasika nawet nie pytał. Znał go.

– Mniej więcej od początku roku mam ciągłe kontrole. Dziwnym zbiegiem okoliczności akurat to mnie wszyscy chcą nagle kontrolować. Sprawdzali, czy nikt ze znajomych nie został przyjęty do szpitala poza kolejnością. Potem kontrolowali dokumentację. Wszystko to, co napisałem w ciągu dziesięciu lat, było dogłębnie analizowane. Wypytywano moich sąsiadów, jak się prowadzę, cokolwiek by to miało znaczyć.

Wydział finansowy zakwestionował moją deklarację podatkową. W ciągu dwóch miesięcy zostałem poddany wszelkim możliwym kontrolom i weryfikacjom. Ze znanych mi lekarzy tylko my byliśmy tak sprawdzani.

- My, czyli kto?
- Towarzysze Żydzi.
- Myślisz, że ma to związek z tym, co stało się dzisiaj?
- Nie wiem. Ale w tej chwili nie potrafię wam pomóc.

Gdy Banasik wyszedł na dwór, było już ciemno. Piotrkowska zastygała w pomroce. Wiatr wygnał z miasta najzagorzalszym spacerowiczów. Kto mógł, ten szybko wracał do domu albo zaglądał do baru na małe jasne lub setkę przezroczystego płynu. Kiedy Banasik dotarł pod swój blok, dostrzegł ją w oknie.

- Zmarłeś? – zapytała, gdy wgramolił się na górę i wkroczył do wąskiego przedpokoju.
- Trochę. Napiję się herbaty.
- Zrobiłam czulent.

Banasik się rozpromienił.

- Mam nadzieję, że z knedlami – uśmiechnął się zawadiacko – jak na czulent z miasta Łodzi przystało.
- Nie zdążyłam – rzekła niepewnie Halina.
- Przecież ja tylko żartowałem! – złapał ją za dłoń i pociągnął w stronę kuchni.
- Jest kasza zamiast knedli.

Usiadł i od razu zabrał się do jedzenia. Halina miała niezwykle talent do przyrządzania prawdziwych pyszności.

- Chciałam ożywić nasze stołwkowe menu – powiedziała, wpatrując się w niego z czułością. – Zaproponowałam, abyśmy serwowali dania tradycyjnie łódzkie. By można było zjeść coś z dawnej kuchni żydowskiej, niemieckiej i rosyjskiej. Dyrektor mnie wyśmiał. Stwierdził, że ewentualnie kuchnia rosyjska wchodzi w grę.

- Trzeba było mu taki czulent zapodać. Palce lizać.

- Pewnie by nie tknął. Kulinaryny troglodyta jeden. Odkąd tam pracuję, proszę o zakupienie maszyn do zmywania. Za każdym razem, gdy go pytam, czy to załatwił, mówi, że Biuro Zbytu Maszyn Handlowych odmawia. Podobno taki jest przepis, że tylko restauracje mogą kupować takie maszyny, a stołówki robotnicze już nie. I to jest socjalizm? – Pokręciła głową. – Kucharki muszą szorować gary dla tysięcy pracowników. Wiesz, ile wydajemy obiadów dziennie? Kilkanaście tysięcy. Robotnicy biorą obiady dla dzieci. Na kuchni kobiety nie wyrabiają z myciem. Ich dłonie wyglądają jak wyschnięty tytoń. – Postukała palcami o blat.

- Teraz zbliża się Dzień Kobiet, a taki bęcwał jeden z drugim będzie mówić o równouprawnieniu.

Zastanawiał się, czy opowiedzieć o perypetiach doktora Guckowskiego. Pomyślał, że nie będzie jej dodatkowo denerwować.

Następnego ranka wciąż było zimno, ale trochę cieplej niż dzień wcześniej. Banasik ruszył do pracy z nieco większą chęcią.

Przez szare zwały chmur przebijało słońce. Padające z nieba promienie budziły zdziwienie na kamiennych licach kariatyd, które dźwigały ciężar gmachów. Kapitan od razu pojechał do prokuratury. Podróż ogórkowatym autobusem minęła znośnie. Zapach wczorajszego czulentu skutecznie maskował woń wątrobianki wymieszanej z płuckami na kwaśno.

Prokurator Hirszman przywitał go bez większego entuzjazmu. Jego mocno podkrążone oczy świadczyły o tym, że tej nocy spał naprawdę kiepsko. Banasik wyłuszczył sprawę.

- Powiem szczerze, że nie pamiętam tego świadka – powiedział zmęczonym głosem.

- On twierdzi, że towarzysz go zbył, nie dając wiary.

- Dziwne. Mówi, że chciał się ze mną skontaktować na początku roku?

- Tak.

- Więc chyba powinienem to pamiętać.

- Te zeznania mogą być kluczowe. Jeżeli potwierdzimy jego wiarygodność, śledztwo zostanie wznowione. Będzie je nadzorował nowy prokurator.

- Domyślam się, że z lepszym drzewem genealogicznym.

Banasik już miał coś dodać o Feliniaku, ale zamarł z na wpół otwartymi ustami. Szybko jednak się otrząsnął i wolno rzekł:

- Nie rozumiem.

- Nieważne – Hirszman machnął dłonią, a kapitan uznał, że rozmowa jest skończona.

Koło południa słońce coraz śmieiej ogrzewało łódzkie ulice. Na wyszczerbionych fasadach budynków trudno było znaleźć uśmiech ozdobnych kamiennych twarzy. Lokalne władze nie były zainteresowane remontem

starych domów. Wiele z kamienic, które zbudowane zostały za żydowskie i niemieckie pieniądze, nie było nigdy remontowanych, a te nieliczne, które wzniesli Polacy, też nie budziły sympatii władarzy grodu nad Łódką. Miejsca niegdyś będące wizytówką miasta włókniarzy teraz z wolna przeistaczały się w rewiry, do których bała się wchodzić nawet milicja.

Dumając nad losem budynków, Banasik szedł w stronę komendy. Czekala go rozmowa z dzielnicowym Dziomdziorą.

Kiedy kapitan dotarł na miejsce, Dziomdziora – postawny trzydziestoletni blondyn – wyprężył się słuźbiście. Banasik obrzucił go pospiesznym spojrzeniem.

– Słuchajcie, Dziomdziora, interesuje mnie doktor Guckowski. Ma mieszkanie i gabinet w waszej dzielnicy. Dobrze mówię?

– Tak jest, towarzyszu kapitanie – odrzekł z niemalże żołnierską werwą dzielnicowy.

– Macie jakiś pomysł na te wybryki z malowaniem drzwi?

Dziomdziora, który od początku rozmowy był bardzo blady, teraz nagle zrobił się nadzwyczaj rumiany.

– Ale co ja mogę zrobić? Nikt z sąsiadów nic nie widział, nic nie słyszał. Od początku roku są permanentne skargi na doktora.

– Skargi? Na doktora?

– Podobno hałasuje, wraca pijany do domu, rozrabia, bije żonę i... – Młody milicjant zawiesił głos.

– I co?

– No... Wykorzystuje kobiety, które do niego przychodzą z problemem zdrowotnym. W grzesznych celach, ma się rozumieć.

Banasik przejechał dłonią po twarzy.

– I wy w to wierzycie, Dziomdziora?

– Ja nie od wierzenia jestem. Widziałem oficjalne skargi. Nie żadne anonimy. Wszystkie podpisane. Rozmawiałem z gospodarzem domu. Potwierdził, że u Guckowskich są hałasy.

Kapitan wbił na chwilę wzrok w buty milicjanta, westchnął krótko i powiedział:

– Od kiedy jesteście dzielnicowym, Dziomdziora?

– Od pięciu lat.

– Skargi są od tego roku. Wcześniej ich nie było?

– Nie było.

– Nie wydaje się wam to dziwne?

– Wydaje. Sąsiedzi mówią, że nachapał się pieniędzy i stracił rozum. Podobno łapówki bierze. Do szpitala przyjmuje tylko, jeśli dostanie w łapę. Na krwi polskich robotników się dorobił, a ludzie gadają, że wydział finansowy ma jakieś kwity na niego.

– A malunki?

– Malunki podobno sam robi. Ekspedientka w pobliskim sklepie z farbami powiedziała, że kupował kilka puszek olejnej.

Dziwne – pomyślał Banasik i spojrzał za okno.

Po rachitycznych promieniach słońca nie zostało już nawet wspomnienie. Twarze na kamienicach stężyły w mrozie.

Było już dobrze po szesnastej, gdy do komendy przyjechał Miler. Od razu sięgnął po czajnik i zrobił sobie ciepłej herbaty.

– Byle do wiosny – rzucił w stronę Banasika.

– Jakies sukcesy w walce o praworządność socjalistyczną?

– Chyba tak. Po pierwsze: Tomczakowie. Niestety trudno będzie ustalić, czy znali Feliniaka. Tomczak zmarł w sześćdziesiątym szóstym, a jego żona rok później.

– A po drugie?

– Właśnie wróciłem z Łęczycy. Rzeczywiście w archiwum kopalni rudy żelaza są przechowywane wnioski urlopowe. W dniu morderstwa nasz świadek był w pracy. Nie był na zwolnieniu. Nie był na urlopie. Był w pracy.

Banasik rozparł się na krześle i założył ręce za kark. Popatrzył na porucznika i zmarszczył brwi.

– Ciekawe. A do tego Hirsberg twierdzi, że nigdy z nim nie rozmawiał.

– Czyli mamy mitomana.

– Na to by wyglądało. Ale jedno mnie zastanawia.

– Co? – zaciekawiał się Miler.

– Dlaczego zgłosił się dopiero teraz. Miał na to naprawdę dużo czasu. A wyskakuje nagle jak filip z konopi.

– Nie jest z Łodzi.

– No ale przecież nasza prasa dociera do Łęczycy.

- Może akurat nie czytał wtedy gazet? Nie każdy przecież codziennie śledzi doniesienia prasowe. Może dopiero po tym artykule w „Odgłosach” coś mu się skojarzyło.

- Jedno jest faktem. - Banasik wymownie położył dłonie na blacie biurka. - Nasze stanowisko jest takie, że świadek jest niewiarygodny i nie ma podstaw, by wracać do umorzonego śledztwa. Jeżeli nowy prokurator ma inne zdanie, to niech sam go przesłucha.

- Tak jest.

Po powrocie do domu nie zasiadł do kolacji. Halina leżała w łóżku, źle się czuła. Na szczęście tego dnia zjadł sycący obiad w stołówce. Uspołeczniony handel dostarczył gwardii pretoriańskiej PRL smażonego dorsza. Ryby bywały w stołówce często, ale nigdy w piątek. Banasik położył się na wersalce i włączył radio. Akurat puszczała koncert symfoniczny.

Poczuł drapanie w gardle. Godzinę później nie mógł już normalnie przełykać śliny. Bolała go głowa, paliła gorączka, nos miał zatkany.

No to kiszka - pomyślał - przewiało mnie.

Do pracy wrócił dopiero kilka dni później, dziewiątego marca. W komendzie panował wzmożony ruch. Wydarzenia w Warszawie, które miały miejsce dzień wcześniej, były gorąco komentowane. Podobne wystąpienia odbyły się także w Łodzi. Gdy tylko Banasik przekroczył próg komendy, od razu został wezwany do pułkownika Borodzieja.

- Nie mogliście sobie wybrać innego terminu na chorowanie? - rzucił ostro pułkownik.

- Ta pogoda...

- Wy mi tutaj nie o pogodzie! - przerwał mu Borodziej. - Mnie interesuje wasz protokół z przesłuchania Feliniaka.

- Wszystko, co ustaliłem, opisałem w protokole.

- Właśnie o to się rozchodzi. Mnie się wasze ustalenia nie podobają. Nie przyjmuję tych argumentów.

Banasik cudem powstrzymał wypełzający właśnie na jego twarz wyraz irytacji.

- Świadek jest mitomanem, sprawdziliśmy to. Jego zeznania są niewystarczające do tego, by wznowić postępowanie.

Borodziej westchnął, nalał sobie wódki, chlusnął do gardła.

- Bardzo was cenię, towarzyszu kapitanie. Jesteście ważnym ogniwem naszego łańcucha usuwającego kłody rzucane nam pod nogi przez wrogów socjalistycznej Polski. Wasze robotniczo-chłopskie pochodzenie jest gwarantem waszej lojalności. Waszą pracą i zaangażowaniem pokazaliście, że prosty robotnik, jeśli tylko da mu się szansę, może być czytany nie mniej niż jakiś inteligent. I ja was za to cenię. Wszyscy w komendzie cenimy was za rozum, inteligencję, sposób wysławiania się, szerokość horyzontów.

Kapitan czekał na ciąg dalszy, gdy Borodziej ponownie napełniał kieliszek wodą i wlewał zawartość literatki do gardzieli. W końcu pułkownik wrócił do tematu.

- Słyszałem, że na froncie walki o szczęście osobiste też wam się układa. Wasza żona jest w ciąży. Tym bardziej wasza praca musi być teraz wyjęzyczna. Określone siły przystąpiły do walki z naszym narodem, państwem i ustrojem. Im większe sukcesy mamy, tym bardziej nas atakują. Jeżeli atakują nas wrogowie, to jeszcze pół biedy. Gorzej jest, gdy robią to towarzysze, a w rzeczywistości farbowane lisy, agenci obcych mocarstw łaszczący się na judaszowe srebrniki. Widzicie, Banasik... - Borodziej wysunął palec w stronę podwładnego. - Nie bardzo was rozumiem. Zgłasza się do was świadek. Jego zeznania mogą rzucić światło na tajemnicę zabójstwa. Jego przypadek może nam powiedzieć, dlaczego nie udało nam się znaleźć sprawcy. Przecież ta sprawa pozwoli nam, Banasik, zrozumieć złowrogą rolę pewnych zaprzańców, gotowych zrobić wszystko, by podważyć nasz stan posiadania nad Odrą i Nysą Łużycką!

Kapitana ani trochę nie zdziwiło, że przełożony znów nalał sobie gorzałki.

- Czasem prości robotnicy mnie pytają, dlaczego jest tak źle mimo faktu, że mamy socjalizm. Twierdzą, że ich życie nie wygląda wcale tak, jak przedstawia je prasa. No i nigdy za bardzo chyba nie wiedziałem, co mam im mówić. Ale teraz wiem. - Palec pułkownika tym razem zastukał w blat biurka. - Teraz, Banasik, wiem. Dla każdego Polaka stało się jasne, dlaczego nie jest dobrze.

Banasik nie musiał zadawać pytania. Wiedział, że pułkownik odpowie sam. Nie mylił się.

- Kluczowe stanowiska zajmują syjonisci. Agenci obcego wywiadu. Podli zdrajcy macierzy, która ich wykarmiła, przycięła i nie wyrzuciła na pustynię Negew. To oni zatrują życie w państwie. Mącą ludziom w głowach, otumaniają, jadem plwają.

Banasik zaczął się w myślach zastanawiać, czy formę „plwają” Borodziej wymyślił sam, czy też wyczytał ją z przygotowanej instrukcji. Pułkownik mówił dalej.

– Ja rozumiem, że możecie być zmęczeni. Macie prawo. Ale przecież macie możliwość, żeby odpocząć. Są wczasy w Bułgarii. Z ciężarną żoną do kajaka nie wsiądziecie. W maju weźmiecie urlop. Odsapniecie nad Morzem Czarnym. Będzie już ciepło, ale nie upalnie. Jeździ w Orbisie wszystkie miejsca już wykupili, to oczywiście załatwimy to. Mamy pulę miejsc, rozumiecie. Wpłaty można rozłożyć na raty. A jak napiszecie do komendanta, to może pojedziecie za pół ceny. Bo, Banasik, żona w ciąży, a wy macie piękną kartę służby. Żonie oficera należy się porządna opieka medyczna, prawda? – Pułkownik wstał i uderzył ręką w blat biurka. – Zwolnienie się należy! – krzyknął. – Najlepiej do czasu porodu – dodał spokojniej. – Widzicie, wszystko się jakoś ułoży. Żona po położeniu wróci do formy i będzie przyszywać nowe epolety. Majorową będzie. Munduru nowego nie przewiduję, bo w ciągu roku chyba nie przytyjecie. Za rozwikłanie sprawy Sobczakówny awans wam się będzie należeć jak psu zupa. Za parę lat wyrzucicie mnie z fotela pułkownika. A potem? Jesteście jeszcze młodzi, a już dojrzały. Wasze obycie intelektualne jest nie do podważenia. Dlaczegoż to nie macie zasiąść w ławie poselskiej? Dlaczegoż nie możecie mieć teki ministra? Wyobraźcie sobie, Banasik, wy, prosty robotnik z Łodzi, zostajecie ministrem kultury i nauki. Nikt nie powie, że to z nadania partyjnego. Żaden łachudra z „Tygodnika Powszechnego” nie będzie szczekać, że to dyktatura ciemniaków. Nawet niechętni władzy ludowej powiedzą: człowiek kultury, tytan pracy, intelektualista na odpowiedniej posadzie.

W butelce została jeszcze kropla wódki, którą Borodziej łąkowie wypił.

Odsapnął i ciągnął:

– Ja rozumiem, że nie działacie sami, ale zastanówcie się. Kim jest porucznik Miler? Z jakiej rodziny pochodzi? Kiedyś myśleliśmy: porządni Niemcy uratowali towarzyszy Żydów. Dziś wiemy, że to rewanżyści niemieccy uratowali syjonistów. Po co? By się zaczął i w odpowiednim momencie zaatakować. Czy nie wydaje się wam dziwne, towarzyszu Banasik, że oto pojawia się świadek, który widział podejrzanego, zna dobrze jego wygląd, a prokurator nie chce z nim rozmawiać? Sprawę dostaje nowy prokurator, zleca milicji śledztwo. Jeden z milicjantów sprawdza wiarygodność świadka. I co? I ją kwestionuje. Dziwnym zbiegiem okoliczności leniwy prokurator jest... No, wiemy kim jest, a gorliwy milicjant wywodzi się z niemieckiej rodziny.

Banasikowi niezauważalnie drgnął kącik ust. Pułkownik kontynuował bez zająknięcia.

– Czy nie widzicie, że was oszukali? Omotali waszą szczerą duszę, wykorzystali prostolinijność, prawdziwie słowiańską uczciwość. Zastanówcie się raz jeszcze, czy nie popełniliście błędów. Nie musicie się spieszyć. Porozmawiajcie z żoną. Na spokojnie, bo, jak to mówią, Banasik, co nagle, to po diable. Macie czas do dwudziestego marca.

Dwudziesty marca był bardzo słoneczny. Twarze zdobiące fasady łódzkich kamienic chciwie chłoniły ciepłe promienie. Cieszyły się wiosną. Ich nieruchome oczy nie patrzyły na to, co się dzieje na dole. A działa się. Ulicami szły tłumy. Szli robotnicy, chłopcy przywiezieni z całego województwa, inteligencja pracująca. Ponad sto tysięcy obywateli. Maszerowali partyjni i bezpartyjni, wierzący i niewierzący, grubi i chudzi, weseli i smutni, cnotliwi i dziwni. W rękach trzymali transparenty. Od prawie dwóch tygodni łodzianie malowali je w spontanicznym zrywie.

W oknie jednej z kamienic widać było dwóch rozprawiających o czymś mężczyzn.

– I co z tym porucznikiem? – zapytał pułkownik Borodziej.

– Już nigdy nie będzie pracował w milicji – odrzekł partyjny prominent Ignacy Loga-Sowiński.

– Bardzo dobrze. Jak towarzysz Wiesław unormuje relacje z zachodnimi Niemcami, to wypierdoli się to całe tałatajstwo. Wywalimy hołotę do Reichu.

– Tak jest. A ten kapitan? Zmienił raport?

– Nie zmienił. Ale jego tak łatwo się nie pozbędziemy. Pochodzenie robotniczo-chłopskie, żadnych dziwek, nawet wódki nie pije. Nic na niego nie mamy.

– Nie szkodzi. Hirszman już złożył podanie o zezwolenie na wyjazd z Polski. Zwolni się miejsce w prokuraturze. Syn mojej siostry kończy prawo. Ale tego kapitanka to bym za ucho wytarł. Dla zasady.

– Obiecuję wam, towarzyszu, że nigdy nie będzie majorem.

Banasik był w domu późnym popołudniem.

– Spóźniłeś się – powiedziała lekko zirytowana Halina.

– Nie spóźniłem, tylko coś załatwiałem. – Uśmiechnął się i podszedł, by ją przytulić.

– A co załatwiałeś?

W tym właśnie momencie zaterkotał dzwonek do drzwi.

– To! – oświadczył z dumą.

Otworzył drzwi i już po chwili do kuchni weszło dwóch postawnych mężczyzn. Targali jakiś ciężar. Oczom zdumionej Haliny ukazała się solidnych gabarytów kuchnia gazowa wyprodukowana przez Wronkowską Fabrykę Wyrobów Błasanych.

- Cztery palniki – rzekł zadowolony Banasik – piekarnik, schowek na patelnie, a nawet pochłaniacz sadzy, żeby nie truć dziecka. Już nie będziesz musiała korzystać z prodiża.

Tragarze rozpakowali kuchenkę i zabrali się do podłączania jej do instalacji. Widać było, że robili to wiele razy, bo na efekt nie trzeba było długo czekać.

- Gotowe – powiedział ten, który wydawał się starszy.

Kapitan nonszalancko wręczył mu napiwek. Rozpierała go duma.

- To co? Odpalamy? – zapytał żony, kiedy tragarze zniknęli za drzwiami.

- Podgrzeję ci obiad.

- Pierwszy obiad na nowej kuchni.

Halina zapaliła zapałkę, ale palnik sprawiał wrażenie martwego.

- Co jest, u licha? – zakląła.

Spróbowała po raz kolejny, lecz i tym razem palnik nie reagował. Zdenerwowana odkręciła krnąbrny element.

- Coś się stało, kochanie? – Banasik podszedł do żony i spojrzał na zdemontowany fragment.

- Nie ma dziurek – oznajmiła.

- Czego nie ma?

- Dziurek w palniku. Nie wyborowali w fabryce.

Kapitan skonstatował, że wyrób powstały we Wronkach przy ulicy Towarowej trzy zdecydowanie nie był wart sumy dwóch tysięcy siedmiuset złotych.

Rozdział 1



Wicher bezlitośnie smagał ciało, które dyndało na różne strony. Banasik pomyślał, że wisząca dziewczyna wygląda jak serce dzwonu Zygmunta. Była szczupła. Solidny blond warkocz kontrastował z granatowym mundurkiem szkolnym.

Kapitan był zmęczony. Od kilku nocy prawie nie spał. Dziecko urodziło się zdrowe i o czasie, lecz wraz z nadejściem chłodów przyszła choroba, a z chorobą płacz i nieprzespane noce. Banasik wziął głęboki wdech, co pobudziło jego mózg do działania. Przyjrzał się drzewu. Niewiele ponad ziemią ewidentnie rosta kiedyś gałąź. Ktoś ją uciął, tym samym robiąc idealne miejsce dla potencjalnego samobójcy. Kapitan rozejrzał się po okolicy. Byli w opuszczonym sadzie. Listopad przetrzepał już korony drzew, a prawie wszystkie liście leżały na ziemi. Podłoże wyglądało jak wielki żółty dywan gdzieniegdzie upstrzony czerwienią. Na pojedynczych drzewach wisiały dojrzałe jabłka. Banasik pomyślał, że wyglądają jak ogromne krople krwi.

– Zimno. – Usłyszał za plecami znajomy głos.

Prokurator Drzewicki stał wśród listowia w szarym płaszczu, niemalże zlewając się z wiszącym nad miastem ołowianym niebem. Podał milicjantowi dłoń, a ruchem głowy wskazał na czerwono-czarny tornister. Podrapał się po lekko łysiejacej czaszce i rzekł:

– Chyba nie była dziś w szkole.

Banasik podszedł to tornistra. W środku były zeszyty i podręczniki. Kapitan wyjął dzienniczek.

– Maria Żydek. Uczennica siódmej klasy. Siódma A. Szkoła podstawowa numer sto trzydzieści osiem na ulicy Franciszka. – Kapitan przekartkował dzienniczek. – Dobra uczennica. Dobre oceny. Brak uwag.

– Kto zawiadomił milicję? – zapytał prokurator.

– Było anonimowe zgłoszenie. Ktoś zadzwonił z budki telefonicznej. Patrol podjechał i stwierdził, że nie jest to głupi żart. Patolog zaraz będzie.

Prokurator zbliżył się do wisielca. Uważnie zlustrował sznur oraz denatkę. Potem bardzo dokładnie przyjrzał się drzewu.

– Na moje oko nie ma tu żadnej historii. Dziewczyna stanęła na tym, co zostało z gałęzi, tej na dole, i skoczyła. Zobaczmy, co powiedzą konował i ekipa techniczna. Nic tu po nas. Jedziemy do szkoły. Daleko nie jest.

Śledczy wsiedli do warszawy i ruszyli w kierunku placówki edukacyjnej, której historia sięgała czasów przedwojennych.

Po drodze Drzewicki przekartkował zbiór zadań arytmetycznych, które wyjął z tornistra. Ze zdziwieniem skonstatował, że uczniowie podczas obliczania ułamków znajdowali informacje o przekraczaniu planów produkcyjnych w ZSRR. Plany radzieccy robotnicy mogli przekraczać dzięki wzorowej organizacji. W innym miejscu ćwiczeniówki oskarżyciel natknął się na opis prac w spółdzielni produkcyjnej. Doskonałe wyniki spółdzielcy osiągnęli dzięki mechanizacji produkcji.

Po paru minutach zameldowali się w szkole.

Dzwonek zawył i dziatwa z rykiem wybiegła na korytarz.

Prokurator miał wrażenie, że na bębenkach w uszach rytm wystukuje perkusista The Rolling Stones. Śledczy popatrzyli na siebie porozumiewawczo, zacisnęli zęby i poczęli przedzierać się przez hałasującą ciżbę. Kilka chwil potem znaleźli się w gabinecie dyrektora.

Pani Czarnoleska zrobiła wielce zdziwioną minę, gdy zobaczyła legitymację kapitana MO. Kiedy prokurator zaczął wyłuszczać, w jakiej sprawie przyszli, nogi kobiety wyraźnie się ugięły.

– Maria Żydek. Uczennica siódmej A – powiedział prokurator.

– Tak. Oczywiście. Siódma A – bełkotała Czarnoleska.

– Sprawiała kłopoty? Były sygnały? Jakies problemy wychowawcze? – zapytał Banasik.

– Nie. Chyba nie – odparła niepewnie nauczycielka.

Banasik uważnie obserwował dyrektorkę. Z jej reakcji wywnioskował, że zwierzchniczka rady pedagogicznej raczej nie kojarzyła uczennicy. Czarnoleska pospiesznie dodała:

– Wychowawczynie będzie wiedzieć więcej. Stanisława Biedrzycka. Wezwę ją.

Dyrektorka wyjrzała z gabinetu i poprosiła sekretarkę o zwołanie wychowawczynie.

– Zaraz z nią porozmawiamy. Ale najpierw pani. Nic nie może nam pani powiedzieć o tej dziewczynce? Nie sprawiała żadnych kłopotów? Albo odwrotnie? Nie odnosiła żadnych sukcesów? Nic?

Czarnoleska wróciła za biurko, nerwowo poprawiła upięte w kok włosy i nagle zaczęła terkotać jak karabin maszynowy.

– Nie wiem, jak do tego doszło. Nasza szkoła z całą mocą realizuje projekt budowy socjalizmu, który wymaga długotrwałego, zorganizowanego wysiłku całego narodu. Partia jest głównym organizatorem tego wysiłku, wyzwała energię narodu oraz zespała wokół zadań ideału socjalistycznego wszystkie organizacje społeczne, stowarzyszenia i szerokie ruchy społeczne. Nasza praca wychowawcza kształtuje materialistyczny światopogląd. Ten zaś stwarza szczególnego rodzaju społeczno-psychiczną podatność zapewniającą możliwość akceptacji społeczno-ekonomicznego systemu i odpowiadających mu form organizacji pracy. Nie mając tego nastawienia, nie można realizować celowego charakteru pracy.

Obaj śledczy cierpliwie słuchali tej nadzwyczaj żywej tyrady. Dyrektorka trajkotała dalej.

– Wyciągniemy wnioski z tego, co się stało. My, rada pedagogiczna, zorganizujemy szereg apeli i pogadanek. Jestem przekonana, że suma konsekwentnie i umiejętnie przeprowadzonych przez nas działań przyniesie w końcu efekty i stworzy nową świadomość uczniów, która nie będzie tolerować takich antyspołecznych zachowań jak samobójstwo.

Gdy tylko dyrektorka zakończyła to zdanie, do gabinetu nieśmiało wśliznęła się wążka kobieta, która okazała się wychowawczynią. Kapitan zastanawiał się w duchu, czy Biedrzycka bardziej stresuje się obecnością śledczych, czy swojej zwierzchniczki. Kobieta miała lat mniej więcej trzydzieści pięć lat. Była więc o równą dekadę młodsza od pani dyrektor, ale różnica wieku nie przejawiała się w ubiorze czy fryzurze. Obie nauczycielki miały zielonkawę garsonki i włosy upięte w kok.

– Czy obywatelka jest wychowawczynią Marysi Żydek? – zwrócił się do młodszej z kobiet kapitan.

– Tak – wyszeptała roztrzęsiona pracownica łódzkiej oświaty.

– Uczennica popełniła dziś samobójstwo. A przynajmniej na razie obowiązuje taka wersja. Badamy przyczyny tego niecodziennego przypadku – rzekł znowu milicjant.

Wychowawczyni klasy siódmej A zrobiła się biała jak gipsowe popiersie Karola Świerczewskiego, które zdobyło hol.

Do rozmowy włączył się prokurator.

– Co może obywatelka powiedzieć o denatce? Sprawiała kłopoty wychowawcze? Miała problemy z nauką?

– Nie – szepnęła kobieta zachowawczo – nie miała problemów z nauką. Miała dobre stopnie, choć nie celujące. Solidna uczennica. Solidna, ale bez fajerwerków. Czwórki, czasem piątki. Okazjonalnie trójki. Nie było z nią żadnych kłopotów. Cicha i spokojna. Żadnych uwag odnośnie do zachowania. Jestem zaskoczona. Sprawiała wrażenie normalnego dziecka. Socjalistyczny system oświaty otrzymał w podziale pracy konkretne zadania: przygotować dla nowego społeczeństwa człowieka o nowym typie świadomości, akceptującego ideologię, uznającego i popierającego socjalistyczny porządek społeczny, człowieka, który zinternalizował charakterystyczny dla społeczeństwa socjalistycznego system wartości. – Trajkot brzmiał tak samo jak ten, który chwilę wcześniej wyrzuciła z siebie dyrektorka.

– Rozumiem – mruknął Banasik.

– Jak wyglądał kontakt szkoły z rodzicami? – zapytał prokurator.

– Matka bywała na wywiadówkach. Taka jak córka. Cicha i spokojna.

– Zgłaszała jakiś problem? Problemy?

– Wychowawcze i nauczające zadania szkoły stanowią dwie nierozzerwalne związane ze sobą strony pracy pedagogicznej. Ta wzajemna więź w całej pełni uwidacznia się dopiero w szkole socjalistycznej, dopiero bowiem wówczas ustrój socjalistyczny stwarza warunki pełnego rozwoju osobowości ludzkiej.

Śledczy wywnioskowali z tego, że matka samobójczynie nie zgłaszała problemów.

– Będziemy musieli przesłuchać wszystkich uczniów w klasie. Oczywiście nie dzisiaj – rzucił w przestrzeń Banasik i zakończył spotkanie.

Dzięki informacjom zawartym w dokumentacji szkolnej dowiedzieli się, gdzie samobójczynie mieszkała i gdzie pracowali jej rodzice. Banasik wziął na siebie zadanie wykonania telefonu do Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego imienia Marchlewskiego. Rozmowa z matką dziewczynki była jedną z najtrudniejszych, jakie kapitan odbył podczas dotychczasowej służby w MO.

Rozdział 2



Śniło mu się, że goniły go wilki. Uciekał przez zasypany śniegiem las, ale wataha otaczała go coraz ciasniej. Słyszał charkot wydobywający się z gardzieli. Przywódca stada zawył głośno. Przerażliwy skowyt rozdzierał mózg. Banasik marzył, by wilk wreszcie zaatakował. Wycie wydawało się torturą nie do zniesienia, wierciło mu w czaszce ogromną dziurę. Obudził się. Ale wycie nie ustawało. Wręcz przeciwnie – skowyt narastał. Był jak wiertło widiowe wpijające się w najczulszy nerw. Wyskoczył z pościeli.

Po pokoju w tę i we w tę chodziła Halina i próbowała utulić wyjącego Andrzeja. Maluch ryczał wniebogłosy.
– Zrób coś! – wrzasnęła do męża. – Zrób coś, bo zwariuję!

Banasik zrzucił z siebie resztki sennej maligny. Chciał wziąć syna na ręce, ale żona odwróciła się na pięcie i wysyczała całą litanię przekleństw. Ubrał się najszybciej, jak mógł, i zbiegł po schodach. Do budki telefonicznej miał kilkaset metrów, ruszył więc biegiem. Na szczęście tym razem wandalę nie urwali słuchawki. Dyspozytorka wysłuchiwała relacji. Sprawdziła coś w dokumentacji i powiedziała to, czego kapitan nie chciał usłyszeć.

Po raz pierwszy wezwali pogotowie miesiąc temu. Potem wzywali je za każdym razem, gdy Andrzejek wył i charczał, nie mogąc złapać tchu. Lekarz z pogotowia stwierdził kolkę. Badania w rejonowej przychodni nie wykazały żadnej nieprawidłowości. Mały Banasik trafił więc do dziecięcego szpitala imienia Janusza Korczaka. Po dwóch tygodniach obserwacji lekarze wraz z pielęgniarkami zaczęli kpić z Haliny, nazywając ją histeryczką. Przeprowadzono liczne badania i oznajmiono, że dziecko jest zdrowe, lecz dwa dni po wyjściu ze szpitala synek znowu zaczął się dusić. Prawie każda noc wyglądała podobnie, choć zdarzały się rzadkie momenty, gdy dziecko spało dobrze. Niestety po krótkich okresach spokoju koszmara wracał. Synek dusił się. Pogotowie pojawiło się jeszcze kilka razy, ale w końcu przestało przyjeżdżać. Teraz, tak samo jak ostatnio, dyspozytorka poinformowała kapitana, że są pilniejsze przypadki niż dziecko, którego nie potrafi utulić matka wariatka.

Wściekły na cały świat milicjant poczłapał do domu. Doskonale wiedział, że odpoczynek nocny definitywnie się zakończył. I miał rację – Andrzej płakał do piątej trzydzieści.

Kiedy dziecko wreszcie zasnęło, Banasik nie miał już czasu na odpoczynek. Musiał szykować się do pracy. Gdy stał w przedpokoju ubrany w palto, usłyszał za plecami głos Haliny.

– Dłużej nie wytrzymam. Nie mam siły.

Kapitan nic nie powiedział, tylko wyszedł cicho z mieszkania.

W zakładzie medycyny sądowej kończyła się sekcja zwłok. Medyk Alojzy Żela zakrył ciało specjalnym materiałem i zwrócił się do czekającego na wyniki Banasika.

– Dziewica. Wszystko wskazuje na to, że nie była penetrowana.

– Alkohol?

– Nie znaleziono.

– Coś zwróciło twoją uwagę?

– Nie. Są przesłanki, by sądzić, że nikt jej nie pomógł. Żadnych otarć. Żadnych śladów szarpaniny. Sekcja nie wykazała też, by denatka cierpiała na jakieś schorzenia. Nic tu nie ma.

Banasik podziękował lekarzowi i wyszedł z zakładu medycyny sądowej, by wraz z porucznikiem Chruścickim udać się na ulicę Szybowcową, gdzie mieszkała rodzina Marysi Żydek. Kiedy wsiedli do samochodu, Chruścicki zaczął relacjonować:

– Genowefa Żydek, lat czterdzieści pięć, dobra pracownica. Odpowiedzialna i sumienna. Opinia z zakładu pracy pozytywna. Żadnych problemów dyscyplinarnych.

Gdy wjechali w wąską uliczkę, auto podskakiwało na wybojach. Chwycił mróz, więc warszawa musiała się przebijać przez grudy zamarzniętego błota. Kiedy zatrzymali się przed niewielkich rozmiarów domkiem, zaczął ujadać pies. Z otynkowanego na szaro budynku wyszedł mężczyzna. Otworzył furtkę, a Banasik z porucznikiem weszli na posesję. Kilka drzew owocowych zdążyło już zupełnie wyłysieć.

Kiedy kapitan wszedł do izby, zderzył się z grubą zasłoną bólu i beznadziei. Pani Genowefa siedziała otępiała przy piecu. Kobieta była rówieśnicą Banasika, ale milicjant skonstatował, że wygląda raczej jak jego matka.

Miała mocno posiwiałe włosy, jej ręce pokryte były grubymi węzłami żył. Pot wyciskany przez pracę na trzeciej zmianie wyślubił w licu Genowefy Żydek głębokie rozpadliny.

W domu panowała cisza.

Rodzeństwo Marysi – dwóch braci i młodsza siostra – siedziało w kompletnym milczeniu. Na stole stała plastikowa figurka Matki Boskiej. Przed nią paliła się świeczka. Musiało minąć parę minut, nim gospodyni była w stanie odpowiedzieć na pytanie funkcjonariusza Banasika. Dlatego milicjant odczekał kilka chwil i powtórzył zadane wcześniej pytanie.

– Czy córka ostatnimi czasy zachowywała się jakoś dziwnie? Niepokojąco?

– Nie. Nie zauważyłam – odparła pani Genowefa, kręcąc głową jak zahipnotyzowana.

– A wcześniej? Skarżyła się na coś? Mówiła o jakichś problemach?

– Nie. Ona była bardzo skryta.

– Jak sobie radziła w szkole?

– Dobrze. Wszystkie moje dzieci dobrze się uczą. Najstarsza córka poszła na studia. Marysia nie miała problemów z nauką.

– A miała jakiegoś... Jakąś sympatię? Bliskiego kolegę?

– Nie. – Głos matki zabrzmiał pewnie.

– Jakież problemy ze zdrowiem?

– Była zdrowa. Rzadko chorowała.

– A problemy psychiczne?

Kobieta dopiero teraz uniosła wzrok i spojrzała prosto w twarz Banasika.

– Że niby była wariatką? – zapytała wyraźnie poruszona. – Co to, to nie! My dobrymi Polakami jesteśmy.

– A może skarżyła się na... – Banasik zawahał się.

– Na co?

– Na biedę – powiedział cicho kapitan i rozejrzał się po skromnej izbie.

Również wzrok Chruścickiego przesunął się po skromnym wnętrzu.

– Nie – odparła natychmiast kobieta. – Moja mama nam pomaga. Marysia często u niej bywała. U mojej matki, znaczy się. Ona mieszka niedaleko. To znaczy moja matka. Ona tam prawie mieszkała. Znaczy Marysia. U mojej matki, ma się rozumieć. Często tam nocowała. Od babci miała bliżej do szkoły.

Po wizycie na Szybowcowej Banasik nakazał milczącemu przez całe spotkanie Chruścickiemu, by wracał do komendy, sam zaś pojechał do prokuratury, gdzie zdał relację prokuratorowi. Ten słuchał uważnie.

– Wydaje się, że mamy do czynienia z samobójstwem – klarował kapitan – sekcja zwłok nie wykazała niczego, co mogłoby sugerować, że ktoś jej pomógł w odebraniu sobie życia. Żadnych otarć, skaleczeń, śladów walki czy szarpaniny. Nic nie wskazuje na to, że była wykorzystywana seksualnie. Nie była w ciąży. Może się zakochała nieszczęśliwie... Taki wiek głupi.

Prokurator patrzył na kapitana znad okularów. Widać było, że intensywnie myśli.

– Więc sugerujecie, że to samobójstwo...

– Tak uważam.

Prokurator wstał. Poglądził rzadkie już włosy – miał ich zdecydowanie mniej niż podwładny, choć był od niego starszy tylko o kilka lat. Popatrzył na Banasika i powiedział:

– Od kiedy jesteście w milicji?

– Od czterdziestego piątego.

– Kawał czasu.

– Prawie ćwierć wieku.

– Ile razy spotkaliście się z samobójstwem czternastolatki?

– Nie spotkałem się.

Prokurator popatrzył na kapitana wymownie, poprawił poły swej szarej marynarki i rzekł:

– Ja jestem prokuratorem od czterdziestego ósmego. Przed wojną zaliczyłem trzy lata prawa. Szukam w pamięci podobnego przypadku. Nie kojarzę. – Podszedł do okna i spojrzał przez nie w zamyśleniu. – Ale zróbmy założenie, że tak się po prostu złożyło, że żaden z nas nigdy nie spotkał się w pracy z samobójstwem młodej dziewczyny. Przypadek. Zbieg okoliczności. Tak się przecież mogło zdarzyć. – Odwrócił się z wolną w stronę Banasika. – Ale zajrzałem do statystyk. – Prokurator zrobił mądrą minę. – To są śladowe przypadki. Kilka rocznie w skali kraju. Bywały lata, że milicja nie odnotowywała żadnego takiego wydarzenia. Podkreślam, żadnego. Co innego oczywiście na Zachodzie. Tam możemy mówić wręcz o pladze samobójstw wśród młodych ludzi. Ale u nas jest inaczej! – dodał z mocą. – Socjalistyczne państwo zapewnia młodzieży możliwość rozwoju. Państwo dba o talenty. Mamy bezpłatną edukację, kluby sportowe, domy kultury. Nikt u nas nie bierze narkotyków. – Prokurator powrócił za swoje biurko i sztywno zasiadł na krześle. – Sami widzicie, że nasza sprawa jest wyjątkowa. Ale to nie znaczy, że wykluczam waszą koncepcję. To, co przedstawiacie, ma ręce i nogi. Znanie są przypadki, gdy młody człowiek zabija się z powodu nieszczęśliwej miłości. Jutro pojedziemy do szkoły. Przesłuchamy kolegów i koleżanki z klasy. Jeżeli potwierdzą, że dziewczyna była zakochana w kimś, kto nią wzgardził, to umorzę postępowanie.

Następnego dnia śledczy zgodnie z planem podjechali pod szkołę. By nie budzić sensacji wśród dziatwy, zaparkowali między budynkami, które znajdowały się blisko placówki. Kilkaset metrów przeszli pieszo. Wcześniej przez telefon prokurator poinstruował dyrektorke, jak ma przygotować klasę na spotkanie, więc uczniowie wiedzieli, czego się spodziewać.

Każdy z uczęszczających do klasy siódmej A po kolei wchodził do sali i zasiadał w specjalnie przygotowanej na tę okoliczność ławce. Po jej drugiej stronie siedzieli Banasik z Drzewickim. Zanim przesłuchali wszystkich, minęło dużo czasu. Wreszcie, po paru godzinach wałkowania tematu, kompletnie wykończeni śledczy wyszli przed szkołę.

- Psia krew - zaklął oskarżyciel, gdy obaj wsiedli do samochodu.

Sięgnął po papierosa. Banasik nienawidził tytoniowego dymu, ale nie śmiał zwracać uwagi pracownikowi prokuratury.

- Cicha i spokojna, nawet nieśmiała - kapitan podsumował rozmowy. - Nieprawdopodobne. Wszyscy co do jednego zeznali to samo.

- Cicha i spokojna - powtórzył za nim prokurator, kręcąc głową. - Nieśmiała. Z nikim nie była w sporze. - Zaciągnął się, po czym wypuścił kłęb dymu, który wypełnił wnętrze auta, i dodał: - Nie miała też żadnej najbliższej przyjaciółki, chociaż z kilkoma dziewczynami kolegowała się bardziej niż z innymi.

- Też zwróciłem na to uwagę. - Banasik pokiwał głową. - Ale może to było wynikiem tej jej nieśmiałości.

Kopka popiołu spadła prokuratorowi na spodnie.

- Co? - zapytał.

- To, że nie miała takiej przyjaciółki od serca. Wszyscy o tej nieśmiałości powiedzieli.

- I wszyscy zeznali, że nie miała żadnej sympatii. Może się w kimś podkochiwała?

- Może. Ale żeby od razu na sznur? Gdyby tak każdy, co się nieszcześnie zakochał, zakładał sobie pętlę na szyję, to gatunek ludzki dawno by wyginął.

- Nie zostawiła żadnego listu. Nikt nie zauważył niczego niepokojącego. Matka, nauczycielki, uczniowie, rodzeństwo. Nikt.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze z jej starszą siostrą. Tą studentką. Oraz z babcią.

- Owszem. Trzeba je przesłuchać. Chociaż obawiam się, że te zeznania nie wniosą do sprawy niczego ciekawego...

Gdy samochód zatrzymał się przed budynkiem prokuratury, była już piętnasta.

Banasik liczył na to, że o szesnastej będzie w domu, ale po chwili zrozumiał, że jego nadzieje były płonne. Na miejscu czekał już porucznik Chruścicki, któremu oskarżyciel zlecił ważną pracę.

- I co? - zapytał lakonicznie Drzewicki.

Porucznik wyprężył się służbiście i zraportował:

- Działka, na której dziewczyna się powiesiła, należy do parafii Świętego Biedaczyny z Umbrii. To znaczy do parafii Biedaczyny - poprawił się szybko milicjant.

W gabinecie prokuratora zapanowała cisza. Banasik słyszał, jak ogień zżerał papierosową bibułkę w sporcie Drzewickiego.

- Ale jest coś jeszcze - powiedział Chruścicki.

- Co?

- Zrobiłem rozeznanie w sprawie chłopaka starszej siostry tej dziewczyny. Faustyna Żydek, studentka pierwszego roku polonistyki. Jej chłopak nazywa się Benedykt Szadkowski lub, jak kto woli, Mosze Goldstein. Podczas wypadków marcowych brał aktywny udział w wicherzycielskich burdach. Nie poszedł do wojska ze względu na poważną wadę postawy.

- Studiuje dalej? - zapytał prokurator.

- Nie. Został relegowany z uczelni. Oficjalny powód był taki, że nie oddał książek do biblioteki. Tłumaczył się, że napadli go nieznani sprawcy, pobili i ukradli książki.

- Polityka edukacyjna państwa idzie w dobrym kierunku, skoro nieznani sprawcy kradną książki z biblioteki. - Prokurator się zaśmiał.

Listopadowy wieczór ścisnął miasto burą obręczą. Po szesnastej ogarnęła je ciemność. Wiele ulic znajdujących się na obrzeżach Łodzi nie miało latarni. Względnie latarnie nie miały żarówek. Na szczęście Piotrkowska była rzęsiście oświetlona. Tu i ówdzie zarzyły się neony. Niektóre świeciły pełnym blaskiem, w innych światłem emanowały tylko kikuty.

Banasik wszedł w bramę jednej z kamienic nieopodal katedry. Wspiął się po stromych schodach na trzecie piętro. Przez chwilę się wahał, lecz w końcu przemógł się i zapukał. Zza solidnych drzwi usłyszał odgłosy szurania i nerwowych pokrzykiwań. Wreszcie wrota się uchyliły.

- Słucham - odezwał się ktoś szorstkim głosem.

- To ja, Zdzisiek. Zdzisiek Banasik.

Na moment między milicjantem a człowiekiem w drzwiach zgęstniało powietrze, lecz już po chwili gęstwę rozrzędziło ciepło płynące z mieszkania. Odrzwia otworzyły się na oścież i kapitan wszedł do środka. W dużym pokoju stały spakowane walizki.

- Nie ściągaaj butów - odezwał się gospodarz - pojutrze wyjeżdżamy, nie będziemy już sprzątać.

Banasik zdjął palto i wszedł do dużego pokoju. Gospodyni, pani Stanisława, wskazała krzesło. Usiadł. Podziękował za herbatę. Wyczuł, że przychodzi nie w porę i został wpuszczony tylko ze względu na starą, pamiętającą czasy okupacji znajomość.

Kątem oka zobaczył, że gospodarz otwiera walizkę i coś z niej wyjmuje.

- Chcesz? - Mężczyzna podszedł do Banasika i położył coś na stole. Na blacie klapnął poszarzały egzemplarz *Ogniem i mieczem*. - Pierwsze wydanie, z tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego.

- Daj spokój, Czesław. - Kapitan się obruszył.

- Nie wezmę całej trylogii. Za ciężka. Reymonta też nie wezmę. Ani Słowackiego. Biorę *Dziady* i *Pana Tadeusza*. Kieszonkowe wydania. Zmieszczą się. Weź tę trylogię, Zdzisiek. Wiadomo, jakiego chuja tutaj wprowadzą? Może weźmie i wypierdoli do śmieci. Szkoda. - Czesław podszedł do ściany i zdjął starą szablę. - To też weź.

Banasik wybałuszył oczy, a gospodarz kontynuował:

- Prapradziadka. U Berka Joselewicza służył, na ordynansie u naczelnika Kościuszki.

- Nie mogę tego wziąć - wyszeptał blady Banasik.

- Dlaczego to? Weź. Co ja z tym zrobię? Nawet jeżeli dostanę dobrą cenę w antykwaracie, to co zrobię ze złotychkami? Dolarów nie kupię, bo się boję, że zamiast do Danii pojedę do Wroniek albo Barczewa. Mówię ci, weź tę szablę. W końcu walczyliśmy razem za okupację.

Przed oczami Banasika przesunęły się obrazy z czasów wojny. Czesław miał dobry wygląd, jak wtedy mawiano. Pochodził z całkowicie spolonizowanej rodziny. Stryj Czesława, którego ten nigdy nie poznał, był bojowcem PPS. Zginął na Polesiu Konstantynowskim latem 1906 roku. Czesław nie był obrzezany. Gdyby jego rodzina wyjechała z Łodzi, choćby do Warszawy, pewnie przeżyłaby wojnę. Ale nie wyjechała... O tym, że są z pochodzenia Żydami, doniósł gestapo pewien sąsiad, Łódzki Niemiec. Z całej rodziny Roterdańskich przetrwał wyłącznie on, Czesław. Ukrywał się w podłódzkim Strykowie. Towarzysze z PPR załatwili mu dobre niemieckie papiery. Do Litzmannstadt przyjeżdżał tylko na akcje dywersyjne Gwardii Ludowej. W kilku takich przedsięwzięciach brał udział także Banasik.

Po wojnie Zdzisław rozpoczął służbę w strukturach milicji. Czesław zaś dokończył studia medyczne, które rozpoczął jeszcze za sanacji. Do Łodzi wrócił pod koniec lat czterdziestych. Przyjaźnili się. Obaj lubili czytać.

- Weź tę szablę - powtórzył Czesław.

Banasik się wahał. Wiedział, że Roterdańscy walczyli i u boku Kościuszki, i w powstaniu listopadowym. Nie zabrakło ich również w insurekcji styczniowej i Rewolucji 1905 roku. Drugi stryj Czesława zginął na Wołyniu podczas ofensywy Brusilowa. Miał na sobie „siwy strzelca strój”.

- Naprawdę nie mogę. To twoja rodzinna pamiątka. Może pozwolą ci ją wziąć do Danii.

- Może gdybym jechał do Izraela, tobym ją jakiemu syjonistcie sprzedał. Ale w Danii? Na chuj mi ona w Danii?

- Nie musisz wyjeżdżać...

- No, nie muszę, owszem, nikt mi pistoletu do głowy nie przykłada. Ale wyrzucono mnie w marcu z partii, a we wrześniu z pracy. Bożena miała mieć w grudniu operację. Z nieznanych nam przyczyn termin operacji został przesunięty o rok. O rok! Ona nie może czekać roku! Bo umrze! Moja jedyna córka! Rzeczywiście, masz, kurwa, całkowitą rację, nikt mnie nie zmusza do wyjazdu z Polski. Żydków się nie zmusza do wyjazdu, Żydków się wypierdala.

Czesław wstał z krzesła i znów podszedł do kredensu.

Za moment wrócił z powrotem z butelką wódki.

- Twoje zdrowie.

Banasik usłyszał charakterystyczny bulgot.

- Mam problem - wydusił po chwili, czerwieniąc się potężnie.

- Zdrowotny? - zapytał Czesław i odpowiedział sam sobie: - Oczywiście że zdrowotny, inaczej byś nie przychodził. Przecież nie wpadłeś po to, żeby się pożegnać! Od czasu, gdy władze obnażyły syjonistyczny spis, jakoś tak do mnie nie zagładałeś. Nie zadzwoniłeś nawet. Nie spotkaliśmy się na pochodzie pierwszomajowym.

- Urodziło mi się dziecko.

- Wiem, we wrześniu.

- Przebieg ciąży był trudny. Musiałem zajmować się Haliną.

Gospodarz chlupnął kolejną porcję przeźroczystego płynu.

- Podczas pochodu pewnie miałeś służbę...

- Nie. Halina źle się czuła. Nie poszedłem na pochod.

Czesław oparł się na krzesło i skrzyżował ręce na piersi.

- Jeżeli pojutrze wyjeżdżam z Polski, to raczej nie pomogę - powiedział.

– Masz jakieś kontakty. Znajomości.
– Od marca tych znajomości mam zdecydowanie mniej. Podobnie jak kontaktów.
– Musisz mi pomóc. Mam czterdzieści trzy lata. Jedno dziecko już straciłem. Byłoby w wieku twojej Bożeny.
Nie będę mieć szansy na trzecie.
– Jakie objawy? – zapytał bez ceregieli Czesław.
– Kaszel. Ciągłe kaszle. Nie może spać. Zaczęło spadać na wadze. Lekarze rozkładają ręce. Nie chcę, żeby zabrali mi syna do Korczaka. Już jedno dziecko tam straciłem.

Czesław podrapał się po głowie. Wychylił kolejną porcję gorzałki. Po chwili powiedział:

– Doktor Gutman. Pracuje w szpitalu w Łągowicach. Spiesz się. On też ma zamiar wyjechać. Może będzie pomocny. On był w wywiadzie GL. Ma szerokie kontakty. Oficjalne i nieoficjalne. Powołaj się na mnie. Nie mogę zaręczyć, że ci pomoże, ale spróbować można. – Czesław pochylił się do Banasika tak, że gość poczuł zapach wódki. – I dam ci dobrą, przyjacielską radę. Weź tę szablę i ją sprzedaj. Najlepiej nie w Łodzi. Sprzedaj ją w Warszawie albo w Krakowie. Względnie w Poznaniu. Tam dostaniesz wyższą cenę. Za zarobione pieniądze kup dolary. Z nimi będziesz mieć lepszą pozycję przetargową. Posłuchaj mnie i nie unoś się swoim proletariackim honorem. I napij się wreszcie ze mną wódki. Kto nie pije, ten kapuje, a na dodatek nie jest prawdziwym Polakiem.

Banasik westchnął. Bał się wracać do domu z pustymi rękoma.

– Polej – powiedział kapitan.

Czesław rozlał trunek do szklanek.

– Za twojego syna – zawołał gospodarz.

Po chwili Banasik poczuł w przelyku, jak Amerykanie w Wietnamie wypalają dżunglę napalmem. Organizm nienawykły do alkoholu zareagował szybko.

Po kilku kieliszkach Zdzisław Banasik wyszedł na wieczorny chłód i bezwiednie ruszył Piotrkowską w kierunku północnym. Ulica była pustawa i tylko gdzieś tam przemykali samotni przechodnie. Większe ożywienie panowało jedynie w okolicach przybytków gastronomicznych. Banasik, wędrując reprezentacyjną ulicą miasta, skonstatował, że alkohol zdecydowanie pomaga mu w kontemplacji kolorów buchających z licznych tutaj neonów. Arteria mieniła się feerią barw. Niektóre neony pulsowały, inne dostojnie emanowały spokojem. Wszystkie dodawały urody kamienicom, które niemal nietknięte wojną podupadały przy prawie całkowitej bierności miejskich notabli. Największe nasycenie kolorami występowało za skrzyżowaniem Piotrkowskiej z ulicą Główną, która nieco dalej przeistaczała się w Armię Czerwoną.

Przy placu Wolności ulica wręcz płonęła. Na budynku z numerem osiem jarzyły się neony reklamujące Wólcankę, pod szesnastką świecił się neon Eldomu, Fotooptykę symbolizowało błyszczące pod dwudziestką szóstką oko. Różnobarwnie mieniły się szyldy Polskiego Lnu, sklepu futrzarskiego Edward oraz kina Polonia. Nieco dalej od pomnika Kościuszki, pod numerem dziewięćdziesiątym ósmym, promieniował neon Domu Buta. Świetliste ozdoby prezentowały rozmaite kształty – na Narutowicza dwanaście białym światłem emanował neonowy lis, gąska nazywana Balbinką strzegła Teatru Nowego, motyl zaś zachęcał do odwiedzenia sklepu odzieżowego na rogu Piotrkowskiej i Tuwima. Był także krokodyl, który otwierał paszczkę przy wejściu do sklepu z galanterią skórzaną. Sklep MHD z artykułami włókienniczymi promieniował neonową kobiecą pięknnością. Sklep Ferrum agitował wielkimi świetlistymi obcęgami trzymającymi w „paszczy” potężny gwóźdź. Banasik spostrzegł, że zniknął charakterystyczny neon Jasia i Małgosi. Kamienica, którą wieńczył, została wyburzona już w zeszłym roku. W dobrej formie był za to skaczący Turek przy sklepie z dywanami.

Gdy milicjant doszedł w pobliże placu Wolności, spojrzął na zegarek. Było późno. Kiedy stał pod pomnikiem Tadeusza Kościuszki, ktoś wyszedł z Artystycznej, która mieściła się pod dziewiętnastką.

– To wy, obywatelu kapitanie?

Banasik odwrócił się i w nocnym birbancie rozpoznał byłego porucznika Milera, a ten dodał:

– Nie mówię „towarzyszu kapitanie”, bo mnie już w partii nie ma.

Banasik podał rękę byłemu koledze ze służby, a Miler ją uściśnął.

– Widzę, a raczej czuję, że obywatel odszedł od abstynenckich pryncypiów. – Były porucznik się zaśmiał.

– Skończmy z tymi obywatelami – powiedział Banasik.

– Jestem za – odrzekł potomek łódzkich Niemców. – Ale tak na sucho to się nie godzi. Skoro już obaj jesteśmy dziabnięci, to zapraszam na bruderschafta do Artystycznej. Będzie otwarta jeszcze przez godzinę.

Banasik nie chciał wracać do domu, więc po chwili wahania przystał na propozycję Milera.

Gdy weszli do środka, kelnerka natychmiast podała dwie wódki.

– To co? – zagał Miler.

Banasik wychylił kieliszek i wyściskał się z byłym milicjantem.

Moment później pili już na drugą nogę.

– Jak tam w komendzie? – zapytał Miler. – Zamiast pałek macie teraz szablę? – Wskazał na oręż ordynansa naczelnika Kościuszki.

Banasik miał już w czubie na tyle, że zdążył na chwilę zapomnieć o prezencie od Czesława. Teraz spojrzał na szablę lekko zaskoczony.

– Nie. To pamiątka. Od kolegi dostałem.

– Pewnie jakiego patrioty. – Miler zarechotał. – Ale co w komendzie?

– Po staremu. A ty? Radzisz sobie?

– Ja sobie zawsze radzę. Ale ty... Po minie widzę, że u ciebie kiepsko. Zresztą przecież nigdy nie piłeś...

Banasik czuł się bardzo obciążony. Nosił ogromny kamień w sercu od momentu, gdy pojawiła się choroba Andrzeja. Co prawda do tej pory znajdował w sobie siłę, by ów głąz trzymać w kleszczach zdrowego rozsądku, ale teraz zdrowy rozsądek był zamulony alkoholem.

– Z żoną mam kłopot. Syn poważnie choruje. Żona mnie o wszystko obwinia. Nie mam już siły.

– Rozumiem, że pożycie łóżkowe...

– Zanikło – wycedził Banasik, zdziwiony własną wylewnością.

– Zdarza się, Zdzichu, ale nigdy nie jest tak źle, by nie mogło być gorzej. Albo lepiej.

Były funkcjonariusz MO uzupełnił kieliszki.

– Wyjdź z nią do kina. Do teatru. Przecież kiedyś wychodziliście.

– Halina nigdzie nie wyjdzie. Nie zostawi Andrzeja nawet ze swoją matką.

– No to kup jej coś. Jakiś ciuch. Albo jakie perfumy czy inny kosmetyk. Wyjść nie wyjdzie, ale każda kobieta lubi się ładnie ubrać, ładnie pachnieć.

Miler nachylił się familiarnie do ucha kapitana i konspiracyjnym tonem rzekł:

– To, co teraz powiem, jest poufne. Za tydzień do Uniwersalu przyjdzie dostawa nowych futer z Beskidzkich Zakładów Futrzarskich. Informacja jest pewna. Działa już lista oczekujących. Ale... – Miler mrugnął. – Po starej znajomości da się coś załatwić. Jutro zadzwonię do dyrektora i cię polecę.

– Takie futro to pewnie kosztuje majątek...

– Czternaście tysięcy czterysta...

– Ile?

– Właśnie tyle. To futro, a nie jakieś badziewie z laminatu.

– Skąd na to wezmę?

– Nie wiem. Ale pomyśl. Tak po przyjacielsku ci powiem, szczerze. Znamy się tyle. Powiedz tak sam, jest coś ważniejszego w życiu od, no wiesz... powiedzmy, dobrych relacji małżeńskich? Wiesz sam, że nie ma. Pomyśl, Halinka jest babka jak się patrzy. Powiem ci szczerze, że ci jej każdy w komendzie zazdrości. Każdy. – Popatrzył Banasikowi prosto w oczy. – No i co ty na to? Masz czterdzieści trzy lata... Powiedz sam, Zdzichu, ile jeszcze czasu zdrowie ci będzie służyło? Mam na myśli, no wiesz, zdrowie do łóżkowych figli. Ja bym nie czekał. Syn synem, ale najważniejsze, jak się mąż z żoną dobrze dogadują. Pomyśl. Ja bym się nie wahał.

– Ale skąd ja tyle forsy wezmę?

– Tę szablę sprzedaj.

– Ale komu?

– Mnie. Od ręki biorę.

– Tutaj?

– No, niezupełnie tutaj. W kiblu. Wypijmy strzemiennego i idziemy się odlać.

Po uiszczeniu rachunku poszli do restauracyjnej toalety.

– Pokaż to cacko – powiedział Miler.

W blasku rachitycznego światła błysnęła klinga.

– „Obrońcy oyczyzny, patryocie szczeremu” – przeczytał Miler.

– Z czasów insurekcji kościuszkowskiej. To szabla adiutanta Kościuszki, co pod rozkazami Berka Joselewicza służył.

– Tego Żyda?

Banasik pokiwał głową. Miler wyciągnął plik dolarów, odliczył dwieście pięćdziesiąt i wręczył koledze.

– W Łodzi nikt ci tyle nie da. Może w Warszawie, może w Krakowie. Ale przecież nie będziesz z tym mieczem jeździć po Polsce. Masz, sprzedaj, a później kup Halinie futro.

Gdy Zdzisław wyszedł z lokalu, było już bardzo późno, miał jednak szczęście i zdążył na ostatni wieczorny autobus. Kiedy wrócił do domu, Halina i Andrzej już spali.

Rozdział 3



W siedzibie komendy wojewódzkiej oprócz kapitana Banasika był też prokurator Drzewicki. Banasik był zaskoczony aktywnością prokuratora, który – w przeciwieństwie do wielu innych osób na tym samym stanowisku – bardzo angażował się w śledztwo. Siostra domniemanej samobójczyni była atrakcyjną blondynką o niebieskich oczach. Dzień był chłodny, toteż dziewczyna pod jesionkę włożyła robiony na drutach sweter. Przesłuchanie zaczęła kapitan.

– Czy zauważyła obywatelka jakieś dziwne, niepokojące zachowanie u siostry? Czy młodsza siostra obywatelki skarżyła się na coś? Czuła się czymś zaniepokojona?

– Nie. Nie kojarzę. Ona była zamknięta w sobie. Lepszy kontakt miała z moim chłopakiem. Lubili się. Często rozmawiali.

– O czym? – wtrącił się prokurator.

– O życiu. O Bogu. Benek odprowadzał ją często do kościoła. Albo przyprowadzał. Szczególnie jesienią i zimą, gdy było ciemno.

– Z mszy ją odprowadzał? Msze wieczorne kończą się, o ile dobrze wiem, przed dziewiętnastą.

– Nie zawsze były to msze.

– Nie rozumiem – powiedział Banasik i zawiesił głos.

– Siostra była uduchowiona. Często spędzała wiele godzin na rozmowach z księdzem.

– Jakim księdzem? – zapytał prokurator.

– Z księdzem Chwaliszewskim.

– Z parafii Biedaczyny?

– Z parafii Świętego Biedaczyny z Umbrii – odparła kobieta.

– No dobrze. Proszę uściślić, co to znaczy, że spędzała u księdza kilka godzin. Ile? Dwie czy więcej?

– Czasem więcej. Zdarzało się, że wracała do domu koło jedenastej. To jest dwudziestej trzeciej.

– Co na to rodzice? – indagował Drzewicki.

– Siostra rzadko nocowała w domu. Prawie zawsze spała u babci. Była z nią bardzo związana.

– To co na to babcia?

– Nic – odrzekła prostolinijnie młoda kobieta.

– Jak to nic? Kilkunastoletnia dziewczyna spędza u księdza parę godzin, a babcia nie reaguje?

– Babcia dobrze zna księdza Chwaliszewskiego, udziela się w jego kościele. Sprząta sale katechetyczne, często nosi tam kwiaty z ogródka. Jest na każdej mszy rannej.

– Rozumiem – powiedział Banasik i spojrzął na Drzewickiego, a ten zadawał kolejne pytania.

– Czy chłopak obywatelki, ten Benek, jak go obywatelka nazwała, też zna tego księdza?

– Tak. Ksiądz go ochrzcił w czasie wojny. Rodzice Benka byli...

– Wiemy, kim byli – przerwał jej prokurator.

Gdy przesłuchanie zostało zakończone, Drzewicki zapalił i siorbnął ze szklanki potężny łyk herbaty. Myślał nad czymś intensywnie. Papierosy marki Mewa, które palił oskarżyciel, miały, w przeciwieństwie do innych produktów polskiego przemysłu tytoniowego, całkiem ładny zapach. Prokurator uważnie lustrował wzrokiem zdobienia na metalowym uchwycie, w którym osadzona była szklanka. Banasik milczał. Wreszcie Drzewicki się odezwał.

– Dziwne to wszystko. Nie sądzicie?

Banasik kiwnął głową, a prokurator mówił dalej.

– W tym momencie mamy takie dane. Dziewczyna powiesiła się na parceli należącej do kościoła. Nic nie wskazuje na to, żeby leczyła się psychiatrycznie lub żeby miała na tle psychicznym jakieś problemy. Sprawdziliśmy środowisko szkolne i klasowe. Brak punktu zaczepienia, aby stwierdzić, że to coś związanego ze szkołą było przyczyną targnięcia się na życie. Miała dobre oceny. Dobre zachowanie. Zwróciliśmy uwagę na to, że nie miała przyjaciółki, takiej od serca. Ale kilka osób, z najbliższymi włącznie, potwierdziło, że dziewczyna była cicha i zamknięta w sobie. Jest rzeczą zaskakującą, że mieszkała nie w domu rodzinnym, ale u babci. Jeżeli jednak uwzględnimy fakt, że dom rodziców znajduje się na tym samym osiedlu, kwadrans spacerkiem od domu babki, to nie powinniśmy doszukiwać się tutaj niczego niepokojącego. Z matką i ojcem mogła widzieć się

codziennie. Zastanawiające jest natomiast, że babka tolerowała, a wręcz akceptowała częste, niemalże nocne wizyty wnuczki u księdza. To jest dla mnie rzecz zdumiewająca i należy ją wyjaśnić.

– Jest jeszcze ten chłopak...

– Właśnie. Może nie ma w tym żadnej historii. Chłopak zna tego samego księdza, z którym dużo czasu spędzała domniemana samobójczyni. Może to po prostu przypadek. Jeżeli jednak uwzględnimy poglądy tego Szadkowskiego, czy tam Goldsteina, oraz wicherzycielską postawę podczas wypadków marcowych, to wtedy...

Prokurator nie musiał kończyć zdania. Kapitan doskonale rozumiał, co oskarżyciel chciał powiedzieć.

– Reasumując... – Prokurator stuknął wiecznym piórem w notatnik. – Po pierwsze: przesłuchać babcię. Po drugie: tego Goldsteina. Po trzecie: księdza. Po czwarte: innych duchownych z tejże parafii. Po piąte: uzyskać szczegółowe informacje od towarzyszy z SB. Kupa roboty. A mówią, że z samobójstwami to najłatwiej, bo nie trzeba szukać sprawcy.

Rozdział 4



W szpitalu w Łagiewnikach panował spokój. Pielęgniarkom i lekarzom udzielał się genius loci. Przybytek wiedzy medycznej otoczony był pięknym lasem. Banasikowie często robili sobie na te tereny wycieczki rowerowe. Zimą Zdzisław zwykł przemierzać bór na biegówkach. Ani on, ani jego żona nie przewidywali, że pewnego dnia znajdą się w Łagiewnikach w celu innym niż rekreacja. Oboje tępo patrzyli na obłożone śniegową pościelą drzewa. Banasik jednak widział swą żonę kątem oka. Od porodu minęło kilka tygodni, ale na jej twarzy czas odmierzył całą dekadę. Miała szarą cerę i podkrążone oczy. Od dwóch tygodni nie wrzeszczała już na męża. Nie miała siły. Zdzisław przyłożył czoło do chłodnej szyby. W zachodzących ciemnościach zaczęły intensywnie płonąć oczy saren, dzików i jeleni. Przez moment poczuł się tak, jakby był w planetarium.

Z podróży międzygalaktycznych wyrwało go szarpnięcie za ramię Haliny.

– Mam pewną hipotezę – oznajmił gruby doktor.

Banasik był tak zmęczony nieprzespanymi nocami, że z kłopotami wrócił na ziemię. Instynktownie chwycił żonę za rękę. W jej oczach płonęła niepewność, która podkreślała szarość oblicza spowodowanego stresem. W oczach doktora Gutmana dostrzegł zaś kiepsko maskowany smutek.

– To chyba cytomegalia – powiedział.

– Groźne to? – Ojciec o sekundę ubiegł matkę.

– Groźne. Szczególnie dla malutkich dzieci. U starszych dzieci oraz dorosłych wytwarzają się przeciwciała. Prawdopodobnie i wy, i ja przechodziliśmy tę chorobę. U dorosłego przypomina grypę. Dla małego dziecka takiego jak wasz synek jest to...

– Co? – wyrzuciła z siebie Halina i wstrzymała oddech.

– To wyrok.

Ciszę łagiewnickiego szpitala przerwał skowyt. Był tak głośny, że przechadzające się na zewnątrz zwierzęta pierzchły w różne strony. Nim personel szpitalny uspokoił skowyczącą Halinę, minął kwadrans. Lekarz, zleciwszy pielęgniarkom opiekę nad lamentującą kobietą, zaprosił Zdzisława do gabinetu.

– Nie ma żadnego ratunku? – zapytał Banasik.

– W Polsce nie ma.

– A poza Polską?

– Na Zachodzie są leki, które mogą pomóc. Ale to nie jest takie proste, żeby je zdobyć. Po pierwsze: są drogie. A po drugie: trzeba mieć receptę.

– Nic się nie da zrobić? Przecież polscy lekarze mają jakichś znajomych lekarzy na Zachodzie...

– Polscy może i mają. Syjonistyczni nie. Chciałbym pomóc, ale aktualnie to niemożliwe. Złożyłem podanie o wyjazd z Polski. Jadę do Izraela. Nigdy nie uważałem się za Żyda, ale skoro teraz zostałem uznany nie tylko za Żyda, lecz także za syjonistę, to przecież nie wypada sprzeciwiać się większości. Toż to główna zasada demokracji, że większość wygrywa...

W gabinecie zapanowała cisza. Lekarz wyciągnął extra mocne i zapalił. Z niesmakiem popatrzył na żarzący się koniuszek papierosa.

– Mam nadzieję, że na Bliskim Wschodzie mają lepsze papierosy – powiedział. – Żydzi zdobyli kawał Egiptu, to może i przejęli plantacje jakiegoś porządnego tytoniu. Tych extra mocnych nie mogę już palić. – Nadal wpatrywał się w żar. – Kiedyś byłem na sympozjum w Kopenhadze. Paliliśmy ten syf, bo nie stać nas było na ichnie, zapadne, papierosy. W pewnym momencie przybiegła obsługa hotelowa. Kierownik zaczął krzyczeć i machać rękami. Okazało się, że dym z naszych extra mocnych włączył jakieś czujniki przeciwpożarowe. Ciekawe, czy dym ze spalonego Żydką też by włączył alarm.

Banasik nic nie odpowiedział. Skierował się w stronę wyjścia, a gdy już złapał za klamkę, usłyszał głos lekarza:

– Niech towarzyszy spróbuje przez Finów. Od niedawna produkuje się u nich takie leki. Ja naprawdę nie pomogę. Muszę się spakować, pozatławić różne sprawy i wyjechać. Co będzie, jak cofną zgodę na wyjazd? Ja już kilka pogromów przeżyłem. Chcę wyjechać jak najszybciej. W Izraelu tych leków nie robią. Może w Stanach? Ale nie chcę obiecywać. Zresztą to może potrwać, a lek należy podać jak najszybciej. Spróbujcie w Finlandii. Na razie wypiszę leki, które pomogą odrobinę. Nie na długo, ale przynajmniej wyhamują postępy choroby.

Rozdział 5



Lek od doktora Gutmana rzeczywiście trochę pomógł. Po kilku dniach stan Andrzeja się poprawił. Co prawda diagnoza była dla nich szokująca, ale Banasik nie ustawał w pocieszaniu żony, że na pewno uda się znaleźć dojsście do leku produkowanego w postępowej Finlandii. Przysięgał, że coś wymyśli. W końcu był nie tylko członkiem partii, lecz także aktywistą w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Obietnice ślubnego i skuteczność leków przepisanych przez medyka „syjonistę” spowodowały, że samopoczucie Haliny nieco się polepszyło.

– Może pójdziemy na jakąś dobrą kolację? – zapytał ją pewnego dnia Banasik.

– Na kolację? Do restauracji?

Halina była tak przytłoczona trudnym macierzyństwem, że właściwie zapomniała, że istnieją takie formy spędzania wolnego czasu. I że czas w ogóle może być wolny...

– No, tak. Zapraszam.

– Ale kto zostanie z Andrzejkim?

– Poproszę moją siostrę. Na pewno się zgodzi. Andrzej czuje się lepiej. Oderwiesz się. Co ty na to?

Halina przyjrzała się mężowi uważnie. Zdzisław starał się ukryć bijące względem atrakcyjnej żony pożądanie, ale nie był dobrym aktorem.

– Nie mam się w co ubrać – powiedziała.

– A ta sukienka, co ci ją kupiłem wiosną?

– Mam na myśli płaszcz. Ta kapota z laminatu pękła w szwie. Nie przypuszczałam, że będę mieć taki ogromny brzuch.

Kapitan tylko na to czekał.

Podszedł do szafy i zamasztył ruchem wyciągnął z niej walizkę. Otworzył ją. Po chwili w jego rękach znalazło się futro.

– Ależ masz się w co ubrać. To dla ciebie, kochanie – rzekł z uśmiechem.

– Boże, jakie to piękne! – Halina nie wierzyła własnym oczom. – Musiało kosztować fortunę!

Banasik czule okrył żonę nabytkiem rodem z Podhala.

– Jestem kapitanem MO – odrzekł i uśmiechnął się.

Halina podeszła do lustra. Prezentowała się wspaniale. Rozpromieniła się.

– To z Uniwersalu?

– Tak.

– Tak po prostu poszedłeś i kupiłeś?

Banasik przypomniał sobie wizytę u dyrektora PDT Uniwersal. Dyrektor nigdy by go nie przyjął, gdyby nie Miler, który przekonał totumfackiego, by ten okazał się miły dla oficera milicji.

– Załatwiłem.

– Ty? Załatwiłeś?

– Bo cię kocham.

Po chwili miękki wyrób Beskidzkich Zakładów Futrzarskich wylądował na podłodze. A na wyrobie legła para nagiich małżonków. Na szczęście synek spał snem sprawiedliwego.

Następnego dnia Banasikowie mieli wychodne. Siostra kapitana, pani Stanisława, przybyła do ich mieszkania, by zająć się Andrzejem. Halina odżyła. Włożyła niebieską sukienkę, w której wyglądała bardzo ładnie, ale mimo to nie była zadowolona. Nieprzespane noce i nerwy odcisnęły piętno na jej urodzie.

– Nie mogę iść tak między ludzi – powiedziała.

– Wyglądasz pięknie – odrzekł jej uśmiechnięty mąż.

– Kochany jesteś, ale ja wiem, co mówię. Posmaruję twarz emulsją.

Wyjęła z szafki flakonik. Na etykiecie widniał napis „Hrabina Cosel”. Specyfik został wyprodukowany w krakowskiej Pollenie-Miraculum. Halina nabrała nieco pachnącej substancji na dłoń, po czym uważnie rozprowadziła ją na twarzy. Według Zdzisława wyglądała tak samo pięknie jak chwilę wcześniej.

- Możemy iść - rzekła z uśmiechem.

Poszli. W podobnych sytuacjach koleżdy Banasika z komendy wzywali patrolujących okolice milicjantów, by podzucili ich służbową warszawą w określone miejsce. Zdzisław nigdy tego nie robił. Jeździł z żoną ogórkowatym autobusem albo tramwajem. Taksówkę brał jedynie przy wyjątkowych okazjach. W Łodzi nie można było zamówić taksówki telefonicznie, trzeba było czekać na postoju. Kapitan znał jednak taksówkarza, który w imię pewnego długu chętnie podwoził swego dobrodzieja. Banasik starał się tego układu nie nadużywać, lecz tym razem chętnie zeń skorzystał. Taksówkarz, pan Rysiek, tylko mlasnął, gdy zobaczył wystrojoną panią kapitanową. Specyfik z flakonika najwyraźniej zadziałał - Halina odzyskała zakurzone trudami macierzyństwa piękno.

- Traugutta sześć! - krzyknął gromko podochocony kapitan.

Wczorajsze harce na futrze spowodowały, że milicjant odmłodził, poczuł się silny, a krew krążyła w jego żyłach z większą mocą.

- Znaczą się savoyka! - Taksiarz uśmiechnął się pod wąsem i dodał: - Dziś sobota. Gra Quintet Romka Jarzyńskiego. Porządny zespół.

- Naprawdę? - zdziwiła się Halina. - Mój Boże, zapomniałam już, kiedy ostatni raz byłam w restauracji. Bożenna Frankowska dalej w nim śpiewa?

- A jakże.

- Uwielbiam ten jej charakterystyczny, miękki głos.

- Ja też - zgodził się szofer.

Banasik siedział cicho.

Nie znał się na współczesnej muzyce i nie miał jasno sprecyzowanego gustu. Wiedział jedno: nie cierpiał momego uderzenia.

- Jeżeli chodzi o menu - zaczął nowy wątek kierowca - to dziś brizol z cebulką. Nie taki jak kiedyś, ale zjadliwy.

- A dlaczego nie taki jak kiedyś? - zapytała Halina.

- A bo kucharz już nie ten co kiedyś.

- Umarł?

- Nie. Okazał się syjonistą.

Dojechali. Rytuał był taki, że Banasik zawsze sięgał po portfel, a prowadzący pojazd odpowiadał, że nie trzeba. Teraz też tak było.

- Macie zarezerwowany stolik? - zapytał na odchodne pan Rysio.

- Nie - odpowiedział cicho kapitan.

- No to marne szanse. - Taksówkarz pokręcił głową.

- Na co? - dociekała Halina.

- Na dancing.

Koleżdy z komendy nie zajmowali się takimi głupotami jak rezerwacja stolika. Wyciągali służbową legitymację i nagle się okazywało, że stolik się znajdował. Banasik nigdy tego nie robił.

- I co teraz? - Żona przeniosła pytające spojrzenie z kierowcy na męża.

- Nic to - odrzekł pan Rysio i zaśmiał się serdecznie. - Powiedzcie szatniarzowi, że przychodzicie od Bogdana Stańczykowskiego. To gitarzysta. Często u nich gra.

- Tak mamy powiedzieć? - wyraził zdumienie Banasik.

- Tak. Właśnie tak. Weźcie też to. - Taksówkarz sięgnął do schowka i wyciągnął paczkę belwederów. - Nie zawadzi wzmocnić siły argumentu.

Belwedery bardzo się przydały. Szatniarz schował paczkę do kieszeni. Pochwalił też głośno ostatni występ Stańczykowskiego, choć nieco sarknął, że rzeczony muzyk bardziej się stara podczas gry w Tivoli na Tuwima. Dostali stolik, który znajdował się tuż pod sceną. Banasik nie był tym faktem zachwycony, ale nic nie powiedział. Zamówili polecany przez taksówkarza brizol. Zdzisław nie pił alkoholu, jego żona natomiast zażyły sobie bułgarskie wino.

- Nie ma bułgarskiego - odparł kelner.

- A jakie jest?

- Mamy węgierskie. Niedźwiedzią krew. Bułgarskie jest w Peszcie, na Piotrkowskiej. Ale oni nie mają z kolei węgierskiego. - Ober uśmiechnął się szeroko.

- Może być węgierskie.

O dwudziestej rozbrzmiały dźwięki muzyki. Poszli tańczyć. Halina była zachwycona. Brizolem, winem, muzyką i tym, że chociaż na moment nie musi być piastunką. Band Jarzyńskiego grał dziarsko. Lekko zdyszani wrócili do stolika.

- Może napijiesz się lemoniady, kochanie? - zapytał kapitan.

- Chętnie.

Banasik kiwnął na kelnera. Ten po chwili przyszedł z butelką oranżady. Halina wypła z ochotą.

- A może życzą sobie państwo deser? Mamy wspaniałe wuzetki - zapytał pracownik lokalu, pochyliwszy się lekko.

- Kochanie... życzysz sobie? – podchwycił kapitan.

Halina chciała odpowiedzieć, że ma ogromną ochotę na deser, ale nagle zapiekły ją oczy.

- Może później – odrzekła, siląc się na uśmiech.

Banasikowi nie umknęła ta zmiana nastroju żony.

- Wszystko dobrze? – zapytał.

Halinę oczy piekły tak, jakby ktoś je wypalał żywym ogniem. Spojówki napuchły. Łzy leciały ciurkiem.

- Zaraz umrę – wyrzęziła.

Kapitan zerwał się od stolika. Na blacie zostawił należność z solidną nadwyżką i chwyciwszy żonę wpół, pobiegnął do szatni.

- Gdzie jest najbliższy postój? – zapytał szatniarza.

- Za rogiem, ale obawiam się, że trzeba będzie poczekać. Jest sobota, ludzie kursują. Ze Słonia do Turystycznej, z Turystycznej do Akademickiej. A największe obłożenie to ma Casanova obok kina Włóknarz. Odkąd tam organizują striptiz, to, panie drogi, tłumy takie jak na procesji w Boże Ciało...

Banasik nie słuchał dalej. Żona zaczęła dygotać. Czuła, że jej oczy stają się zionącymi ogniem i spływającymi ropą dziurami. Na postoju nie było żadnej taksówki. Banasik zaczął kląć na czym świat stoi. Na tej niechlubnej czynności zastał go milicyjny patrol.

- A to co? – zawołał milicjant z wnętrza warszawy i zatrzymał auto. – Pobiliście konkubinę, a teraz jeszcze fugacie w jej towarzystwie?

Milicjantowi dłużyla się służba i miał wielką ochotę komuś przylać. Był bardzo zadowolony, że nadarzyła się po temu okazja. Już wyjmował pałkę i szykował się do interwencji, gdy nagle rozpoznał kapitana.

- Na pogotowie! – ryknął Banasik.

Warszawa szarpnęła, zawyla i ruszyła z kopyta. Na miejscu znaleźli się w ciągu kilku minut. Na szczęście pora była jeszcze dosyć wczesna, a apogeum dyżurowego horroru miało nadejść dopiero po północy. To wtedy alkoholowe surmy budziły dusze szwależerów z wąwozu Somosierry. Po dwunastej toczono pojedynki na butelkowe tulipany, wyznawano sobie miłość, pijani mężowie wyganiali z własnych łóżek przygodnych gachów swoich żon. Na styku soboty i świętej dla katolickiej większości obywateli niedzieli budziły się demony. Lekarz nie był zdziwiony widokiem Haliny.

- Hrabina Cosel? – zapytał od razu.

- Halina Banasik – odpowiedziała kobieta.

- Nie pytam, jak się pani nazywa, tylko czym pani posmarowała twarz.

- Aha... – wybełkotała przerażona. – Tak. Hrabina Cosel, emulsja do twarzy.

Lekarz westchnął i pokręcił głową wymownie.

- Nie mam dyżuru, by się obeszło bez hrabiny.

- Jak to?

- Tak to. Silnie uczuła. Dodają do tego jakiegoś syfu i oto skutek.

- Ale będę żyć? – zapytała wyraźnie zdziwiona Halina.

- Tak. – Lekarz uśmiechnął się uspokajająco. – Zrobię pani opatrunek i wypiszę receptę. Dwa-trzy dni i będzie po balu. To znaczy wróci pani do formy.

Rozdział 6



Listopad zawisł nad miastem, a jego aura w ponurej komitywie z wyziewami z fabrycznych kominów utworzyła ciężki kożuch. Kożuch dusił i dławił. Zabierał tlen. Kawałki szarej utkanej z dymu skóry drapały w nosie i ścisnęły za gardło.

Były student Szadkowski siedział na krześle przygnieciony szarością. Oddychał nią, gdyż była wdmuchiwana przez przesłuchującego go prokuratora Drzewickiego. Obłoki papierosowego dymu unosiły się w pomieszczeniu, tworząc szczelne kotary. Pety w popielniczkach na biurku układały się w hałdy.

Szadkowski vel Goldstein najchętniej wtopiłby się w to szare tło i stał się niewidzialny. Duszące się na blacie pety przywodziły mu na myśl stopy ciał zagazowanych w Auschwitz Żydów.

W gabinecie był również Banasik, który kasłał i krztusił się dymem. Mimo to nie ośmielił się na zwrócenie uwagi prokuratorowi. Patrzył na biurko. Upchnięte w popielniczkach resztki papierosów przypominały mu potrawkę, którą matka serwowała mu, gdy jeszcze mieszkali na wsi. Mały Zdzichu rzygał po tym specjale za każdym razem. Matki to jednak nie zrażało i konsekwentnie wciskała mu do gardła popielatą breję.

Prokuratorowi niedopałki kojarzyły się z robakami, które leżyły się w trupach zabitych podczas kampanii wrześnieowej kolegów. Oskarżyciel odegnał natrętne myśli i zadał pytanie.

- Od kiedy obywatel zna rodzinę Żydków?

- Od dwóch lat.

- Czy obywatel zostaje w intymnych relacjach z Faustyną Żydek, siostrą Marii?

- Tak.

- Faustyna Żydek zeznała, że obywatel miał dobre relacje z jej siostrą, wspomnianą Marią. Czy obywatel potwierdza?

- Można tak powiedzieć. Lubiliśmy się. Ja i Marysia. Często rozmawialiśmy.

- Czy obywatel zaprowadzał Marię do księdza Chwaliszewskiego? Księdza z parafii Biedaczyny. Tak zeznała Faustyna Żydek.

- Tak. Marysia lubiła przesiadywać u księdza Jana. Dużo rozmawiali o Bogu. Czytali razem Biblię. Chodziłem z nią tam szczególnie zimą, gdy było ciemno. Na drodze do kościoła są miejsca trochę odludne, jakieś krzaki... Faustyna się bała, że Marysię ktoś może napaść i...

- I co? - Prokurator uniósł brwi.

- Zgwałcić.

- A dlaczego siostra się tego bała? Czy Maria Żydek zachowywała się prowokacyjnie? Miała czternaście lat. Hormony buzują...

- Nie.

- Na pewno? Może jednak? Czy latem Maria nosiła może spódniczki mini?

- Jak było gorąco... Miała jedną mini. Taką w kwiatki.

- Czy wkładała tę spódnicę, gdy szła do księdza?

- Nie pamiętam. Może wkładała. A może nie. - Chłopak pokręcił głową. Było widać, że jest zmęczony i zniechęcony.

- Nie w czasie waszych kontaktów, mam na myśli kontakty obywatela z Marią, dziewczyna mówiła coś więcej o spotkaniach z księdzem Janem? Coś zwróciło uwagę obywatela?

- Nie. Raczej nie. Nic nie zwróciło mojej uwagi. Po drodze uczyłem Marysię angielskiego. Uczyliśmy się poszczególnych słówek. Taki rodzaj zabawy. Bardzo to lubiła.

Po zadaniu jeszcze kilku standardowych pytań świadek był wolny. Gdy wyszedł, prokurator zapalił kolejnego papierosa.

- No i co? - rzucił w stronę Banasika.

Kapitan milczał. Oskarżyciel dmuchnął kolejnym kłębem dymu, rozparł się na fotelu i sam sobie odpowiedział:

- Na pozór nic ciekawego, ale cały czas nurtuje mnie pewien problem. Nazwijmy go problemem moralnym. Dziewczyna miała czternaście lat. W takim wieku myśli się o bardzo różnych sprawach, ale raczej doczesnych niż eschatologicznych. Szkoła dobrze wdraża materialistyczny punkt widzenia. Przesłuchaliśmy dyrektorę, wychowawczynię, kolegów i koleżanki z klasy. Nikt nie zwrócił uwagi na szczególną gorliwość religijną Marysi

Żydek. Nikt. Zero nawiązań do Kościoła. To mnie dziwi. Coś tu się ewidentnie nie zgadza. Poza tym w mojej przygodzie z prokuratorem ani razu nie spotkałem się z przypadkiem szczególnie pobożnej czternastolatki. Za to wielokrotnie stykałem się z kontaktami starszych mężczyzn z nieletnimi.

Banasik uniósł wzrok i zmarszczył brwi.

– Obywatel sugeruje...

– Na razie nic nie sugeruję – przerwał mu prokurator. – Po prostu kojarzę fakty i zadaję pytania.

– Musimy przesłuchać księdza.

– Właśnie.

Drzewicki przeniósł wzrok z Banasika na duże okno. Kapitan podążył za jego spojrzeniem. Ulicami sunęły tłumy. W szarej zawieszinie dnia wyrębywała sobie drogę do domu pierwsza robotnicza zmiana. Bramy fabryk szturmowali ci, którym los przeznaczył pracę do dziesiątej wieczorem. Najgorzej mieli ci, którzy musieli pracować na trzecią zmianę, czyli w nocy. Prokurator westchnął i rzekł:

– Pamiętam jesień czterdziestego drugiego. Przebywałem wtedy w jednej z lubelskich wsi. Wysiedlili mnie. Pochodzę z Bydgoszczy. Ojciec był nauczycielem, zabili go jeszcze we wrześniu. Matka zmarła w pociągu – w oczach prokuratora na moment błysnęła łza – ze starszym bratem wysiadłem tuż na granicy z Generalną Gubernią. Kopniakami przepędzili nas przez kordon. Nie mieliśmy pojęcia, co ze sobą zrobić. Kolega brata ze studiów mieszkał w Lublinie, więc tam pojechaliśmy. Poleciał nas jakimś swoim krewnym na wsi. I tam właśnie mieszkałem do jesieni czterdziestego drugiego. Przynieś, wynieś, pozamiataj – westchnął. – W okolicach ukrywał się pewien Żyd. Dawaliśmy mu jedzenie. My i nasi sąsiedzi. Któregoś razu przyszedł cały pokrwawiony. Opatrzyłem mu rany. Założyłem bandaż. Następnego dnia złapali go Niemcy. Zapytali, kto zrobił mu opatrunki. Pewnie zauważyli, że były świeże. Powiedział. Przyszli i rozstrzelali wszystkich. Gospodarzy, ich córkę, w której się podkochiwałem, i małego Antosia. Miał cztery latka. Potem to samo zrobili ze wszystkimi, którzy temu Żydowi pomagali. Każda rodzina, od której dostawał jedzenie, została zabita. Do dzisiaj zadaję sobie pytanie, po co im powiedział. Co chciał ugrać? Życie? – Drzewicki parę razy zacisnął zęby na dolnej wardze. – Powiesili go na gałęzi z obciętych genitaliami. Przecież musiał wiedzieć, że go zabiją. Wszyscy to wiedzieli. Więc po co wydał na śmierć kilkanaście osób? Każdego dnia zadawałem sobie to pytanie. Ale teraz, po przeszło dwudziestu latach, już wiem. – Spojrzał wprost na Banasika i dokończył: – Bo oni nas nienawidzą.

Kapitan nie odpowiedział, bo rozległo się pukanie. W drzwiach ukazała się starsza kobieta. Babcia Marysi Żydek wyglądała tak, jakby dopiero co wyszła z jakiejś pozytywistycznej noweli, która opisywała żmudę żywota klasy pracującej. Ręce kobiety przypominały pęk żył. Banasik miał wrażenie, że skóra, która chroniła układ krwionośny, jest tak delikatna i pomarszczona, że za chwilę pęknie i czerwona jucha buchnie na papierzyska leżące na biurku. Na szczęście krew nie wyciekła, a skóra nie pękła. Za to w bladych oczach pojawiły się łzy.

– Leokadia Żydek. Urodzona piątego listopada tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku. Zgadza się? – zapytał milicjant.

Kobieta kiwnęła głową. Do uszu śledczych doleciało westchnienie, które wzięli za odpowiedź twierdzącą.

– Czy zauważyła obywatelka jakieś niepokojące zachowanie wnuczki, Marii? – zadał pytanie Drzewicki po wypowiedzeniu formułki dotyczącej wagi składanych zeznań.

– Nie. Nie wiem. Jestem stara. Nie rozumiem młodych.

– Ale z wnuczką miała obywatelka szczególne relacje – stwierdził Banasik – mieszkała u was. Znaczy się w domu obywatelki.

Starsza pani skinęła głową.

– Czy wnuczka skarżyła się na coś? – zapytał prokurator.

– Czuła się zagrożona? – dopytał się Banasik.

– Nie wiem – odpowiedziała cicho kobieta – nie wiem. Mało rozmawiałyśmy. Ona była zamknięta sobie. Mało mówiła. Ja się nie dopytywałam. Robotna była. Obejście posprzątała, obiad ugotowała. Często mi pomagała w sprzątaniu kościoła. Na Wielkanoc zawsze pomagała przyozdabiać grób Pański.

– Nie niepokoiła się obywatelka tymi nocnymi wizytami u księdza Chwaliszewskiego? – spytał Drzewiecki.

– Nocnymi? – zdziwiła się kobieta. – Nocne to były zmiany w fabryce za sanacji. Jak władza ludowa wyzwoliła nas od wyzysku kapitalistów, to miało ich nie być. Ale są do dziś i mają się dobrze.

– Ale przyzna obywatelka, że to trochę podejrzane, te wizyty u księdza – prokurator udawał, że nie zauważył hardości w jej głosie.

– Wnuczka zawsze była w domu kwadrans po jedenastej. Późno, ale ministranci, którzy pomagają przy kolędzie, często wracają po północy.

Zbity z tropu Drzewiecki zamilkł, co wykorzystał milicjant.

– Wnuczka popełniła samobójstwo na parceli, która należy do parafii Biedaczyny z Umbrii. Była tam obywatelka kiedyś? Wnuczka знаła to miejsce?

Twarz babci stężała. Krew z rachitycznych żyłach ruszyła z kopyta. Banasik znów zaczął się obawiać, że posoka przerwie lichą jak papier skórę.

- Tak - powiedziała - za młodych lat często tam bywałam. Przed okupacją był tam sad. Oprócz drzew owocowych rosły też ogórki, cebula. Z owoców porzeczki.

- Teraz to raczej są tam chaszczki - stwierdził prokurator.

- Od czasów tego wypadku... - Kobieta zamilkła, jakby przestraszona własną odwagą.

- Jakiego wypadku? - Głos Banasika stał się napastliwy.

Leokadia westchnęła. Kapitan miał wrażenie, kobieta jest wściekła, ale nie na śledczych, tylko na siebie samą.

- Tam za sanacji taka dziewczyna się powiesiła. Ludzie gadały, że nie była normalna, że chora na głowę.

- Ile miała lat? - Milicjant poszedł za ciosem.

- Nie pamiętam. To dawno było. A ta dziewczyna to była jakaś znajda. Nikt jej nie znał. Nie pamiętam, jak się nazywała i ile miała lat. Dawne dzieje.

Prokurator spojrział uważnie najpierw na kapitana, a potem na przesłuchiwaną.

- Wnuczka wiedziała o tej dziewczynie?

- Nie. Chyba nie. Nie wiem, ale nigdy o to nie pytała. A je jej nie mówiłam.

- A czy o tym, że posesja należy do kościoła, wiedziała?

- Tak, chyba tak. Latem spotykała się tam...

- Z kim? - Prokurator niemal krzyknął.

- No, z księdzem Chwaliszewskim.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

- To znaczy o Biblii rozmawiali. Jak ładna pogoda była, to tam się spotykali. Modlili się i rozmawiali o zbawieniu duszy.

Rozdział 7



Antoni Czyzewski był łodzianinem w piątym pokoleniu. Jego rodzina od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku była związana z lewicą. Ojciec Antoniego aktywnie działał w PPS, reprezentował lewe skrzydło partii. Dziadek zginął w czerwcu 1905 roku. Pradziadek zakładał łódzką komórkę Wielkiego Proletariatu.

Jabłko Antoniego upadło blisko rodzinnego drzewa, nie poturlało się w stronę reakcji. Antek od początku lat czterdziestych brał aktywny udział w działaniach dywersyjnych. Przy okazji różnych rozłamów w PPS młodzieniec coraz bardziej orbitował w lewą stronę. W 1944 jego oddział podporządkował się komunistycznej Krajowej Radzie Narodowej i zasilił komunistyczną partyzantkę – Armię Ludową. Czyzewski, podobnie jak większość jego kolegów z oddziału, nie czuł się komunistą.

Po wojnie jego rezerwa do PPR wzrosła, chociaż nie od razu. Do końca 1948 weteran walk w faszyzmie aktywnie działał w strukturach „lubelskiej” PPS. Domagał się zjednoczenia macierzystej partii z PPR. Jakież było jego zdziwienie, gdy odmówiono mu członkostwa w PZPR. Nie przeszedł weryfikacji, tak jak wielu jego towarzyszy partyjnych.

Rozczarowany skupił się na pracy intelektualnej, ukończył, jako ekstern, studia prawnicze. W roku pięćdziesiątym pierwszym został oskarżony o przynależność do faszystowskiej organizacji. Przeszedł trudne śledztwo i wysokim wyrokiem wyłądownął we Wronkach. Wyszedł w pięćdziesiątym piątym z mocno zszarganym zdrowiem. Po Październiku zaproponowano mu wstąpienie do PZPR, ale odmówił. Rozpoczął przewód doktorski i został na uczelni.

Gdy nadszedł Marzec, polityczny demon obudził się z odrętwienia, Antoni poparł buntujących się studentów. Po kilku miesiącach został uznany za bumelanta i wicherzyciela idącego na lep syjonistycznej propagandy. Został wyrzucony z Uniwersytetu Łódzkiego.

Kiedy porucznik Banasik zapukał do drzwi, doktor Czyzewski nie chciał mu otworzyć.

Dopiero namolne nakłanianie oraz, pełne patosu, odwoływanie się do wspólnej walki z Niemcami przyniosło skutek.

– Przyszedłeś mnie aresztować za czytanie Mickiewicza? – zapytał ze złością.

– Wpuść mnie – rzekł miękko, niemal proszącym tonem milicjant.

– Czego chcesz? – Gospodarz uchylił drzwi.

Po chwili Banasik wszedł do przestronnego wnętrza. Czyzewski mieszkał w centrum, na Kościuszki, w dobrej zachowanej, porządnej kamienicy.

– Przychodzę jako kolega – powiedział serdecznym tonem milicjant.

– W mundurze?

– No, jestem w pracy, znaczy się na służbie.

– Siadaj. – W głosie gospodarza domu dalej pobrzękiwała nieufność.

– Chciałem cię o coś zapytać.

– Przesłuchać.

– Nie. Po prostu muszę cię o coś zapytać. Mam nadzieję, że nie będę musiał cię wzywać na komendę.

– No to pytaj – rzekł niechętnie Czyzewski.

– Dobrze pamiętam, że przed wojną mieszkałeś na starym Rokiciu?

– Dobrze pamiętasz.

– Przed wojną na parceli należącej do parafii Biedaczyny z Umbrii powiesiła się młoda dziewczyna. Pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam. Ludzie gadali, że to przez księdza. On miał ją wykorzystywać. W ciąży miała być. Różnie ludzie mówili. Sanacyjna policja umorzyła sprawę. Ukrecono jej łeb. Pamiętam, że PPS próbowała temu przeciwdziałać, pisano różne petycje. Nawet Dubois z Warszawy przyjechał i obiecywał pomoc prawną, ale co tam Dubois mógł zrobić. Policja sprawę umorzyła, prokuratura nie miała zastrzeżeń do pracy policji. Z klechami nikt nigdy jeszcze nie wygrał. Za sanacji nikt nawet nie próbował z nimi zadziierać. Kamień w wodę.

– Kojarzysz nazwisko tego księdza?

– Ksiądz Nowak, albo Nowakowski, jakoś tak.

– Wiesz co się z nim stało? Przeżył wojnę?

– Nie przeżył.

- W Dachau?
- Myślisz, że jak klecha nie przeżył wojny, to musieli wykończyć go Niemcy.
- A nie?
- Nie. - Gospodarz zawiesił głós.
- Widzę, że wiesz coś o tym.
- Widzę, że ciebie to interesuje. Jak mi powiesz, o co chodzi, to może coś mi się przypomni.
- Prowadzę śledztwo. Samobójstwo. Młoda dziewczyna. Czternaście lat. Mamy różne wątpliwości, czy rzeczywiście było to samobójstwo. Dziewczyna powiesiła się na parceli należącej do parafii Biedaczyny. Coś sobie przypomnisz?

- Nieźle. - Były pepesowiec aż gwizdnął.
- To co się z tym Nowakiem stało? Ktoś się zemścił?
- I tak, i nie - stwierdził filozoficznie były pracownik uniwersytetu.
- Za dużo to sobie nie przypominałeś.

W odpowiedzi doktor praw poczłapał do kuchni.

- Herbaty? Wódki nie proponuję, chyba że zmieniłeś zasady.
- Herbaty, chętnie.

Po chwili czajnik zagwizdał przeciągle. Czyżewski wyciągnął z szafki butelkę wódki, nalał sobie dubeltową porcję. Po minucie na stole w dużym pokoju buchnęła para z dwóch szklanek herbaty.

- Tego klechę wykończyli akowcy, jakoś na początku wojny.

- Akowcy? - Banasik zrobił zdziwioną minę.

- Siedziałem razem z Walterem-Janke, czyli wojennym Gertrudą, szefem akowskiego wywiadu. Dużo mi opowiadał. Był przekonany, że go wykończycie. Walter-Janke pochodził z Pabianic, był ministrantem, służył do mszy niejakiemu Koneckiemu. Konecki za młodu był w PPS, w organizacji bojowej. Ruscy go złapali i dostali czapę. W PPS zapadła decyzja, by wykupić go z cytadeli.

- Wykupić z cytadeli? - nie dowierzał Banasik.

- Podobno sama góra podjęła tę decyzję. Udało się go wyciągnąć, ale gość zwariował, wstąpił do seminarium, potem wyjechał do Grazu. Został asyriologiem, tłumaczył manuskrypty. Gdy Niemcy weszli, to już w czterdziestym roku zaczęli zamykać kościoły. Koneckiego wyrzucili z Pabianic. Na krótko znalazł azyl w parafii Biedaczyny. Ale tę parafię też zamknęli, a Koneckiego wysłali do obozu, gdzie go zamordowali. Walter-Janke opowiadał, że tego księdza wystawił gestapo właśnie ten Nowak lub Nowakowski. Walter mówił, że ten Konecki miał gdzieś ukryte stare monety, jakieś cenne manuskrypty... Podobno część tego depozytu wykorzystali akowcy w czasie wojny. Te monety sprzedali na czarnym rynku i wykorzystali na potrzeby jakiejś akcji...

Gospodarz przerwał na moment, wrócił do kuchni i chlupnął kolejną porcję gorzałki.

- Walter opowiadał - wrócił do wątku - że się akowcy zwiedzieli, że ten Nowak lub Nowakowski wystawił Niemcom Koneckiego. Podobno sam Konecki przesłał gryps. Z tego, co mówił Walter, nie było rozprawy sądowej. Był początek wojny, konspiracyjne sądy dopiero raczkowały. Rozwalili go bez sądu. W imię zasad.

- A ta dziewczyna, co się powiesiła?

- Walter o niej wspominał. Zanim tego Nowaka lub Nowakowskiego załatwili, to zrobili rozeznanie. Próbowali się czegoś o nim dowiedzieć. No i się dowiedzieli. Walter powiedział, że dotarli do świadków, którzy potwierdzili, że ten klecha wykorzystywał nieletnie dziewczęta. Podobno nie ona jedna się zabiła. Prawdopodobnie był też jakiś inny ksiądz, który wykorzystywał te dziewczyny.

- Jesteś pewien?

- Jak siedzisz w pierdłu i grozi ci czapa za to, że walczyłeś z Niemcami, to pamiętasz każde słowo.

- W sądzie to potwierdzisz?

- Nie. Nie potwierdzę. Powiedziałem to, bo jesteś moim towarzyszem broni. Sam mówiłeś, że to nie przesłuchanie.

- Masz adres Waltera-Janke? Z tego, co wiem, publikuje jakieś prace naukowe.

- Mam. Nie wiem, czy będzie chciał z tobą gadać. Powie to samo co ja, że minęły lata od wojny i nic nie pamięta.

- Muszę się przekonać. Mogę się na ciebie powołać?

- Spróbuj, ale lepiej skłamać, że znałeś lub twoi rodzice znali towarzysza Waśniewskiego. To był jego najbliższy współpracownik w czasie służby w Łodzi. Dużo o nim opowiadał. Ten Waśniewski, czyli towarzysz Mundzio, umarł na kolanach Waltera w dwa lata po wojnie. Hollywoodzka scena.

Po chwili Czyżewski napisał na kartce adres do majora AK Zygmunta Waltera-Janke.

Pod wskazany adres Banasik pojechał w cywilnym ubiorze. Uprzednio zatelefonował i zaanonsował swoje przybycie. Stary akowiec przywitał go ze zdziwieniem. Gdyby nie polecenie Czyżewskiego Banasik, musiałby wysłać oficjalne pismo wzywające na przesłuchanie, ale na razie nie chciał tego robić.

- Antoni Czyżewski uprzedził mnie o pańskiej wizycie - powiedział chłodnym tonem major - może być forma pan? Czy lepiej tytułować pana obywatelem kapitanem?

- Trudno by sanacyjny oficer reakcyjnej Armii Krajowej zwracał się do ruskiego pacholka per obywatelu kapitanie. - Banasik zaryzykował żart.

- Niebyszałe poczucie humoru jak na milicjanta.

Banasik pochwalił się w myślach za nieszablonowe zagranie.

- Herbaty? - zapytał major.

- Nie, dziękuję. Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

- Rozumiem, że nasza rozmowa ma charakter nieoficjalny.

- Jak najbardziej.

- To w czym mogę pomóc?

- Chodzi o księdza Nowaka lub Nowakowskiego z parafii Biedaczyny z Umbrii.

Na twarzy majora pojawił się cień nieufności.

- Nie kojarzę. Nie znam. Chyba nie pomogę.

Banasik był przygotowany.

- Dotarłem do informacji, że na początku wojny rzeczony ksiądz miał udział w wydaniu księdza Koneckiego w ręce gestapo...

- Bzdura. - Walter się obruszył.

Banasik westchnął.

- Panie majorze - powiedział z patosem - ja wiem, że siedział pan niesłusznie w więzieniu. Wiem, że za swoją postawę w czasie wojny zapłacił pan bardzo wysoką cenę. Ja też walczyłem. Mój ojciec był w PPS, znał księdza Koneckiego, gdy ten był jeszcze towarzyszem z Organizacji Bojowej PPS - myśl o małym kłamstwie przysłała w ostatniej chwili - moi rodzice dobrze znali towarzysza Waśniewskiego, czyli towarzysza Mundzia.

Kłamstwo zadziało. Na wspomnienie o towarzyszu Mundziu major zrobił bardziej życzliwą minę.

- Dobrze, niech pan pyta, ale zastrzegam, że w sądzie wszystkiego się wyprę i nie podpiszę żadnego dokumentu przesłuchania.

- Ma pan moje słowo.

- Proszę pytać.

- Po pierwsze, Nowak czy Nowakowski?

- Nowakowski. Alojzy Nowakowski.

- Dostał kulę za to, że wystawił gestapo księdza Koneckiego.

- Tak. Nie było oficjalnego dochodzenia. Łódź była wcielona do Rzeszy, zupełnie inne realia.

- Ale chyba jakieś dochodzenie, wewnętrzne, że tak powiem, zrobiliście?

- Oczywiście. Trudno byłoby lekką ręką wysłać do piachu księdza.

- Czy podczas tego dochodzenia wypłynęła sprawa ewentualnego wykorzystywania seksualnego dziewcząt?

Sprawa jeszcze sprzed wojny.

Major westchnął. Bił się z myślami.

- Wypłynęła. Większość moich łódzkich podkomendnych była związana z PPS. Powiedzmy, z prawym skrzydłem tej partii. Ksiądz Nowakowski był im dobrze znany. Przed wojną miał być mózgiem jakiegoś gangu księży, który zajmował się wykorzystywaniem młodych dziewcząt, a także chłopców. Były silne naciski z ich strony...

- By Nowakowskiego załatwić?

- Można tak to ująć. Wahałem się. Sprawę przesądził gryps od księdza Koneckiego. On nie miał wątpliwości, kto go wystawił gestapo. To przesądziło, ta sprawa z wykorzystywaniem nieletnich była zaś okolicznością dodatkowo obciążającą.

- Czy pamięta pan, panie majorze, jakieś informacje na temat tego gangu? Dobrze zrozumiałem, że to nie tylko ten ksiądz Nowakowski deprawował dziewczęta?

- Nie pamiętam. Oni oczywiście o tej sprawie dużo mówili, ale po tylu latach... Pamiętam wyłącznie, że jeden tych deprawatorów był z okolic Radomska. Potem miał jakieś kontakty z grupą w Warszycu. Podobno...

- To wszystko, co pan pamięta?

- Wszystkie. Aha - major nagle zwiesił głos - jedna z tych dziewcząt popełniła samobójstwo. To była jakaś bliska krewna jednego z żołnierzy. Miała się powiesić na jakimś drzewie, z taką jakby specjalnie przygotowaną do samobójstwa spiłowaną gałęzią...

Rozdział 8



W restauracji Jedność przy ulicy 22 Lipca panował gwar. Przy stolikach i barze tłoczyli się przedstawiciele robotniczej braci, chłoporobotnicy i nieliczni reprezentanci inteligencji pracującej. Miler czuł się tu jak u siebie. Banasik był trochę skonsternowany.

– Jak sobie radzisz? – zapytał byłego porucznika kapitan.

– Świetnie! – odpowiedział radośnie potomek łódzkich Niemców.

Były porucznik MO wypił setkę i zakąsił śledziem po japońsku. Gdy przełknął, nonszalancko dodał:

– Na początku myślałem, że świat się zawalił. Ale dosyć szybko się otrząsnąłem.

– Chcesz wyjechać?

– A dokąd mam niby wyjeżdżać?

– No, do Enerefu.

– A po co?

– No...

– Gdzie mi będzie lepiej jak w Polsce? Powiedz mi, leżą w Enerefie pieniądze na ulicy?

– Chyba nie.

– A w Polsce leżą. – Zaśmiał się serdecznie do kolejnego śledzia, którego właśnie nabijał na widelec. –

Wyobraź sobie, Zdzichu, mam kolegę w Olsztynie. Taki z niego Niemiec jak ze mnie, rozumiesz. Przed wojną jego matka prowadziła polskie przedszkole pod Olsztynem. Przez pięć lat siedziała za to w Dachau. Ale jej siostra nie siedziała. Nie uważała się za Polkę. Po wojnie wyjechała do Reichu. W zeszłym roku przyjechała na wakacje w rodzinne strony. Spotkała się z rodziną, synowi siostry dała prezent. Potem co miesiąc dzwoniła. Wyobraź sobie, że tego mojego znajomka też wylali. Grozili mu nawet, że za szpiegostwo pójdzie siedzieć. Koniec końców nie poszedł, ale ze służby wyleciał. Latem żeśmy się spotkali na Mazurach. Pogadaliśmy i doszliśmy do wniosku, że nigdzie nie będzie nam lepiej jak w Polsce. Wyobraź sobie, Zdzichu, że w całym Olsztynie, ba, całym województwie jest kłopot z kałesonami. A nad takim jeziorem to ciągnie, że hej. Zimno, wilgotno, a kałesonów w sklepach nie ma.

– W Łodzi też nie zawsze są – rzucił Banasik, bo wiedział, do czego Miler zmierza.

– W sklepach, Zdzichu. W sklepach nie zawsze są. Ale w zakładach produkujących odzież to co innego. W końcu Łódź to polski Manchester! Odświeżyłem więc różne kontakty, nawiązałem nowe i, wyobraź sobie, w samym październiku zarobiłem na tych kałesonach tyle, co w pół roku miałbym na etacie porucznika. W samym Olsztynie! A przecież są jeszcze Suwałki, tam też kałesonów brakuje w sklepach, no nie? Myślisz, że w Nowym Sączu są? Tam to od gór ciągnie...

Podeszła do nich kelnerka. Wcześniej lawirowała między stolikami z tacą pełną wódki oraz trunku, który obywatele PRL nazywali winem z podpisem Gomułki.

– Coś podać? – zapytała dźwięcznie. – Śledzik smakował? Wódeczka była zimna?

Banasik miał wrażenie, że pracownica lokalu widzi jedynie Milera.

– Ja to wezmę mielonego z ziemniakami i dwie lufy żytniej, koniecznie schłodzonej. Jak ta, którą przed chwilą wypiliśmy – odpowiedział jej były milicjant. – A ty, Zdzichu?

– Ja tylko mielonego z kartoflami.

– Coś do popicia? – dopytała się kelnerka.

– Dwa razy oranżadę poprosimy – dodał potomek łódzkich Niemców i uśmiechnął się do kobiety.

Kelnerka odwzajemniła uśmiech i zniknęła na zapleczu. Banasik tymczasem pochylił się ku koledze.

– Potrzebuję kogoś, kto wyjeżdża na Zachód – powiedział konspiracyjnym szeptem.

Szept był najwyraźniej zbyt konspiracyjny, bo Miler nie usłyszał. W lokalu było gwarno. Przy barze obok nich przemawiał z zapalem jakiś chudy jegomość. Słuchali go trzej dzentelmeni. Jeden, wysoki i potężnie zbudowany, miał na sobie jasny płaszcz i czarny beret.

– Hitler z bojówką wdziera się do mieszkania swojego przeciwnika. Strzela. Zastawia go żona i za chwilę jeden z największych przeciwników politycznych żyć przestaje.

Słowa chudego jegomościa zrobiły na słuchaczach duże wrażenie. Banasik skonstatował, że musi powtórzyć swoją prośbę.

– Słuchaj. – Głos uwiązał mu w gardle.

– Słucham – odrzekł Miler.

Banasik nie mógł się przemóc. Łamał palce i sapał. Wreszcie nalał sobie kieliszek wódki i wypił jednym haustem.

– Potrzebuję leku, którego w Polsce nie ma. Jest w Finlandii. Oczywiście w innych krajach zachodnich też jest. Miler ściągnął brwi i popatrzył na kapitana uważnie.

– Dla syna?

– Tak. Muszę mieć ten lek. Za wszelką cenę.

– Wiesz, że cena będzie wysoka.

– Wiem. Mam dolary.

– Ile?

– Sto. Sprzedałem ci tę starą szablę. Kupiłem żonie futro. To, o którym mi powiedziałaś. Zostało mi sto dolarów.

– Dużo to nie jest, ale zawsze to jakiś punkt wyjścia. Poczekaaj, niech się zastanowię. Znam takiego jednego, co często jeździ do Finlandii. Chyba muzykiem jest lub kimś takim. Od czasu do czasu robię z nim różne geszefty. Moment, muszę pomyśleć.

Kapitan rozejrzał się po knajpie. Przy stoliku obok siedziało dwóch przedstawicieli wiodącej siły narodu. Jeden z wysuszoną twarzą i dużym nosem mówił do siwego jegomościa, który konsumował kotleta.

– Idę do kierownika i mówię tak, że ja chcę etat na konia. Bo u nas na zakładzie koń jest potrzebny, a jest tysiąc czterysta na wyżywienie konia. A ja zarabiam siedymset dwadzieścia osiem i mówię to, że ja chcę etat na konia.

Przy drugim stole rozmawiał o ożywieniu dwóch trzydziestolatków.

– Charakterny, mówisz? – zapytał jeden, bez czapki.

– Charakterny... – Jegomość w czapce nie miał wątpliwości.

– A to na rękę jest. A za ile go liczyć?

– Dwie, trzy, ile możesz.

– Dwie paki pasuje?

– Pasuje.

– Na chodzie?

W tej chwili Miler złapał Banasika lekko za ramię.

– Poczekaaj – powiedział – muszę zadzwonić. Spytaam, czy sprawa jest aktualna. Wiesz, jak to jest.

Łódzki Niemiec podszedł do wiszącego w holu aparatu na monety. Kapitan został sam. Bez większego zaciekawienia spoglądał na bywalców przybytku. Przy jednym z stolików siedziało dwóch mężczyzn. Jeden jadł makaron, a drugi coś gorliwie klarował. Do uszu Zdzisława dochodziły strzępy rozmowy.

– Panie kochany, to jest ankieer, proszę pana. To kosztuje tysiąc dwieście złotych, a ja panu sprzedaję tylko za czterysta złotych, proszę pana. I co pan chce, chodzi?

Człowiek jedzący makaron coś odpowiedział, ale wypowiedź stłumiona przez nieprzełknięty makaron nie dotarła do uszu milicjanta. Obok faceta z ankieerem i amatora klusek nadal siedziało dwóch obywateli, na których Banasik, chcąc nie chcąc, zwrócił uwagę już wcześniej. Temat rozmowy najwyraźniej nie uległ zmianie.

– Co wy macie takie ambicje, Kowalski? Jecie, jecie, o tak. Idę do kierownika i mówię, że chcę etat dla konia.

Siwy sąsiad zwolennika hippiki nadal nic nie mówił. Banasik przeniósł wzrok na okolice lady barowej. Trzech jegomości – z postawnym panem w czarnym berecie i białym płaszczu na czele – wciąż słuchało przemowy chudego.

– Strzela! – chudy nie mówił, a krzyczał. – Zastawia go własna żona. Jeden z największych przeciwników hitlerowskich żyć przestaje. Przerażonemu światu zdawało się, że nie ma sił na powstrzymanie hitlerowskich kohort. Pierwsze bomby heinkli i junkersów padają w Łodzi, w Kutnie...

Bacne oko kapitana MO wyłapało, że mężczyzna z ankieerem i smakosz makaronu odeszli od stolika, a ich miejsce natychmiast zajęła osobliwa para. On był niski i łysawy. Ona – wysoka i postawna. Oboje mieli około czterdziestki. O czym para rozmawiała, oficer nie wiedział, gdyż na sali rozległ się dźwięk fletu. Wtedy to do pary podszedł kelner. Gdy instrument zamilkł, do uszu Banasika doleciały słowa kobiety.

– Mnie to suszy.

– Proszę – odpowiedział kelner i postawił na blacie butelkę wódki.

Łysiejący zareagował natychmiast.

– Przepraszam, ja ... – Końcówkę zdania zagłuszył gwar.

– Ale mrugał pan – odrzekł kelner.

– No tak, ale to taki tik nerwowy.

– Ojej, nie szkodzi, wypije się i tyle. Przerwa w picciu grozi życiu – wtrąciła się kobieta, chwyciła za butelkę i zaśmiała się. Z postury przypominała Horpynę.

Mężczyzna nieco się skonfundował.

– Przepraszam bardzo, ale umowa była taka, że wypijemy ćwiartkę i idziemy do mnie.

Nagle do rozmowy wtrącił się jakiś człowiek, który siedział przy stoliku obok. Banasik nie dostrzegł jego twarzy, gdyż biesiadnik usadowiony był doń tyłem.

– Nie lubię głupich żartów.

Łysy skierował wzrok w stronę intruza i powiedział z godnością.

– Przepraszam bardzo, ale to jest prywatna sprawa między tą panią a mną.

– A pić pan sam? – zapytał tamten.

Zdanie brzmiało dziwnie, ale właśnie w takiej formie dobiegło do uszu kapitana.

Łysy się rozsierdził.

– O, to ja panu dam kopa, tak, proszę pana. Tylko bez popaprańcu, dobrze?

Dalszą wymianę zdań między samcami przerwała kobieta, która dosiadła się do stolika intruza.

Banasik zaczął rozglądać się za Milerem, bo nie było go już stanowczo zbyt długo, ale dawny milicjant wyparował niczym kamfora. Tymczasem łysiejący nachylił się do swojej towarzyszki i coś szeptał. Szeptu milicjant nie wychwytił, za to siłą rzeczy zapoznał się z dalszymi perypetiami człowieka od etatu dla konia.

– Na zakładzie koń jest niepotrzebny. Niepotrzebny jest, a jest tysiąc czterysta na wyżywienie konia. Ja mówię to, że chcę etat dla konia. A on mówi to, że co wy macie takie ambicje, Kowalski.

Nagle na pierwszy plan wdarł się głos potężnej towarzyszki łysiejącego.

– Za stówę? Kup pan sobie herbatników!

Mistrzem ceremonii na chwilę znów został flecista. Tym razem nie grał, lecz mówił:

– Na tym flecie grałem w Hamburgu, w Gnieźnie, w Poznaniu, Toruniu i tak dalej. I jedno już powiedziałem...

– Ale ja z panem nie mogę, bo mnie pan rozśmiesza! – Na pierwszą linię barowego frontu znów wysunęła się

Horpyna.

Banasik zaczął się poważnie denerwować. Milera nie było i nie było.

Para chyba doszła do konsensusu, bo oboje wstali i zwolnili stolik, za to z tyłu usiadło dwóch kawalarzy, którzy nad wyraz donośnie śmiali się z własnych facecji.

– Ale wie pan, jak kret wejdzie jedną dziurą, to tą samą oczywiście nie wyjdzie. I wyszedł jej ustami.

Słuchający dowcipu zaśmiał się histerycznie.

– Autentycznie. No, no tak, no widzisz.

– A zna pan to? – Drugi z dowcipnisiów chciał się zrewanżować. – Spotkał się Amerykan, Ruski, Polak i Szkot.

Dalszej części żartu Banasik niestety nie usłyszał, gdyż tym razem najgłośniejszy okazał się facet przy barze.

– Przestraszonemu światu zdawało się, że nie ma sił na powstrzymanie hitlerowskich kohort. Pierwsze bomby spadają w Łodzi, w Kutnie.

– A Polak mówi... Takiego wała!

Obaj żartownisie eksplodowali szczerym śmiechem.

– Świetne, świetne. Ewentualnie doskonałe – skomentował skecz słuchający. – A to pan zna? Spotkał się Ruski z Chińczykiem...

Atmosfera był tak dobra, że ten, który teraz słuchał, od razu buchnął śmiechem.

– Ale to nie wszystko – dodał szybko opowiadacz, bo bardzo chciał spuentować. – Spotkał się Ruski z Chińczykiem i Chińczyk mówi do Ruskiego...

Kapitan nie dosłyszał puenty, gdyż któryś z pracowników włączył radio. Z głośnika poniosły się słowa:

Komunikat meteorologiczny. Przewidywana pogoda dla Polski na jutro. Zachmurzenie umiarkowane, przejściowe burze i miejscami opady przelotne. W nocy lokalne przymrozki do minus dwóch stopni. W dzień temperatura maksymalna od ośmiu stopni na wschodzie do plus dwunastu stopni na zachodzie, wiatry umiarkowane i słabe, południowo-zachodnie. Pojutrze zachmurzenie umiarkowane, miejscami duże i gdzieś opady. Temperatura bez większych zmian. Dziś o dwudziestej pierwszej temperatura wynosiła: w Warszawie siedem stopni, w Szczecinie dwa stopnie, w Koszalinie trzy, w Gdańsku i Olsztynie pięć, w Białymstoku jeden.

Banasikowi zaczęło się kręcić w głowie od tych wszystkich hałasów. Był też coraz mocniej zdenerwowany oczekiwaniem na Milera. Na szczęście były porucznik wreszcie się pojawił, w dodatku w towarzystwie dwóch milicjantów. Funkcjonariusze zwrócili się w stronę faceta od bomb spadających na Łódź i Kutno.

– Przestań! – wrzeszczał akurat chudy. – Za braci poległych, za krew przelaną!

– Co się tu dzieje? – krzyknął jeden z milicjantów. – Dowody osobiste!

– To są moje uczucia narodowe!

Milicja bez zbędnej zwłoki wyprowadziła delikwenta z knajpy, a Miler pochylił się nad uchem Banasika i powiedział:

– Musiałem iść zadzwonić z innego lokalu. Tutaj aparat jest popsuty. – Miler sięgnął po czekający na niego przez cały ten czas kieliszek wódki, po czym dokończył: – Pojutrze w Honoratce. On cię znajdzie i zagai rozmowę, ten mój znajomy. Jest szansa, że coś wymyślę. Na razie daj te sto dolców. Muszę mieć na rozpoczęcie inicjatywy.

Rozdział 9



Listopad nie odpuszczał. Szarobura ofensywa trwała w najlepsze. Miasto włókniarek sprawiało wrażenie całkowicie pokonanego. Być może istniały jakieś miasta, które stawiały opór wszechmocnej szarudze. Ale nie Łódź. Łódź zajadłe walczyła z kwietniem, toczyła heroiczne boje z majem. Walki partyzanckie trwały w czerwcu, lipcu i sierpniu. Każdy z miesięcy letnich musiał wojować z szarymi kamienicami. Swej szarej tożsamości wytrwale broniły łódzkie śmietniki. Brzydota miała swoje przyczółki za każdym rogiem, w każdym podwórku. Zwycięstwo lata i wczesnej jesieni nigdy nie było pełne. Jak Łódź Łodzią – okupacyjna zieleń oraz październikowa czerwień i żółć nigdy nie czuły się tu pewnie. Musiały odpierać ataki z powietrza, a kominy nigdy się nie poddawały. Hardo wypływały z siebie gęsty dym. Bywały dni, gdy miasto wyglądało jak po nalocie dywanowym. Gdy zabrakło wiatru, gród dusił się od fabrycznej zawiesiny.

Kolory toczyły walki także na ziemi. Uliczki Chojen, Bałut czy starego Polesia usiane były kocimi łbami. Spłowiwały bruk wystawiał język i złorzeczył zielonym liściom i kwiatom. Te ostatnie ze wstydem odwracały oczy od złośliwych, szyderczych wręcz uśmiezków łódzkich rzeczek. Ujęte w kamienne i betonowe kleszcze rzeczutki mieniły się kolorami fabrycznych ścieków. Cuchnęły ludzkim potem wymieszanym ze łzami.

Walki frontowe miasta z przyrodą kończyły się w drugiej połowie listopada. Polski Manchester witał radośnie zwycięskie hufce głębokiej jesieni. Z okien zwisały szare firanki, które uroczystie kapitulowały przed nadchodzącym ponurym grudniem. Wtedy miasto przeżyło kikuty bezlistnych drzew. Dyszało ciężko resztkami tlenu mordowanymi przez toksyny z kominów. Gdy przychodziła śnieżna zima, miasto wyglądało jak duch starej kobiety straszący trupią bielą martwych policzków. Bładość nieboszczykowej skóry ożywiały jedynie kolorowe ścieki przepływające przez robotnicze osiedla. W marcu Łódź szykowała się do wiosennej ofensywy. Puszkarze rychtowali działa kominów do diabelskiej kanonady.

W czasach Gomułki siły szarości otrzymały wsparcie. Centrum, gdzie jeszcze tliły się kolory starych, pięknych kamienic, zostało opasane potężnym murem szarych blokowisk Dąbrowy, Teofilowa i Kuraka. Za Gierka gomułkowskie fortyfikacje zostały wzmocnione bastionami Widzewa, Retkini i Julianowa.

Banasik nie lubił listopada. Wiosną, latem i jesienią każdą wolną chwilę spędzał na rowerze, zwiedzając okolice tego miejskiego molocha. Gdy zima była śnieżna, biegał na nartach po łagiewnickim lesie. Ale w listopadzie kapitulował. Bezsiła brała go do niewoli i trzymała w szarych zamatach. Wszechmocna wilgoć karceru wdzierała się do ust, zatykała nos i zalewała oczy. Teraz kapitan – zmęczony listopadowym więzieniem – z mozołem człapał do prokuratury.

W przeciwieństwie do milicjanta prokurator lubił listopad. Dobrze się czuł w swej szaroburej marynarce i szaroburym palcie wśród szaroburych blokowisk i szaroburych twarzy. Gdy Banasik wszedł do jego gabinetu, Drzewicki wertował potężne szpalty „Głosu Robotniczego”.

– Skandal – rzekł na powitanie. – Skandal, hańba i targowica.

Banasik nic nie odpowiedział. Był tak zmęczony, że z trudem udawało mu się zrozumieć słowa wypowiedziane znad gazety. Prokurator łypnął na niego okiem i lekko ochłonął. Od razu pojął, że milicjant może nie wiedzieć, o co chodzi. Zaciągnął się więc papierosem i, wskazując palcem miejsce na jednej ze stron gazety, rzekł:

– Wczoraj odbył się proces rewizyjny tych marcowych gówniarzy. Trochę ich sędzia przycisnął, ale nie za wiele. Ten gnojek Szczęśny dostał półtora roku. Kapala i Makatrewicz dostali po roku. To są kary?! Ja pytam się głośno. To są kary?! Ta szajka fajdaków spod znaku syjonizmu i rewizjonizmu zorganizowała to wszystko! Nielegalny wiec, wystąpienia antypaństwowe, podburzanie studentów przeciw siłom porządkowym. O moralnym obliczu tych pozał się opozycjonistów nawet nie wspomnę. I oni dostają za to takie kary?!

Banasik zdjął palto, powiesił je na stojącym obok drzwi drewnianym wieszaku i usiadł. Prokurator zaś wstał i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu, wymachując gazetą.

– Toż to już nawet nie skandal, ale prowokacja. Prowokacja! A jaki z tego wniosek? Otóż sądownictwo trzeba oczyścić. Mocno i stanowczo. Widocznie wśród sędziów są judasze, którzy za trzydzieści srebrników są gotowi zdradzić ojczyznę i oszczędzić najczarniejszych pachołków syjonizmu. Dlatego nie możemy ustawać w walce. Nie możemy się cofać. Walka trwa.

Gdy Drzewicki nieco ochłonął, odezwał się Banasik.

– Książdz przyszedł.

– Zawołajcie go.

Kapitan wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i zrobił dłonią zapraszający gest. Do gabinetu wszedł ksiądz Chwaliszewski. Na jego bladej, zniszczonej życiem twarzy pojawił się grymas. Banasik skonstatował, że kapłan w ten sposób chciał przekazać coś, co miało być mieszaniną „szczęść Boże” z „dzień dobry”. Chwaliszewski usiadł na wskazanym miejscu i czekał na pytania.

Prokurator od razu rozpoczął formalnie przesłuchanie. Okazało się, że ksiądz miał pięćdziesiąt trzy lata. Kapitan pomyślał, że sługa Boży wygląda na znacznie więcej. Po części wstępnej prokurator zaczął zasypywać wikarego gradem pytań.

– Czy obywatel kontaktował się z nieletnią Marią Żydek?

– Tak.

– Jakie relacje łączyły obywatela i nieletnią?

– Znaliśmy się.

– Na czym polegała znajomość?

– Rozmawialiśmy. Marysia była mądra jak na swój wiek. Miała dużą potrzebę życia duchowego. Czytała Biblię i różne inne książki o treściach religijnych.

– Dziewczynka popełniła samobójstwo. Czy obywatel zauważył coś niepokojącego w jej zachowaniu? Coś zwróciło uwagę obywatela?

– Nie.

Ksiądz udzielał bardzo lakonicznych odpowiedzi, co zdenerwowało prokuratora.

Zapalił kolejnego papierosa i wydmuchawszy dym w kierunku kapłana, zapytał:

– Marysia Żydek powiesiła się na parceli należącej do parafii Biedaczyny z Umbrii. Czy rozmawialiście o tej posesji? Dziewczyna wiedziała, że to grunt należący do kościoła?

Na twarzy duszpasterza prokurator i Banasik dostrzegli niepokój.

– Nie wiem, czy wiedziała. Nie pamiętam, czy o tym rozmawialiśmy. Chyba nie.

Śledczy spojrzeli na siebie wymownie.

– A czy babka dziewczyny wiedziała o waszych nocnych rozmowach? – indagował pracownik prokuratury.

– Tak. Wiedziała. To poczciwa kobieta.

– A rodzice wiedzieli? – zadał pytanie kapitan.

– Chyba tak. Oni się mniej angażowali w życie parafii. Nie wiem. Marysia mieszkała u babci. To ona faktycznie ją wychowywała.

Prokurator wstał i podszedł do okna.

– Lubi ksiądz nowoczesną muzykę?

– Średnio.

– Świadkowie zeznali, że z pokoju, gdzie ksiądz rozmawiał z Marią, dochodziła głośna muzyka. Młodzieżowa.

– Tak jak mówiłem, nie przepadam za współczesną muzyką, ale czasem trzeba się nagiąć do potrzeb młodych ludzi i okazać im akceptację.

– Poprzez słuchanie bigbitu? – dopytał się oskarżyciel.

– Tak. Kościół soborowy ma się otwierać na potrzeby młodych ludzi. Mamy szukać dialogu.

– Rozumiem – odrzekł prawnik.

– Przebywanie sam na sam z nieletnią też zaleca sobór? – włączył się milicjant.

– Nie rozumiem. – Ksiądz oblał się rumieńcem.

– Nie ma tu nic do rozumienia – oznajmił prokurator. – Kapitan stwierdził prosty fakt, że obywatel przebywał do późnych godzin nocnych sam na sam z nieletnią.

– Która w nie do końca dla nas jasnych okolicznościach popełniła samobójstwo – dorzucił Banasik.

– Interesuje nas – wycedził oskarżyciel – czy przebywanie sam na sam z czternastolatką też jest zalecane przez Sobór Watykański Drugi.

– Nie – powiedział cicho ksiądz.

– Co „nie”? – nacisnął śledczy odziany w szarą marynarkę.

– Tego sobór nie zaleca – wyszeptał duchowny i schował twarz w dłoniach.

Po wyjściu wikarego prokurator natychmiast zapalił papierosa. Teraz z wielkim namaszczeniem wydmuchiwał dymne koła, a te wędrowały pod sufit, tworząc nad głową Banasika gęsty obłok.

– Założmy, że to było samobójstwo – rzekł pałacy. – Sytuacja wygląda tak: dziewczę wkracza w wiek dojrzewania, być może się nieszczęśliwie zakochuje. Albo przeżywa inne rozterki związane z wiekiem. Rodzice zajęci pracą nie widzą niczego niepokojącego. Szkoła zaangażowana jest we wdrażanie socjalistycznego wychowania, więc też niczego nie dostrzega. Być może zostały popełnione błędy na odcinku edukacyjnym. Babcia przecież też niczego nie zauważyła. Różnica wieku. To zrozumiałe. Takie przypadki się zdarzają. Rzadko, ale jednak mają miejsce. Nierozumiana przez świat dorastająca dziewczyna popełnia samobójstwo.

Drzewicki mocno się zaciągnął i uzupełnił ulatniającą się już podsufitową chmurę.

– Ale Marysia Żydek miała jeszcze jedną bliską osobę. Tą osobą był ksiądz. Siostra dziewczyny, jej chłopak oraz babka zeznali, że Chwaliszewski był jej przewodnikiem duchowym. Powiernikiem. Ostatnią instancją... Obywatel ksiądz nie wypiera się tego. Coś mi tu zgrzyta. Wam nie, towarzyszu kapitanie?

– Gdyby wikary był prawdziwym powiernikiem, czy, jak to się mówi, przewodnikiem duchowym, to...

- Musiałby wiedzieć o jej problemach – dokończył za niego prokurator.
- W rzeczy samej. To po prostu nieprawdopodobne, by ksiądz, który często rozmawia z dzieckiem o Biblii, wierze i tak dalej, i tak dalej, nie zauważył niczego niepokojącego.
- Być może ją nawet spowiadał.
- Myślę, że raczej na pewno. Ale obowiązuje ich tajemnica spowiedzi.
- Ja nie pytałem o treść spowiedzi, ale o to, czy zauważył coś dziwnego w jej zachowaniu. Przyznacie, że coś tu nie gra. Wygląda na to, że ksiądz nie zauważył żadnego problemu. Być może dlatego, że sam jest problemem. Nie wierzę w te dyrdymałki o Biblii i duchowym przewodnictwie. Fakty są takie: dziewczyna popełniła samobójstwo. Nie było znamion choroby psychicznej. Dużo czasu spędzała na rozmowach z księdzem. Bywała u niego wieczorami. Mnie to cuchnie. Cuchnie na kilometr wykorzystywaniem seksualnym dziecka.
- Mamy trochę za mało danych. To tylko hipoteza.
- Ale wiarygodna. Nieprawdaż? Musimy przesłuchać księży i siostry zakonne z parafii Biedaczyny.
- I kościelnego.
- Jego też. I jest jeszcze jedno. Starsze kobiety często angażują się w życie parafii. Trzeba ustalić, kto z wiernych pomaga w sprzątaniu kościoła i przy innych pracach. Trzeba tego kogoś przesłuchać. Na jutro będą gotowe pisma wzywające na przesłuchanie proboszcza, wikarych i siostry zakonne. Na jutro ustalam również spotkanie z towarzyszymi z SB. Być może wiedzą coś, co pomoże w ustaleniu prawdy.

Rozdział 10



Kawiarnia Honoratka był miejscem szczególnym pod wieloma względami. Na gastronomicznej mapie Łodzi wyglądała jak latający spodek, który nagle znalazł się w szyku bojowym migów dziewiętnastek. Do Honoratki nie przychodziło się na kawę czy herbatę. Przychodziło się, żeby bywać. Ten niewielki lokal znajdujący się na ulicy Moniuszki pod numerem drugim był ciałem obcym w proletariackim cielsku Łodzi. Ta obcość jednocześnie upajała, przeszkadzała i dokuczała.

Ową obcością włodarze miasta bez rzeki lubili się jednak chełpić. To tam lubili się pokazywać. Tam ślinili się na widok aktorek. Tam wołali do Łomnickiego „Janku!”. Będąca w prywatnych rękach kawiarnia była solą w oku i strojem galowym. Ta honoratkowa schizofrenia, w której żyli partyjni ojcowie miasta, pozwalała właścicielom na funkcjonowanie w realiach gomułkowskiej szarzyzny.

Receptą na sukces okazał się iście sanacyjny sznyt. W Honoratce przestrzegano zasad. Tutaj nie piło się alkoholu, co dla wielu bywalców było trudnym do zrozumienia dziwactwem. W kawiarni należało się zachowywać godnie. To, co uchodziło płazem z SPATiF-ie, to, co było normą w Syrenie czy Warszawiance, w Honoratce było piętnowane i rzadko kiedy wybaczone.

Spędzanie czasu w Honoratce było sposobem na życie. Kawą z ekspresu wypisywano tu certyfikat poświadczający przynależność do elity, do tak zwanego towarzystwa. Porcelanowymi filiżankami pieczętowano szlachectwo. Potężny zegar z kukułką zastępował swym stukotem odgłos wyglancowanych oficerek. Przez szczeliny w pomalowanych lustrach można było zamiast własnego odbicia ujrzeć portret trumienny herbowego przodka. W Honoratce leczyli kaca wybitni aktorzy. Jeszcze bardziej wybitni reżyserzy robili castingi do scen łózkowych. Co wieczór intensywnie poszukiwano dublerów. Koledzy kandydatek do ról erotycznych kaskaderów również szukali tu fuch, dzięki którym mogli przeżyć do wypłaty stypendium.

Gęsty dym papierosowy, który zawsze spowijał salę, sprzyjał różnym szemranym interesom. Powracający z Wenecji czy Cannes artyści przywozili do kraju luksusowe towary, które spieniężali niemogącym wyjeżdżać na Zachód badylarzom lub odwiedzającym tylko demoludy kacykom partyjnym. W Honoratce czuć było wielki świat. Na przestrzeni trzydziestu metrów mieściło się tu i Hollywood ze swoimi Oscarami i San Sebastián ze Srebrną Muszlą. Można było sobie wyobrazić, że przez środek ciągnie się czerwony dywan, po którym kroczyli ludzie zarówno wybitni, jak i tacy, którzy za wybitnych się uważali.

W kącie sali siedział Banasik, trochę onieśmielony. Tego dnia Honoratka nie była zatłoczona. Nikt w Łodzi nie kręcił filmu, nikt nie przyjechał szukać plenerów. Himilbach i Maklakiewicz, którzy akurat byli w mieście włókniarów, gościli w Syrenie.

Przy jednym ze stolików siedział – a właściwie stał w strzemionach – pewien jegomość i ze swadą opowiadał o szarży pod Rokitną. Wydawać by się mogło, że w kawiarnianej salce słysząc rżenie poszatkowanych Rosjan, tętent rumaków, brzęk szabel. Ci goście, którzy mieli lepszy węch niż słuch, mogli poczuć smród zasychającej posoki oraz zapach smaru. Ta część populacji, której matka natura wyostrzyła wzrok, oczyma duszy widziała straszne kikuty, z których chlustała krew. Banasik wyróżniał się żywotną wyobraźnią, więc słyszał, widział i czuł jednocześnie. Dał się ponieść opowieści gawędziarza.

Entuzjazmu milicjanta nie podzielało dwóch dzentelmenów, którzy ze znużonymi minami siedzieli z wiarusem przy jednym stoliku. Jeden z nich nagle rzucił:

– Nasz rotmistrz kochany, po bitwie skonany, dostał rozkaz od dziadka: „Spierdalaj do mamy”.

Wymyśloną ad hoc fraszkę skomentowała stojąca za barem właścicielka przybytku.

– Panie Szaundynger, jeszcze jeden bluzg i do końca roku ma pan zakaz wchodzenia do lokalu.

Fraszkopis zrobił skruszoną minę. Banasik zaś wyteżył wzrok, chcąc dobrze przyjrzeć się znanemu pocie. Domniemany legionista wyraźnie się spieszył i zakończył opowieść. Na sali zrobiło się cicho. Banasik zaczął się wiercić na krześle. Minął już kwadrans od chwili, gdy usiadł, zawiesiwszy palto na rachitycznym wieszaku, a nikt do niego jeszcze nie podszedł, by przyjąć zamówienie. Odczekał pięć minut, po czym podszedł do stojącej przy ekspresie do kawy szefowej i poprosił:

– Kawę z ekspresu poproszę.

Stefania Bruździńska odezwała się do gawędziarza.

– Panie rotmistrzu, niech pan raczy opowiedzieć, jak to z Beliną pił pan wódkę w Chomranicach.

Nazwany rotmistrzem mężczyzna w istocie nazywał się Jerzy Nowakowski i był redaktorem „Ekspresu Ilustrowanego”.

Gdy pani Stefania go zagadnęła, od razu się ożywił i rozpoczął snuć opowieść, której rytm nadawał szum fal Dunajca. Kapitan lekko się stropił i ponowił prośbę o kawę, lecz usłyszał jedynie palbę rosyjskich strzelców, którzy z drugiego brzegu rzeki rozpoczęli ostrzał dzielnych ułanów. Kiedy odezwał się po raz trzeci, pijany Belina dał znak swoim chojrakom do szarży.

– Dwie kawy – powiedział nagle ktoś za plecami Zdzisława.

Gdy wybrzmiał, szarża wyhamowała, a pani Stefania z gracją napełniła dwie filiżanki. Uśmiech, z jakim postawiła je na tacy, Banasik natychmiast skojarzył z uśmiechem Catherine Deneuve.

– Tutaj obcych się nie obsługuje – rzekł kawosz do Banasika, sięgnął po tacę i wskazał brodą stolik w rogu, przy którym wcześniej siedział kapitan.

Skierowali się tam. Po wyimaginowanym czerwonym dywanie przybyły kroczył niezwykle śmiało. Banasik nadal baczył, by jednak na niego nie wdepnąć.

– Taki tu zwyczaj – kontynuował przybyły – że aby się napić kawy albo herbaty, trzeba być znanym. Taki rodzaj snobizmu. Silenie się na klimat angielskiego klubu dżentelmenów. Ale kawa jest dobra, i to bardzo. Ponoć ten ekspres to jedyna w Polsce prawdziwa włoska maszyna do robienia kawy.

Banasik umoczył usta w filiżance i już po chwili docenił w myślach smak i aromat gorącego napoju. Siedzący naprzeciw niego człowiek był chyba mniej więcej w wieku kapitana. Banasik dawał mu równą czterdziestkę. I słusznie, wszak był doświadczonym oficerem śledczym. Wielu ludzi, którzy nie mieli aż tak sprawnego oka, dawało temu nowo przybyłemu do Honoratki amatorowi kawy trzydzieści, a nawet dwadzieścia kilka lat. Albowiem siedzący obok Banasika człowiek robił wszystko, by wyglądać młodo.

Nosił modną koszulę non-iron, zamiast garnituru miał wzorowany na stroju Niemena kaftan. Na szyi dyndały mu przywiezione z Indii talizmany, które wraz z egzotycznym zapachem perfum tworzyły wokół niego niesamowitą aurę. Śniada skóra tak bardzo przywodziła na myśl ojczyznę Siddharthy Gautamy, że wielu nie dostrzegało nosa charakterystycznego dla rodaków Jezusa. Elegant mlasnęła językiem, robiąc oceniającą smak kawy minę i rzekł:

– Znam twój problem.

Banasik zdziwił się, że nie został nazwany panem, obywatelem lub towarzyszem, ale nic nie powiedział.

– W marcu jedziemy do Finlandii. My jedziemy, rzecz jasna, na dłużej, ale ty możesz wrócić od razu, jak dostaniesz towar. To znaczy lek dla dziecka, chciałem powiedzieć. Mogę skrócić czas oczekiwania do minimum, pisząc do moich przyjaciół z Finlandii list. Oni na pewno to załatwią. Brak recepty nie będzie problemem. Ja mam dobrych przyjaciół.

Banasik się rozpromienił.

– Ile to będzie kosztowało? – zapytał.

– Finansowo nic. Załatwimy to barterowo, a nawet w układzie lek za przysługę.

– Co to za przysługa?

– Jesteś milicjantem. A ja właśnie milicjanta potrzebuję. Prawdziwego gliny w mundurze i z ponurą miną. Z legitymacją służbową, rzecz jasna. Oprócz tego masz załatwić z Domu Kultury Milicjanta kwit mówiący, że w ramach internacjonalistycznej przyjaźni polsko-fińskiej wiesz dar dla kolegów z policji w Helsinkach. Tym darem będzie wzmocniacz.

– Wzmocniacz?

– Tak.

– Mam go kupić?

Śmiech egzotycznie ubranego modnisia zwrócił uwagę siedzącego obok człowieka, który patrzył przez grube okulary i coś usilnie notował.

– Te, które można kupić w Polsce, to szmelc. Dla policji w Helsinkach pojedzie urządzenie wykonane w ramach czynu obywatelskiego studentów Politechniki Łódzkiej.

– Ale skąd ja wezmę taki kwit?

– Masz dużo czasu. Wymyślisz coś. To są moje warunki.

Banasik westchnął. Elegant zaś powiedział:

– Widzimy się równo za miesiąc. W tym samym miejscu i o tej samej porze. Zapłać za kawę. Trzy złote. Tyle tu kosztuje mała czarna.

Banasik szczerze się zdziwił. Honoratka była chyba jedyną kawiarnią, w której kawa była tańsza od herbaty.

Rozdział 11



Następnego dnia zza chmur wyrzało słońce. Było wystraszone listopadem, dlatego szybko skryło się za chmurami. Banasik wchodził do gmachu komendy, gdy jasne promienie wdarły się w jego oczy. Uśmiechnął się, przystanął i na kilkanaście sekund wystawił twarz do słońca. Wspomnieniami przeniósł się na Mazury. Kiedy słońce skryło się za chmurą, kapitan westchnął i ruszył do pracy.

W gabinecie czekali już na niego prokurator i dwóch esbeków. Bezpieczniacy mieli teczki. Jedna z nich wyglądała zdecydowanie okazalej niż druga.

- Zacznijmy od tego Żydka - zarządził porucznik Gawęda bez zbędnych wstępów. - Rzekomy Szadkowski naprawdę nazywa się Mosze Goldstein. Urodził się w czasie wojny. Jego rodzice ukrywali się na wsi. Postanowili go ochrzcić. Chrztu udzielił ksiądz Chwaliszewski. Matka tego Goldsteina została zabita w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym przez bandę Warszycy. Ojciec wyjechał do Izraela w pięćdziesiątym szóstym. Syna zostawił w domu dziecka. Nie utrzymują ze sobą kontaktów. Po wyjściu z bidula chłopakiem zainteresował się Jewish Distribution Committee, który za pośrednictwem żydowskich komisji pomocy społecznej rozprawdzał dotacje, przede wszystkim dla żydowskich organizacji społecznych i religijnych. Goldstein otrzymywał stypendium. Dorabiał w spółdzielni Farmedia, która była głównym ośrodkiem krzewienia antypolskich i zarazem syjonistycznych treści. - Esbek wstał i wyprostował plecy. - Gówniarzem zainteresowaliśmy się niedawno. Konkretnie w marcu. Mocno się zaangażował w tę syjonistyczną hucpę. Była nawet u niego rewizja. Nic nie znaleźliśmy. Został zatrzymany na czterdzieści osiem, ale trzeba było go puścić. To, co na niego mieliśmy, nie wystarczało. Pozostał w kręgu naszych obserwacji, ale nie poszedł siedzieć. Udało się natomiast relegować go z uczelni. Obecnie bez pracy. Wbiliśmy mu misia do dowodu, więc roboty raczej w Polsce nie znajdzie. Nawet w tej kafce Farmedii, jeżeli ona jeszcze w ogóle istnieje. Zakładamy, że w ciągu roku poprosi o zgodę na wyjazd z Polski. Taka zgoda już jest. Czekamy na jego wnioszek.

- A ksiądz? - zapytał Drzewicki.

- Ksiądz ma teczkę, która sięga roku czterdziestego szóstego - odrzekł drugi z esbeków, porucznik Nowacki.

Prokurator wbił wzrok w oficera i wytyczył słuch. Bezpieczniak wziął głęboki oddech i zaczął mówić:

- Założyliśmy mu teczkę, gdy pojawiło się domniemanie, że miał kontakty z Warszycem. Był sprytny i ostrożny, niczego nie udokumentowaliśmy. Warszyc wpadł, więc nie drażyliśmy tematu, ale facet był pod naszą stałą obserwacją. Zanim trafił do Łodzi, proboszczował w różnych wiochach. Za każdym razem starał się budować nowy kościół, ale nigdy nie udało mu się uzyskać zgody.

- Kontakty z Zachodem? - zapytał Drzewicki.

- Nie udzieliliśmy mu zgody na wyjazd do Rzymu. Był w składzie delegacji na sobór. Sam Wyszyński o to zabiegał, ale niczego nie wskórał. Ten smród Warszycy się za nim ciągnie i na żadne ulgi z naszej strony nie może liczyć.

- Od kiedy jest w Łodzi? - zapytał Banasik.

- Od sześćdziesiątego drugiego. I od samego początku sprawiał nam kłopoty. Po raz pierwszy wyraźnie podpadł, gdy zaczął wspierać prawnie Wszędryównego.

- Kogo? - zdziwił się Drzewicki.

- Ksiądz Wszędryówny. Krnąbrny klecha z zakonu pasjonistów. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym zabiegał o zgodę na budowę kościoła przy ulicy Jabłonowej. Nie uzyskał jej. Ale zamiast zająć się zbawianiem dusz, zaczął kombinować. Kupił od prywatnych właścicieli grunt i postawił na nim jednopiętrowy dom. Na parterze urządzono kaplicę, w której regularnie odprawiano msze. Mimo różnych działań z naszej strony nie zaprzestał nielegalnych obrzędów. Sprawę skierowano do kolegium. Został ukarany grzywną. Dwa i pół tysiąca, jeżeli dobrze pamiętam. - Funkcjonariusz podrapał się po głowie. - Z naszych ustaleń wynika, że Chwaliszewski udzielił wtedy pasjonistom pomocy prawnej. Przed wojną studiował prawo. Trzy lata. Dzięki tej jego pomocy udało się Wszędryównemu wykręcić sianem. Z tego, co ustaliliśmy, wynika, że Chwaliszewski był zaangażowany w obronę przydrożnych krzyży, które były likwidowane. Ze względu na stan techniczny oczywiście. Adwokatem rodzin, na których ziemi znajdowały się kapliczki, został mecenas Kaczorowski. Chwaliszewski znał Kaczorowskiego ze studiów. Uważnie monitorowaliśmy jego antysocjalistyczną działalność. Dowiedzieliśmy się na przykład, że aktywnie wspierał księdza Zambrowskiego, który został skazany w sześćdziesiątym pierwszym na dwa lata więzienia. Podobne działania podjął, gdy do więzienia trafili

księży Sowlu i Wiśniewski. Organizował paczki, które były przekazywane osadzonym. Często sam ich odwiedzał i podtrzymywał w antypaństwowym oporze.

- Działął wyjątkowo aktywnie - skonstatował Drzewicki.

- Ale to nie wszystko. Chwaliszewski zaangażował się też w ratowanie księgozbiorów seminaryjnych. Szacujemy, że dzięki jego działalności setki woluminów trafiły jako depozyt do rąk prywatnych. Z naszych ustaleń wynika, że wśród przekazanych publikacji zdecydowanie dominowały te, które w złym świetle ukazywały socjalizm i Związek Radziecki. A osobnym rozdziałem są działania Chwaliszewskiego podczas nielegalnych pielgrzymek oraz tak zwanych wyjazdów duszpasterskich. Niezgodnych z prawem. To, co najwyraźniej cechuje księdza Chwaliszewskiego, to spryt oraz duża ostrożność w antysocjalistycznym knuciu. Nigdy nie udało nam się zebrać wystarczającego materiału dowodowego. Praktycznie tylko z tym zablokowaniem wyjazdu do Rzymu utarliśmy mu nosa. Z tego, co wiemy, wynika, że Wyszyński był wściekły, kiedy dowiedział się o skuteczności naszych działań.

- Rozumiem, że Wyszyński go ceni - powiedział prokurator.

- Bardzo.

Drzewicki pokiwał głową i zamyślił się, po czym dał oficerom znać, że spotkanie się zakończyło. Gdy esbocy wyszli, prokurator zwrócił się do Banasika.

- Trochę to komiczne. Najpierw klecha chrzci małego Żydkę. Potem podziemie, z którym sympatyzuje ksiądz, zabija matkę tego gnojka. Po latach Żydek, już teraz syjonista, doprowadza księdzu małą dziwkę. Co za paradoks.

Banasik obruszył się na zwrot o małej dziwce, ale nic nie powiedział. Tymczasem prokurator kontynuował:

- Moim zdaniem wyglądało to tak. Chwaliszewski jest zбочeńcem, który wykorzystuje nieletnie, a być może także nieletnich. Jest przy okazji księdzem nielojalnym wobec państwa. Można by rzec: klechę wichrzycielem. To się zresztą często zdarza. Degeneracja moralna idzie w parze z wrogością wobec sił postępu. Być może ta właśnie wrogość jest nicią łączącą Chwaliszewskiego z Goldsteinem? Nić, która zacieśniła się, gdy Goldstein został wyrzucony ze studiów i dostał adnotację do dowodu, która utrudniła mu podjęcie pracy. Być może, że uniemożliwiła mu znalezienie źródła utrzymania. Co robi pomysłowy syjonista? Postanawia znaleźć zarobek poprzez stręczenie nieletniej, która jest zagubioną, być może nadwrażliwą czternastolatką. Ksiądz płaci pieniędzmi z tacy i innych nieopodatkowanych źródeł. Tak to moim zdaniem wyglądało.

- Dokumenty SB nic nie mówią o pedofilskich kontaktach księdza.

- Ale adwokaci nie będą mieli do nich dostępu - odparł natychmiast prokurator i zarechotał. - Poza tym pamiętajcie, że obserwacja Chwaliszewskiego dotyczyła jego działalności politycznej, a nie postawy moralnej. To, że w tych kwitach SB nie ma wzmianki o pedofilskich zapędach, to nie znaczy, że nie miały one miejsca. To żaden dowód. Jutro wypiszę nakaz przeszukania mieszkania tego całego Goldsteina.

- Już miał rewizję. Nic nie znaleziono.

- Ale szukano materiałów politycznych. A nas polityka nie interesuje. Będziemy szukać czegoś, co być może wiąże się z ewentualnym potwierdzeniem mojej roboczej hipotezy.

Rozdział 12



W mieszkaniu Szadkowskiego vel Goldsteina panował niebywały rozgardiasz.

Funkcjonariusze drobiazgowo penetrowali każdy zakątek lokalu. Na podłodze wały się książki, które były szczególnie, kartka po kartce, sprawdzane. Szukano nawet w rachitycznych paprotkach, które stały na parapetach.

– Niczego ciekawego nie znaleźliśmy – skomentował Banasik, rozglądając się po rozrzuconych wokół szpargałach.

Prokurator drapał się w łysiejącą głowę. Sapał, wzdychał, pocierał czoło. Wreszcie spojrzał na kapitana i zapytał:

– Byliście w konspiracji?

– Tak.

– Jak długo?

– Od czterdziestego trzeciego.

– Mieliście broń?

– Nie.

– A jakąś bibułę?

– Starąłem się nie trzymać jej w mieszkaniu. Co najwyżej pojedyncze egzemplarze.

– A broń?

– Broń była w specjalnym magazynie. Dostawaliśmy ją tylko podczas akcji. To było raptem kilka pistoletów.

– Gazety z konspiracyjnej drukarni też pewnie były w jakimś magazynie. Dobrze mówię?

– Tak.

– To zrobmy przełożenie na dzisiejsze realia. Chłopak jest na celowniku SB od marca, ale tego klechę zna od dawna. Myślę, że możemy ostrożnie założyć, że kontakty z Chwaliszewskim były nacechowane wrogim stosunkiem do naszej socjalistycznej ojczyzny. Nie możemy wykluczyć, że to nastawienie gówniarza do państwa jest pochodną agitacji księdza. Jeżeli to założenie jest prawdziwe, to oznacza, że Goldstein został poinstruowany, że nie trzyma się w domu kompromitujących materiałów. Gdzie w takim razie to coś, co nas interesuje, zostało ukryte?

– Nie wiemy konkretnie, co to ma być.

– Pocziwi jesteście, towarzyszu. – Prokurator pokręcił głową i zaśmiał się cicho. – Właściwie to dobrze, że mając do czynienia ze złem, zachowaliście naturalną skłonność do czynienia i widzenia w innych dobra. Ale ja niestety nie mam w sobie grama zaufania do ludzi. Zbyt dużo podłości w życiu widziałem. Szczególnie u syjonistów. Powiem tak. Jeżeli moja hipoteza jest słuszna, to, znając podłość syjonistów, zakładam, że Goldstein ma na klechę jakiegoś haka. Może kompromitujące zdjęcia? To by było logiczne. Prowadza do zboczenia w sutannie dziecko, a następnie fotografuje te obrzydlistwa, by zwyrodnialca szantażować. Tak przypuszczam. Tego szukam. Względnie jakichś listów, z których coś będzie można wycisnąć. Piwnicę przeszukaliście?

– Tak.

Prokurator zamyślił się i znowu zaczął masować dłonią czoło.

– Zawołajcie stróża – zwrócił się do jednego z funkcjonariuszy, a ten natychmiast wybiegł z mieszkania.

Po chwili pojawił się błady jak ściana gospodarz domu.

– Od kiedy mieszkacie w tej kamienicy? – zagadnął prokurator.

– Od urodzenia. Ja prawdziwym łodziakiem jestem. Nie jak te przyjezdne ze wsiów – odparł z dumą cieć.

– A przed wojną kto był właścicielem?

– Żydy. Rosenfeldy. Tak się nazywali. Krwiopijce jedne. Dobrze, że ich...

Gospodarz domu nagle trochę się przeraził własną odwagą i z niepokojem spojrzał na prokuratora. Ten jednak zdążył już zapomnieć, jak stróż wygląda. Znowu masował czoło. Machnął cieciami ręką, by go odprawić. Po chwili zwrócił się do Banasika.

– Jeżeli to jest żydowska kamienica, to musi tu być schówek na te ich święte pisma. Mezuz. Tak to się nazywa. Powinna być gdzieś przy bramie. Tam musimy sprawdzić.

Wyszli z mieszkania i skierowali się ku wrotom. Zaczęli bacznie sprawdzać wszystkie zakamarki. Minęło już kilka dobrych minut, gdy kapral Wardężny nagle oznajmił, że coś znalazł.

Moment później w blasku latarek dojrzeli zwój papierzyk. Kiedy Banasik go rozwinął, Drzewicki gwizdnął przeciągle.

Rozdział 13



Szadkowski vel Goldstein przeklinał swoją przekorną naturę. Niektórzy jego znajomi złożyli wnioski o zgodę na opuszczenie PRL. Inni już wyjechali. A on trwał i za zdrajców uważał tych, którzy byli tak zdeterminowani, że oddali państwu pieniądze za studia i wyemigrowali. Władze wyceniały koszt studiów na czterdzieści tysięcy złotych. Szadkowski nie zamierzał nigdzie wyjeżdżać. Chciał walczyć. Co prawda krajobraz po Marcu nie nastrojał optymistycznie, ale on wierzył, że jak wyjdą z więzienia ci, co zostali doń wtedy wsadzeni, to bój rozpocznie się na nowo.

Tak myślał rano. Teraz było południe, a on siedział przed prokuratorem i wiedział już, że dołączy do kolegów.

– Wiesz, młody człowieku – zaczął prokurator – właściwie nie powinienem tego mówić. Może, a nawet na pewno, powinienem zachować dystans. Jestem prokuratorem, a nie wychowawcą, mentorem czy filozofem, ale jak widzę młodych ludzi, którzy mają możliwość bezpłatnej edukacji, pójdą na studia, państwo gwarantuje im pracę, a oni obrzucają to państwo kalumniami, zlorzeczają przywódcom tego państwa, to coś we mnie pęka, coś się burzy, czegoś nie rozumiem.

Po wygłoszeniu tych słów Drzewicki wziął głęboki oddech i przeszedł do śledztwa. Rozłożył na blacie znalezione w mezuzie znaleźiska. Na jednym z nich widniał napis: „Precz z Gomułką”. Na innym zaś: „Precz ze Związkiem Radzieckim”. Obydwie ulotki wykonane były przy użyciu zabawkowej drukarenki. Prokurator pomyślał, że rewolucyjna czujność została uśpiona, wróg klasowy znalazł lukę na froncie zabawkarskim i przeprowadził ideologiczny desant za pomocą piątej kolumny.

– Na obydwu są wasze odciski palców. Macie problem, Goldstein, czy tam Szadkowski, jak tam wolicie, bym się do was zwracał. Teraz się nie wyłgacie tak jak Szczesny czy Makatrewicz. Nie powiecie, że walczyliście o przestrzeganie prawa i konstytucji. Nie zamydlicie sądowi oczu tym, że zostaliście wybrani jako delegaci studentów i macie moralne prawo do tego, by ich reprezentować. – Ton prokuratora był mocny, a mina marsowa. – Nie dostaniecie roku. Grozi wam o wiele surowsza kara.

Jego głos wibrował i wbijał się w głowę nieszczęsnego Szadkowskiego.

– Zastanówmy się. Napisałeś na ulotce: „Precz z Gomułką”. Co to znaczy? – Oskarżyciel zrobił stosowną do pytania minę. – Precz z Gomułką to precz z demokratyczną Polską, precz z Gomułką to precz z granicami Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej. Precz z Gomułką to precz z darmową edukacją i służbą zdrowia. A precz ze Związkiem Radzieckim? To podważanie wkładu Armii Czerwonej w wyzwolenie naszej ojczyzny. Precz ze Związkiem Radzieckim to woda na młyn niemieckich rewanżystów. Precz ze Związkiem Radzieckim to znaczy niech żyje faszyzm, nacjonalizm i kolonializm. Grozi wam za to kilka lat. Te same ulotki zostały znalezione w marcu bieżącego roku w zakładach imienia Marchlewskiego oraz w dwudziestym dziewiątym liceum na Zelwerowicza. Papuga nie wybroni was tym, że jesteście chorzy psychicznie i na zabawkowej drukarence piszecie to, co poroniona imaginacja wam podpowiada. Nie. Tych rozrzuconych ulotek było kilkadziesiąt. SB natychmiast rozpoczęło działania operacyjne. Są na to dokumenty. Sprawę umorzono, bo nie znaleziono winnego. Ale teraz? – Drzewicki pacnął ręką w blat biurka. – W rzeszy zatrudnionych w zakładach Marchlewskiego robotników znajdziemy przecież kogoś, kto was widział, jak roznosiliście i rozrzucaliście ulotki. Tym razem wam się nie upieczcie. Pójdziecie siedzieć. – Drzewicki zrobił krótką przerwę, po czym spojrzął prosto na chłopaka i powiedział: – Ale nie o tym chciałem z wami rozmawiać. Być może wasze problemy z prawem nie kończą się na wrogiej działalności politycznej.

Twarz Szadkowskiego przypominała kolorowego bączka dla dzieci, w którym raz po raz zmieniały się barwy. Prokurator dostrzegł ów kalejdoskop i zadowolony z siebie mówił dalej.

– Od kiedy znacie obywatela Chwaliszewskiego, księdza z parafii Biedaczyny?

– Od kilku lat. Poznałem go pod koniec liceum.

– Na czym polegały wasze relacje?

– Po prostu się znaliśmy. Poznałem go podczas pielgrzymki do Częstochowy.

– Bywaliście u niego na plebani.

– Tak. Mówiłem już o tym.

– Ale ja pytam jeszcze raz. Na czym polegały wasze kontakty? Oprócz tego, że szkalowaliście system polityczny Polski Ludowej.

– Po prostu rozmawialiśmy. Dyskutowaliśmy na różne tematy.

- Czy zauważyliście, by duchowny w jakiś niecodzienny sposób odnosił się do Marii Żydek?
- Nie wiem, co to znaczy „niecodzienny”.
- Czy na przykład widzieliście, jak ksiądz sadzał dziecko na kolanach? Albo całował w usta?
- Nie.
- Na pewno?
- Na pewno.
- Może jednak?
- Niczego niewłaściwego nie zauważyłem.

Prokurator westchnął. Po czym powiedział:

- Mam nadzieję, że w celi sobie różne rzeczy przypomnicie. Ja powiem tak, Goldstein, czy, jak tam wolicie, Szadkowski. Wasi rodacy składają wnioski o zgodę na wyjazd z Polski. Prawie wszyscy taką zgodę otrzymują. Jak traficie na dobrego papugę, takiego Kerna na przykład, to macie szansę na to, by odpowiadać z wolnej stopy. Wyjdziecie z aresztu, złożycie wniosek, wyjedziecie. Tak może się zdarzyć. Oczywiście nie musi tak być. Być może sędzia nie zgodzi się na to, by was puścić. Śliska sprawa. Scenariusze mogą być różne.

Rozdział 14



Grudzień przyniósł przymrozki. Kocie łby i fabryki kamienic pokrywał lekki całun szronu. Gdy kapitan Banasik wychodził z domu, odniósł wrażenie, że w rześkim, mroźnym powietrzu kawałki sadzy mniej drapią w gardle. Kiedy wychodził o siódmej, było całkowicie ciemno, a gdy wracał po szesnastej, mroczna kurtyna nieba przykrywała włókniarską aglomerację.

W prokuraturze czekał już Drzewicki. Jak zawsze ubrany był w szarą marynarkę i palił najpodlejsze papierosy. Całe pomieszczenie tradycyjnie wypełnione było dymem. Pracownik prokuratury był w dobrym nastroju. Na biurku obok różnych teczek i skoroszytów mieniły się różnorodnymi kolorami numery satyrycznego pisma „Karuzela”. Prawnik podniósł jeden egzemplarz i pokazał go Banasikowi.

– Niezłe, co? – zapytał prokurator.

Na rysunku widniał hitlerowiec, który czule obejmował izraelskiego żołnierza. Nazistę łatwo było rozpoznać, bo miał charakterystyczną czapkę esesmana z trupa czaszką. W dłoni trzymał zaś gruby foliak Mein Kampf. Żołnierz Dajana też był oznaczony tak, aby nikt nie miał wątpliwości, kim jest – jego hełm wieńczyła gwiazda Dawida. Pod pachą wojak dzierżył książkę z napisem Księgi Jozuego. Pod obiema postaciami znajdował się napis *Gott mit uns*.

– Chyba trochę przeszarżowali – powiedział kapitan.

– Ja tak nie uważam. Przecież to, co robią Żydzi z Arabami, to zbrodnia. Toż to hitleryzm w czystej postaci.

Banasik postanowił nic już nie mówić. W przeciwieństwie do rozmówcy.

– To też niezłe. O, ten rysunek.

Na wskazanym ilustracji znajdował się człowiek, który był niejako przedzielony na pół. Jedna jego część miała czapkę krakowską z charakterystycznym pawim piórkiem. Druga połówka czapki nie miała, miała za to okulary, lecz zamiast oprawionego szkiełka widać było gwiazdę Dawida. Owa połówka postaci trzymała kartkę z napisem *Instrukcja z Tel-Awiwu*. Prokurator zaśmiał się i skomentował rysunek.

– Jakże trafiona diagnoza. W jaki wspaniały sposób autor uchwycił tę schizofrenię. Karol Baraniecki ma prawdziwy talent! Tutaj wyraźnie widać, o co w tym wszystkim chodzi: z jednej strony Polak, z drugiej syjonista. Tylko że ta interpretacja ma jedną wadę. Sugeruje chorobę psychiczną. A przecież my nie jesteśmy psychiatrami. Stoimy na straży praworządności. To ona, praworządność, jest dla nas najważniejsza. To jej służymy, nie bacząc na swoje prywatne zapatrywania.

Banasik nadal nic nie mówił. Mimowolnie spojrzął na inny numer „Karuzeli”. Rysunek przedstawiał wielką dłoń z mankietem. Na mankiecie znajdowała się żydowska gwiazda, na dłoni zaś siedział uśmiechnięty jegomość, a na jego dłoniach kolejni, tacy sami uśmiechnięci panowie. Na ich dłoniach następni. Podpis głosił, że ilustracja przedstawia światowy proteksyjonizm. Dalsze dywagacje o trafności rysunkowych żartów przerwał pukanie do drzwi.

Przed obliczem oskarżyciela stanął pięćdziesięcioletni rumiany mężczyzna. Koloratka symbolizowała księdza. Był to Jan Kowalik, wikary w parafii pod wezwaniem Świętego Biedaczyny. Prokurator polecił przybytemu usiąść. Po czynnościach formalnych rozpoczęło się przesłuchanie.

– Czy obywatel widział, jak Maria Żydek przebywała w otoczeniu księdza Chwaliszewskiego?

– Tak.

– Jak często dziewczyna odwiedzała księdza Chwaliszewskiego?

– Dosyć często. Kilka razy w tygodniu.

– W jaki sposób ksiądz Chwaliszewski witał się z dzieckiem?

– Poprzez pocałunek, przytulanie, pieszczoty.

– Co obywatel rozumie pod pojęciem pieszczoty?

– Widziałem, jak dziewczyna siadała księdzu Chwaliszewskiemu na kolanach.

– Czy inne dzieci też odwiedzały księdza Chwaliszewskiego?

– Tak.

– Czy ksiądz Chwaliszewski też je głaskał, przytulał i pieścił?

– Tak.

– Jak na wizyty wieczorne, by nie rzec: nocne, reagował proboszcz?

– Nie reagował.

- Jak to?
- Proboszcz jest w dobrej komitywie z księdzem Chwaliszewskim.
- Rozumiem.

Przesłuchanie było zakończone. Człowiek w koloratce podpisał zeznanie, po czym wyszedł. Drzewicki pogładził rzadkie włosy i powiedział do Banasika.

- Słyszeliście, co zeznał.
- Słyszałem.

- Zaraz wypiszę nakaz rewizji. Dokonacie jej jeszcze dzisiaj. Być może znajdziemy coś, co rzuci światło na całą sprawę. Wy pojedziecie zrobić rewizję, a ja będę przesłuchiwał dalej. Jeszcze dwóch wikarych. Możemy też przesłuchać siostry zakonne. - Drzewicki podrapał się po głowie, lekko odchrząknął i dodał: - Te zeznania Kowalika rzucają nowe światło na naszą sprawę. Bardzo ciekawe światło. Nie chcę snuć zbyt pochopnych wniosków, ale...

- One nasuwają się same - dokończył kapitan.
- Właśnie. Być może mamy przypadek księdza pedofila, który, żerując na ludzkiej głupocie i łatwowierności, wykorzystuje seksualnie nieletnich.
- Odrażające.

- Jak większość spraw, którymi się zajmujemy. Powiem szczerze, chciałbym, żeby to był fałszywy trop. Jestem członkiem partii, jak wy, ale... Ale, na Boga Ojca, jestem ochrzczony. W wigilię zawsze dzielę się opłatkiem. Na Wielkanoc chodzę święcić jajka. To nasza tradycja. Tego się nie wyprzemy. Partia partią, ale... Sami rozumiecie. Jeżeli to się okaże prawdą...

- Jadę zrobić rewizję.
- Jedźcie. Obyście niczego nie znaleźli.

Rozdział 15



Na ulicę Przyszkole milicyjny radiowóz przyjechał równo o szóstej. Ksiądz Chwaliszewski już nie spał. Pierwszą mszę zaczynał o szóstej trzydzieści. Trzeba było natomiast obudzić proboszcza. Banasik spokojnie pokazał nakaz rewizji.

Przy odgłosach sapań i pojękiwań milicjanci przystąpili do działania.

Kapitanowi pomagało dwóch funkcjonariuszy. Obaj metodycznie zaczęli sprawdzać wszystkie zakamarki pokoju, który zajmował Chwaliszewski. Banasik rozglądał się uważnie. Mieszkanie księdza było skromnie urządzone. Dominowały książki o tematyce religijnej i filozoficznej. Podobnej konduity były leżące w gazetniku czasopisma. Bystre oko oficera wychwytiło „Tygodnik Powszechny”, „Więź” oraz „Znak”. W szafie wisiały ubrania: czarna jesionka i marynarka. Pod nimi stała para butów. Ksiądz miał na sobie sutannę i robiony na drutach pulower. Po spenetrowaniu szafy milicjanci wzięli się do biurka. W szufladach były stare listy, jakieś dokumenty oraz książeczki do nabożeństwa. Funkcjonariusze bardzo dokładnie sprawdzali listy. Po kwadransie poszukiwań kapral Błasik zrobił zdumioną minę. W jego rękę mignęły czarno-białe zdjęcia, które wyjął z szarej koperty formatu A4. Banasik podszedł do podkomendnego i rzucił okiem na fotografie. Westchnął i bez zbędnego namysłu wyciągnął z aktówki nakaz aresztowania podpisany zawczasu przez prokuratora.

Gdy milicja zabierała księdza, wśród personelu kościelnego panowała grobowa cisza. Milczenie panowało także w milicyjnej warszawie, którą dojechali do komendy wojewódzkiej. Kiedy dotarli, kapitan od razu zadzwonił do prokuratora. Drzewicki pojawił się na Lutomierskiej w ciągu godziny.

- A więc jednak - westchnął przybyły - jednak znaleźliście.

- Tak - odrzekł Banasik. - Na zdjęciach są nagie dzieci obojga płci. Niektóre z nich pozują, uwydatniając narządy rodne.

- Moim zdaniem sprawa wygląda tak. Ksiądz Chwaliszewski jest pedofilem. Te zdjęcia to pamiątki ze zbrodniczego procederu. W łamaniu prawa pomagał mu Goldstein vel Szadkowski, który wcielał się w rolę rajfura i przyprowadzał księdzu czternastolatkę. Być może Goldstein robił to za pieniądze. Przecież nie ma pracy ani stypendium, bo został wyrzucony ze studiów. Biedne dziecko nie miało gdzie szukać pomocy. Siostra Marysia była zauroczona Goldsteinem. Babka, stara dewotka, jest omamiona przez kler. Rodzice niewydolni wychowawczo nie interesowali się dzieckiem. Dramat. Mam właściwie jeden dylemat. - Drzewicki zmarszczył brwi. - Czy Marysia Żydek popełniła samobójstwo sama z siebie, że się tak wyrażę, czy może ten bydlak Chwaliszewski ją do tego namawiał? Czy samobójstwo było wynikiem nieradzenia sobie z traumą po pedofilskich uciechach? Czy ksiądz w obawie, by sprawa się nie wydała, nakłaniał ją do zamachu na swoje życie?

Rozdział 16



Spadł śnieg. Szpitalny park w Kochanówce, który okalał przybytek dla chorych psychicznie, wyglądał pięknie. Banasik miał wrażenie, że przeniósł się do Krynicy albo Piwnicznej. Chorzy przebywali w urokliwych willach pamiętających czasy, gdy rodzimi i obcy kapitaliści ciemnieyli klasę robotniczą. Kapitan wdychał czyste powietrze. Zamknął oczy i obiecał sobie, że kiedyś nauczy syna jeździć na nartach.

Rozmyślenia o idyllicznej przyszłości przerwał jakiś makabrycznie brzmiący głos. Banasik opuścił głowę, otworzył oczy i natychmiast spostrzegł, że w jego stronę biegnie człowiek. Biegł i ryczał niezrozumiale słowa. Po chwili kapitan pojął, że dziwny człowiek krzyczy po hebrajsku. Za wrzeszczącym jegomościem biegli pielęgniarze. Gdy biegnący znalazł się dwadzieścia metrów od Banasika, goniący dopadli go. W ruch poszły specjalne sznury i już za moment nieszczęśnik był cały opasany więzami.

Tymczasem do Banasika podszedł lekarz.

– To Wawa Morejna – powiedział i podał funkcjonariuszowi dłoń.

Doktor Jaroszyński został wcześniej poinformowany, że odwiedzi go oficer MO. Teraz odprowadzał wzrokiem spętanego pacjenta i kręcił głową. Po chwili zwrócił się do Banasika.

– Może herbaty?

– Nie, dziękuję, zostanmy na zewnątrz – odparł kapitan i skinął głową w stronę ubezwłasnowolnionego mężczyzny, którego właśnie wciągano drzwiami do wnętrza budynku. – To ten rabin?

– Tak. Przywieźli go tutaj niedawno. Podobno mieli go aresztować, ale zwyciężyła koncepcja zamknięcia go w wariatkowie. W sumie dobra metoda. Gdyby poszedł siedzieć, to zaraz światowy syjonizm rozpoczęłyby nagonkę na nas, Polaków. Zaraz by się rozpoczęła kanonada oszczerstw. Rychło by się okazało, że dzisiejsza Polska jest jak Trzecia Rzesza.

– Taki atak szału u niego to norma?

– Nie. Raczej jest spokojny. Ale jest pan w milicyjnym mundurze, a on fatalnie reaguje na samo słowo „milicja”. Gdy przebywał w komisariacie, nieźle go poturbowali. Ma uraz do niebieskiego. – Lekarz się zaśmiał.

– Ja jestem z komendy.

– Myśli pan, że to dla niego jakaś różnica?

– Pewnie nie bardzo. Co z nim zrobicie?

– Cóż, będziemy leczyć – odrzekł medyk i znowu się zaśmiał. – Podobno jest taki pomysł, żeby pod pretekstem poszerzania ulicy wyburzyć kamienicę, w której ma lokal.

– Widzę, że jest pan dobrze poinformowany.

– W dzisiejszych czasach informacja jest na wagę złota.

– No i? – zagaił kapitan – Ma pan jakieś cenne spostrzeżenia, doktorze?

– Tak. – Jaroszyński wskazał kapitanowi wąską przyszpitalną ścieżkę. Ruszyli nią z wolna. – Zacznijmy od samobójstwa. Rzeczywiście w Polsce są one wśród dzieci rzadkością. Zresztą nawet nie tylko w Polsce. W wielu krajach tak jest. U nas to raptem kilka przypadków rocznie. W nieco wyższej grupie wiekowej, od piętnastego do dwudziestego piątego roku życia, ten wskaźnik jest jednak zdecydowanie wyższy. I tu pojawia się pierwsza kwestia. Czy czternastolatka, która targnęła się na życie, mentalnie nie była piętnastolatką? Nie oszukujemy się, w przypadku okresu dojrzewania ten podział wiekowy bywa złudny. Są trzynastolatki, które psychicznie mają szesnaście, a nawet siedemnaście lat, i są też takie osoby, które w wieku lat siedemnastu zachowują się jak trzynastolatki. Tutaj granica jest płynna. Prawo wymaga, by różne przepisy dotyczyły ludzi w takim czy innym wieku. Ale ten podział jest sztuczny. Na rozwój człowieka ma wpływ szereg czynników. Każda jednostka ma swój wewnętrzny zegar.

– Do czego pan zmierza?

– Do tego, że Marię Żydek możemy zaliczyć do osób mentalnie starszych. To oznacza, że znalazła się w grupie, gdzie ze statystycznego punktu widzenia samobójstwa występują zdecydowanie częściej. To, o czym teraz mówię, łączy się ściśle z drugim problemem. A mianowicie z problemem pedofilii. Ze zdjęć i dokumentacji medycznej wynika, że Marysia była dosyć mocno rozwinięta fizycznie. Była szczupła, ale wysoka. Wzgórek łonowy miała obrośnięty. Piersi nie jakieś potężne, ale wyraźne. Mówiąc wprost, miała lat czternaście, ale wyglądała na dziewczynę siedemnastoletnią. Podobna budowa ciała zdarza się często u kobiet dwudziestokilkuletnich, a nawet tych, które skończyły trzydziestkę.

- Chce pan powiedzieć, że nie możemy mówić o pedofilii?
- W świetle prawa to oczywiście była pedofilia. Co do tego nie ma wątpliwości. Z medycznego punktu widzenia jednak... - Jaroszyński zawiesił znacząco głos.
- Rozumiem.
- Ten punkt widzenia jest bardzo ważny. Dla dziecka często, choć nie zawsze, kontakt z pedofilem jest traumą, która może wieść do samobójstwa lub samookaleczenia. Niemniej jeżeli przyjmujemy, że z medycznego punktu widzenia Maria nie była dzieckiem, to...
- Prawdopodobieństwo, że popełniła samobójstwo, jest mniejsze.
- Tak. To oczywiście nie wyklucza w całości hipotezy, że istnieje ścisły związek między zamachem na swoje życie a wizytami u księdza.
- Była dziewicą.
- Miała czternaście lat. To zrozumiałe. Rzadko kiedy człowiek zaczyna swoje życie seksualne od stosunku douchowego. Najpierw są pieszczoty, poznawanie swojego ciała, pocałunki.
- Ksiądz był dużo starszy.
- Tak. Ale nie jest przecież starcem. W środowisku rodzinnym, szczególnie mam tu na myśli babkę, ksiądz cieszy się ogromnym poważaniem. Jest autorytetem. Kimś ważnym, wręcz wyjątkowym.
- Zakłada pan, doktorze, że między nimi doszło do normalnego współżycia? Za obopólną zgodą i z obopólną satysfakcją?
- Nie, nie zakładam. Po prostu ta hipoteza jest mi bliższa, zdaje się bardziej logiczna z medycznego punktu widzenia.
- A te zdjęcia?
- No właśnie. Te zdjęcia. - Doktor zmarszczył brwi i skrzyżował ręce na piersi. - One tu nie pasują. Wcale. Otóż jeżeli przyjmujemy wersję, że ksiądz jest pedofilem, to widzę tu poważny dysonans.
- Banasik spojrzał na niego pytająco, co Jaroszyński natychmiast zauważył.
- Już tłumaczę. - Lekarz poczuł się dowartościowany i zaczął skwapliwie klarować. - Powiem w największym skrócie. Pedofil to człowiek, który z nieznanymi w tym momencie nauce powodów nie może mieć kontaktów seksualnych ze swoimi rówieśnikami lub osobami będącymi w podobnym wieku. To znaczy w jego głowie pojawiają się bariery psychiczne, które powodują, że nie jest w stanie związać się z kobietą zbliżoną doń wiekowo. Praktycznie pedofilia dotyczy tylko osobników płci męskiej. Taki osobnik z nieustalonych przyczyn czuje pożądanie do dzieci.
- Doktor na chwilę przerwał i zerknął na milicjanta. Rad z tego, że jego wypowiedź robiła na stróżu prawa wrażenie, mówił dalej.
- Wyznacznikiem jest tu brak owłosienia, brak wyraźnych oznak dojrzałości narządów płciowych. Górna granica wieku to dwanaście lat. Powiedzmy: trzynaście. Pedofile najczęściej gustują w dzieciach między dziesiątym a dwunastym rokiem życia. Najczęściej. Zdarzają się tacy, którzy wykorzystują małe dzieci. To są jednak rzadkie przypadki. Statystyczny pedofil jest mężczyzną, który potrzebuje kontaktów cielesnych z dziećmi w wieku dziesięć-dwanaście lat. Taki klasyczny pedofil nigdy nie będzie dążył do zbliżenia z osobami starszymi. Będzie deklarował, że chciałby mieć kontakt z osobnikami dojrzałymi, ale nie jest w stanie przekroczyć bariery psychicznej. Dlatego często się zdarza, że klasyczny pedofil będzie robił karierę w Kościele, szkolnictwie, harcerstwie i tym podobnych instytucjach. Wielu zaangażowanych harcerzy i nauczycieli to pedofile. Angażują się w pracę czy działalność i mówią, że po prostu nie mają czasu na żonę. W Kościele nie muszą się tłumaczyć. To wymarzona instytucja dla takich osobników.
- Powiedział pan, że Marysia z medycznego punktu widzenia nie była dzieckiem.
- No właśnie. Jeżeli ksiądz jest pedofilem, to nie pasuje tu romans z wyrośniętą czternastolatką. Zdjęcia natomiast sugerują, że pedofilem jest.
- Czyli albo jest pedofilem i nie miał kontaktów cielesnych z Marysią, albo miał romans z dziewczyną i tym samym nie jest pedofilem. Z medycznego punktu widzenia.
- Właśnie.
- Jest coś jeszcze. Na kopercie znaleźliśmy odciski palców księdza. Na zdjęciach zaś ich nie było. Jaroszyński się zaśmiał.
- To już jest zagadka dla oficera milicji, a nie dla psychiatry.

W budynku prokuratury Banasik zdał relację Drzewickiemu. Prawnik myślał intensywnie. Palił papierosa za papierosem. Raz siadał za biurkiem, raz wstawał i podchodził do okna. Przy oknie stał też kapitan i tępo patrzył na zimowy krajobraz. Niestety Łódź była podobna do Krynicy tylko w Kochanówce. W centrum biały puch został rozjechany przez pługi i piaskarki. Miasto tonęło w szarej brei. Błocko chlupało pod nogami przechodniów. Nad robotniczą metropolią znów zawisł gruby kożuch szarości. Myśli Banasika skierowały się w stronę nadchodzącej gwiazdki i prezentu dla Haliny. Nagle prokurator odezwał się tuż przy jego uchu.

- To, co powiedział psychiatra, jest ważne, ale dla mnie jednak najważniejsze jest to, że kontakt cielesny z osobą poniżej piętnastego roku życia podlega karze. Koniec kropka.

- To będzie trudne do udowodnienia. Dziewczyna była dziewicą. Kuria załatwi Chwaliszewskiemu najlepszych adwokatów. Proces będzie poszlakowy. A udowodnienie tego, że dziewczyna dokonała samobójstwa za sprawą księdza, będzie bardzo trudne.

- Lubię wyzwania.

Rozdział 17



Proboszcz parafii pod wezwaniem Świętego Biedaczyny, Janusz Wiktorzyński, był totumfackim biskupa Klepacza. Na zaufanie zwierzchnika proboszcz ciężko zapracował. Każda parafia, do której przybywał sługa Boży Janusz, rychło piękniała. Był bowiem Wiktorzyński urodzonym budowniczym. Prawdziwym menadżerem w sutannie. Nie było problemów, których obrotny proboszcz by nie załatwił. Podczas urzędowania w poprzedniej placówce wybudował dom parafialny. We wcześniejszej był inspiratorem budowy nowej dzwonnicy. Wszystko potrafił załatwić. Nie było dlań problemem pozyskanie cegieł, cementu i innych materiałów budowlanych, z których zdobyciem zwykli zjadacze chleba często mieli problem. Zawsze znaleźli się wolontariusze, którzy za darmo lub psi pieniąż wykonali jakiś remont.

Pod rządami księdza Janusza kwitła każda parafia. Nie inaczej było z parafią Świętego Biedaczyny. Zaradny ksiądz, gdy osiadł na proboszczowskim fotelu na początku siódmej dekady dwudziestego wieku, szybko wziął się do roboty. W nawie pojawiły się palmy posadzone w potężnych donicach. Nowe ławy przyciągały wiernych błyszczącym lakierem. Efektownie prezentowało się bijące blaskiem po oczach tabernakulum. Żywą czerwonią mienił się fotel, w którym zasiadali księża podczas pracy lektorów.

O nowych kielichach, ornatach i złocistym baldachimie używanym podczas procesji mówiono, że były osobistym darem biskupa Klepacza dla zaufanego żołnierza Kościoła. Za biskupie łaski ksiądz odwzajemniał się godnie. Gdy parafię nawiedzał biskup, proboszcz okazywał honor księciu Kościoła, podwożąc go fordem taunusem pod drzwi świątyni. Wierni z namaszczeniem patrzyli, jak z eleganckiej limuzyny wyczołgiwali się adiutanci biskupa, by pomóc zwierzchnikowi w wydostaniu się na zewnątrz.

Msze z udziałem biskupa zawsze trwały długo. Podczas nabożeństw dymiły kadzidła, dziewczynki sypały kwiatki, a z organów wydobywały się potężne surmy.

Właśnie o tych kwiatkach, dźwiękach organów i bombastycznych mowach powitalnych ku czci purpurata myślał teraz proboszcz Wiktorzyński. Myślał po to, by przegonić strach. Niezbyt mu się udawało. Ksiądz przeklął w duchu. Nie lubił polityki. Osobiście nigdy nie poruszył na kazaniu kontrowersyjnych treści i zawsze zwracał uwagę Chwaliszewskiemu, gdy tamten to robił. Proboszcz nie przepadał za wikarym, ale miał z nim całkiem dobre relacje. Z radomszczańskiej wioski, gdzie duszpasterzył wcześniej wieloletni Chwaliszewski, zawsze przyjeżdżali znakomici cieśle. Za pięknie zrobione konfesjonały nie wzięli grosza. Takie gesty Wiktorzyński potrafił doceniać.

Wreszcie psychiczna gólgota dobiegła końca i proboszcz został wezwany do gabinetu prokuratora Drzewickiego. Po proceduralnych początkach prokurator zadał pierwsze ważne pytanie.

– Czy obywatel wiedział o wizytach Marii Żydek na plebanii u księdza Chwaliszewskiego?

Proboszcz przykurczył się. Jego ręce zaczęły przypominać topniejące lodowisko.

– Tak – wyszeptał.

– Obywatel to tolerował?

– Ksiądz Chwaliszewski mówił, że tylko rozmawiali.

– O czym?

– O Bogu...

– Obywatel zeznaje w sprawie o nakłanianie do samobójstwa. Radzę mówić prawdę.

– Nie wiem, o czym rozmawiali. Chyba o Bogu, ale nie jestem pewien. Nie podsłuchiwałem.

– Nie dziwiło obywatela, że ksiądz Chwaliszewski przyjmuje nieletnią?

– Nie wiedziałem, że jest nieletnia.

– Rozmawiał obywatel z Marią Żydek?

– Tak. Dwa razy.

– Co mówiła?

– Była zdenerwowana. Płakała. Mówiła, że zgrzeszyła i musi ponieść karę.

– Tak mówiła?

– Tak.

– Rozmawiał obywatel z księdzem Chwaliszewskim na ten temat?

– Tak. Ksiądz Chwaliszewski powiedział, że to tajemnica spowiedzi.

– Rozumiem. A czy wcześniej zdarzały się podobne przypadki?

- Jakie?
- Czy zdarzało się, że do księdza Chwaliszewskiego przychodziły młode dziewczęta?
- Tak... - odparł ostrożnie proboszcz.
- Potrafi obywatel podać personalia tych osób?
- Nie. Ale na zdjęciach bym poznał. Mam dobrą pamięć wzrokową.
- Rozumiem. No cóż, w takim razie to wszystko.

Gdy struchlały ksiądz wyszedł, Drzewicki musiał wytrzeć siedzisko wcześniej zajmowanego przezeń krzesła. Na drewnie została potężna plama po pocie. Prokurator pomyślał, że nie lubi zbyt zestresowanych obywateli.

Rozdział 18



W aresztanckiej celi panował półmrok. Niewielkie okno, przez które przebijały się promienie lutowego słońca, było zakryte przez ciało Benedykta Szadkowskiego. Wisielec miał przerażającą minę, której głównym elementem był makabrycznie wyglądający język. Zastygł on w otoczeniu piany wypełniającej usta.

Banasik odruchowo zamknął oczy. Prokurator Drzewicki wręcz przeciwnie – patrzył na zwłoki uważnie, by nie pominąć żadnego detalu. Pod ścianą stało dwóch oczekujących na proces delikwentów. Obaj wyglądali tak, jak gdyby zaraz miano ich rozstrzelać.

– Który pierwszy zauważył wisielca? – zapytał Drzewicki.

Wąsaty jegomość ruszył się nieco z miejsca. Był niski. Banasik ocenił, że aresztant ma około trzydziestu pięciu lat.

– Ja – powiedział cicho wąsacz i przestąpił z nogi na nogę. – Ryszard Kręcicki, rolnik, lat trzydzieści trzy. Żonaty, trójka dzieci. Urodzony z Chąśnie. Nazwisko panięńskie matki: Wólka – wyrecytował bez zajknięcia.

– A ty? – zwrócił się do drugiego z osadzonych.

– Alojzy Szepan. Fryzjer damski. Niezameżny, znaczy się kawaler. Dzieci brak.

Fryzjer był nieco wyższy od wąsacza. Obaj byli chudzi. Szepan wręcz chuderlawy.

– Czy osadzony Szadkowski coś wczoraj mówił? Albo kilka dni temu?

Pierwszy odezwał się rolnik z Chąsna.

– Un, ten student, znaczy się. Wczoraj dostał jakiego szału. Wrzeszczał, że un nie może żyć, że go te, no, wyrzutki sumnienia dręczą.

– Wyrzuty.

– Ręką? – Rolnik nie bardzo wiedział, o co chodzi.

– Wyrzuty sumienia! – wrzasnął prokurator. Po chwili ochłonął, poprawił marynarkę i wrócił do wątku. – Coś jeszcze mówił?

– O jakiejś dziewczynie. Maryśka, tak o niej mówił. Że przez niego ona się powiesiła. I mówił, że też się powiesi, że żyć nie może.

– A ty co masz do powiedzenia? – zwrócił się do chuderlawego.

– No, tak się miotał. Mówił, że ta dziewczyna to przez niego i teraz to on też musi.

– Zgłosiliście to personelowi?

– Ale co? – zdziwił się cherlawy fryzjer.

– To, że ten, jak go nazwaliście, student mówił takie rzeczy?

– Nie.

Prokurator pokiwał głową w zadumie. Do celi wszedł lekarz w towarzystwie pielęgniarza, który przystąpił do odcinania nieszczęsnego Szadkowskiego. Ponieważ w pomieszczeniu zrobiło się ciasno, obaj śledczy wyszli na korytarz.

– Brzmi niezłe – odezwał się prokurator. – Jeżeli lekarz potwierdzi, że tych dwóch gamoni mu nie pomagało, to ich zeznania mogą być kluczowe podczas procesu.

Banasik nic nie powiedział. Chciał wyjść z budynku aresztu i odetchnąć zimnym powietrzem. Prokurator tradycyjnie wyciągnął papierosa i rzekł:

– Naczelnik aresztu potwierdził, że gdy tylko znaleźliśmy świadków, którzy rozpoznali w Szadkowskim vel Goldsteinie człowieka, który w marcu zeszłego roku rozrzucał antypaństwowe ulotki przed fabryką Marchlewskiego, ogólny stan aresztowanego się pogorszył. Co prawda naczelnik nic nie mówił o żadnym ataku szału, ale niewykluczone jest, że taki atak nastąpił po fazie smutku i przygnębienia. Tak się zdarza. Te zeznania oraz to, że na ulotkach były jego odciski palców, nie dałyby obronie większego pola manewru. Dostałby kilka lat. Albo i kilkanaście. To musiało zaważyć na stanie psychicznym.

Obaj śledczy zrobili parę kroków ulicą Smutną. Dzień był mroźny. Prokurator wyrzucił żarzące się peta w śnieżną bregę na poboczu.

– W tym momencie wygląda to tak. Chwaliszewski omamił nieletnią panienkę i wykorzystywał ją seksualnie, aczkolwiek nie uczynił tego dopochwowo. Stręzcycielem okazał się wichrzyciel, syjonista Szadkowski vel Goldstein. Wykorzystywana dziewczyna popełniła samobójstwo. Nie mogła znieść wstydu i samotności. Nie czuła się rozumiana przez rodziców, babkę i nawet siostrę. Na czyny lubieżne godziła się w imię lojalności

wobec babki i siostry, co dobitnie pokazuje, jak patologiczne bywają rodziny omamione przez zabobon. Praca socjalistycznej szkoły okazała się niewystarczająca w starciu z mizoginizmem i klerykalizmem.

Prokurator zaciągnął się ze świstem. Zapach tytoniu rozszedł się na mroźnym wietrze.

– My wiemy, że tak właśnie było. Chwaliszewski z Szadkowskim doprowadzili ofiarę do kresu wytrzymałości psychicznej. Po przekroczeniu tej granicy dziewczyna targnęła się na swoje życie. Pytanie tylko, czy zebrany materiał dowodowy jest wystarczający, by przekonać sąd.

– Proces będzie poszlakowy.

– Tak. Na razie to za mało. Dzięki śmierci Goldsteina mamy zeznania dwóch świadków, którzy potwierdzą, że chłopak miał poczucie winy wobec Marii Żydek. I być może rzeczywiście to poczucie winy spowodowało, że syjonista odebrał sobie życie. Pozostaje jednak problem, jak udowodnić, że ksiądz nie tylko wykorzystywał seksualnie dziewczynę, lecz także to, że te czyny miały wpływ na decyzję o samobójstwie. Mamy w tym momencie za słabą rękę do tej gry. Obrona będzie grać kartą dziewictwa, a to mocna karta. My niby mamy zeznania proboszcza, ale z tych zeznań nie wynika bezpośrednio, że dziewczyna była wykorzystywana seksualnie.

– Ani tym bardziej że to wykorzystywanie miało wpływ na decyzję o samobójstwie.

– Musimy znaleźć coś jeszcze. Chwaliszewski jest w parafii Biedaczyny od roku sześćdziesiątego. Sprawdzicie w bazie danych samobójstwa dokonane przez młode kobiety. Powiedzmy, że w przedziale wiekowym czternaście-siedemnaście lat. Interesują nas te przypadki, które miały miejsce na terenie parafii. W grę wchodzi także te rejony, które formalnie do niej nie należą, ale znajdują się w pobliżu. Czasem zdarza się, że wierni z różnych powodów uczęszczają do innych kościołów niż parafialne. Od tego zaczniecie. Zobaczmy. Może coś znajdziemy.

Rozdział 19



Przebijanie się przez dokumenty związane z samobójstwami zabrało Banasikowi dwa dni.

W końcu wybrał się do Drzewieckiego z niewielkim urobkiem.

– Trzy przypadki znalazłem. Dwa z parafii Biedaczyny. Jeden z obszarów sąsiadujących.

Prokurator odłożył gazetę i z uwagą spojrzął na milicjanta.

– Pierwsza z samobójczyń to Janina Józefiak. Lat szesnaście. Popełniła samobójstwo w grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku. Zażyła tabletki. Była pod opieką psychiatry. Leczyła się. Drugi przypadek to Cecylia Kowalik. Lat piętnaście. Powiesiła się w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym. Nie leczyła się psychiatrycznie. Trzeci przypadek jest najciekawszy. Anna Grzelak. Lat szesnaście. Nie wiemy, czy to na pewno było samobójstwo. Dziewczyna w wieku lat piętnastu podcięła sobie żyły. Została uratowana. W niecały rok później weszła na kruchy lód na stawie Stefańskiego. Niby wypadek, ale zostawiła list pożegnalny. Wiele wskazuje na to, że było to samobójstwo. Dwa pierwsze przypadki miały miejsce na terenie parafii Biedaczyny. Ta dziewczyna od kruchego lodu mieszkała na Rudzie Pabianickiej. Dosyć blisko kościoła Biedaczyny.

– Lekarze orzekli, czy te nieszczęśnice były dziewicami?

– Ta Kowalik i ta od kruchego lodu nie były dziewicami. Grzelakówna była po skrobance, która miała miejsce między jedną a drugą próbą samobójczą. Domniemaną próbą.

– To ona zostawiła list pożegnalny?

– Tak.

– Ciekawe. Musimy przesłuchać rodziny, krąg znajomych. Może jest coś, co łączy te wszystkie przypadki. Ten list musimy przeczytać. Rozumiem, że został dołączony do dokumentacji.

– Tak.

– No to do roboty. Na jutro zróbcie kopię. Pojedziemy też i porozmawiamy z rodzinami samobójczyń. Ustalcie, czy adresy się nie zmieniły. Czasem ludzie po takich tragediach wyjeżdżają. Często do innych miast. Jutro ruszamy. Wóz albo przewóz. Albo znajdziemy coś, co łączy się z naszą sprawą, albo będę musiał umorzyć postępowanie.

Rozdział 20



Banasik bardzo lubił Rudę Pabianicką. Cisza i duża ilość zieleni dodawały temu dawnemu miasteczku, od czasów wojny znajdującemu się w granicach Łodzi, swoistego kolorytu. Na drzewach leżały czapy śniegu. Ta część molocha wyglądała zupełnie znośnie.

Milicyjna warszawa zatrzymała się przed jednym z domków na ulicy Karowej. Z komina domu, w którym niegdyś mieszkała Anna Grzelak, snuł się dym. Kapitan podszedł do furtki i użył dzwonka. Za moment z domu wyszła kobieta. Jej upięte w kok włosy były zupełnie siwe, lecz dosyć sprężysty chód wskazywał, że z pewnością nie była staruszką. Po chwili obserwacji Banasik skonstatował, że musiała mieć około pięćdziesięciu lat. Gdy podeszła do furtki, kapitan przedstawił się i wyłuszczył, w jakiej sprawie przybył. Kobieta nieco się wahała, lecz w końcu mu otworzyła. Banasik wszedł za nią do skromnie urządzonego domku.

– Herbaty? – zapytała gospodyni.

Milicjant skinął głową i już za moment z lubością przełykał rozgrzewający napar.

– To już prawie dwa lata – odezwała się kobieta, wpatrując się w szklankę.

Banasik był zadowolony, że to ona zaczęła rozmowę. W komendzie podczas oficjalnych przesłuchań czuł się pewnie. W rozmowach, które toczyły w domach, zawsze lekko się peszył. Szczególnie nie lubił wypytywać o życie erotyczno-uczuciowe młodych kobiet.

– Mam kilka pytań w tej sprawie.

– Proszę pytać.

– Moje pierwsze pytanie może być dla pani trochę dziwne, ale muszę je zadać. Czy córka była osobą religijną?

Kobieta westchnęła. Sięgnęła po paczkę papierosów, które leżały na niedużej szafce pod oknem, zapaliła jednego, po czym opadła na oparcie fotela.

– Wychowywaliśmy ją w duchu materializmu – powiedziała. – Oboje z mężem jesteśmy członkami partii. To znaczy z byłym mężem. Rozwiedliśmy się rok temu. Mąż dostał mieszkanie na Marysinie. Staraliśmy się wychować córkę na porządną komunistkę. Nie udało się. Przy końcu podstawówki zaczęła się buntować. Apogeum przypadło na rok sześćdziesiąty szósty. Uciekła z domu, milicja jej szukała w całej Polsce. Okazało się, że dołączyła się do pielgrzymki, która szła na Jasną Górę. W domu pojawiła się we wrześniu. To już było po pierwszej próbie samobójczej.

Kobiecie głos zaczął się łamać. Za moment całym jej ciałem targnął spazm, popiół z papierosa osypał się na dywan. Banasik czuł, że się poci. Próbował opanować nerwy, ale bez większego efektu. Na kilka chwil w mieszkaniu zapadła cisza. Gdy kobiecie udało się opanować płacz, z trudem wróciła do przerwanej wątku.

– Przez następne pół roku miała prawdziwego fioła na punkcie religii. Chciała się ochrzcić. Codziennie czytała Biblię. Przebąkiwała, że pragnie wstąpić do klasztoru.

– Jak na to reagowaliście?

– Tak jak mówiłam, to było po próbie samobójczej. Ja byłam tak przerażona, że sama gotowa byłam wrócić na łono Kościoła, żeby tylko z Anią było już wszystko dobrze. Wychodziłam z założenia, że jeżeli wiara ma córce pomóc, to nie należy jej zakazywać.

– A mąż?

– Mąż na początku był przeciwny tym wędrownikom do kościoła po nocach, ale szybko machnął na nie ręką.

– Nocne wizyty w kościele?

– Trochę przesadziłam. To nie były noce. Raczej późne wieczory. Na tej pielgrzymce poznała takiego księdza.

– Pamięta towarzyszkę nazwisko?

– Tak. Chwaliszewski. Z tego kościoła obok torów na Pabianickiej.

– To jest ulica Przyszkole. Pabianicka jest obok.

– Być może.

– Jak późno córka wracała?

– Zdarzało się, że po jedenastej wieczorem.

– Czy córka coś mówiła o tych spotkaniach?

– Niezbyt. Mówiła tylko, że ten ksiądz zbliża ją do Boga. Nie dociekałam.

– Rozumiem.

- Na kilka tygodni przed wypadkiem córka usunęła ciążę, prawda? - Banasik obawiał się zadawać to pytanie, ale wiedział, że musi.

- Wiem. - Gospodyni pokiwała głową i spojrzała Banasikowi w oczy. - Nie wiem, kto był ojcem. Nie dopytywałam się. Boże, ile ja nocy nie przespałam - wybuchnęła kobieta.

Banasik dał się jej wypłakać.

Oczy kobiety wyglądały jak wielkie kratery po eksplozji lawy nieszczęścia.

- Myśli towarzyszka, że to był wypadek?

- Nie wiem. Nie wiem, co mam o tym myśleć. To był początek marca. Weszła na lód. Lód pękł. Może to był wypadek, może nie. - Otarła twarz dłonią i wolno spojrzała w stronę okna. - Dziś to nie ma żadnego znaczenia. Nie ma jej. Nie mam dziecka. Usunęłam dwie ciąży. Mąż mnie zostawił. Mam czterdzieści jeden lat. Wyglądam na pięćdziesiąt. Czuję się, jakbym miała sto.

Banasik bardzo chciał wstać i wyjść z tego nieszczęśliwego domu, ale zwyciężyło poczucie obowiązku.

- Córka zostawiła list. Jakby pożegnalny.

- Tak. To ja go znalazłam. Pisała, że nie chce żyć w świecie, w którym nie ma miłości. Miała żal do dorosłych. Nie napisała, że chce popełnić samobójstwo. Ale ten list był tak smutny... Ja naprawdę wolę myśleć, że to był wypadek. Tak jest łatwiej żyć. Mniej boli sumienie.

Banasik pożegnał się z kobietą i wyszedł przed dom. Na dworze sroki dopadły wróbla i zaczęły go rozrywać na strzępy. Kapitan nie wrócił do auta. Do stawu Stefańskiego postanowił dojechać piechotą. W okresie międzywojennym Ruda Pabianicka miała ambicje stać się dla Łodzi tym, czym Otwock był dla Warszawy. W osadzie, która prawa miejskie otrzymała na początku lat dwudziestych dwudziestego stulecia, powstały wille, które miały służyć letnikom. Zbudowano tor wyścigowy. Można było wynająć kajaki bądź łódki. Na dodatek w Nerze obficie występowały ryby. Duże połacie zieleni zachęcały do spacerów. Włodarze miasta kupili dużo sadzonek, którymi wysadzono ulice. Banasik lubił to miejsce. Latem często z Haliną jeździli tu na rowerach. Poza tym oboje w czynie społecznym pomagali w budowaniu na Rudzkiej Górze skoczni narciarskiej. Uroczyste oddanie obiektu zaplanowane było na tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty rok.

Banasik, zastanawiając się nad tym, czy rudzka skocznia wyda kiedyś skoczka na miarę Marusarza, dotarł do zamrożonego stawu. Od ponad dwudziestu lat zielony teren okalający staw nosił miano parku 1 Maja. Nikt jednak nie posługiwał się tą nazwą. Wszyscy po dawnemu mówili: staw Stefańskiego. Aleksander i Arno Stefańscy byli urodzonymi w niemieckim mieście Stettin biznesmenami, którzy zainwestowali w rozwój Rudy sporo pieniędzy. Po wojnie wyjechali, czy też raczej uciekli do Niemiec Zachodnich, a ich majątek został upaństwowiony. Na początku lat pięćdziesiątych nad stawem powstała stacja harcerska. Miejsce tętniło życiem, tak jak za sanacji. Niestety zaraz za tamą wpływały do Neru ścieki, które doprowadziły życie w rzece do zagłady. Za każdym razem, gdy kapitan pojawiał się nad Nerem, jego serce krwawiło.

Teraz jednak oficer nie myślał o klęsce ekologicznej. Patrzył na zamrożony staw i oczami wyobraźni widział, jak szesnastolatka wkracza na tafłę zmarzliny. Nikogo wokół nie było. Większość mieszkańców o tej porze przebywała w pracy. W północnej części Rudy było sporo zakładów przemysłowych. Banasik pomyślał, że jak jego syn dorośnie, to przyjedzie tu z nim biegać na nartach. Po chwili z zaskoczeniem skonstatował, że w jego imaginacji nie ma Haliny. Zganił się za to i ruszył rażno na ulicę Uroczysko. Dojście do urokliwego zakątka porośniętego sosnami zajęło mu pół godziny. Enklawa zieleni pokryta była śniegiem. Miejsce to upodobał sobie przedstawiciele kultury lużyckiej, którzy kilka tysięcy lat wcześniej mieli tu swoją osadę. Najstarszą ludzką sadybę na terenie miasta Łodzi. Banasik czytał o tym w jednym z naukowych periodyków.

Teraz uważnie przyglądał się drzewom. Na jednym z nich powiesiła się Cecylia Kowalik. Banasik przypomniał sobie, że miało to miejsce jesienią sześćdziesiątego szóstego roku, a dziewczyna mieszkała przy pobliskiej ulicy Starorudzkiej. Kapitan zerknął do notesu, w którym zapisany miał adres, po czym ruszył w odpowiednim kierunku.

Niewielki dom z ogródkiem pochodził - jak znakomita tutaj większość - z czasów międzywojnia. Banasik zapukał, a po kilku chwilach w progu stanęła kobieta. Przedstawił się. Był w mundurze, więc nie musiał pokazywać legitymacji. Prawda była zresztą taka, że od początku kariery w MSW nigdy nie był przez nikogo przeroszony o pokazanie dokumentu służbowego.

Weszli do środka. Kobieta dorzuciła węgla. Kapitan usiadł przy niedużym stole.

- Przykro mi, ale musimy wrócić do samobójczej śmierci Cecylii. Być może zdarzenie to ma związek z innym samobójstwem. Bądź innymi.

Twarc kobiety zrobiła się kredowobiała i pojawił się na niej tik - kącik ust podskakiwał, sprawiając wrażenie, że kobieta makabrycznie się uśmiecha. Kowalikowa nic nie odpowiedziała, co funkcjonariusz wziął za zgodę na zadawanie pytań.

- Z akt sprawy wiem, że córka nie miała problemów psychicznych.

Kobieta kiwnęła głową. Tik stał się bardziej intensywny. Banasik nerwowo potarł dłonie. Śledztwo go męczyło. Zdecydowanie wolał prowadzić sprawy z zakresu przestępstw gospodarczych.

- A czy córka była religijna? Chodziła do kościoła?

- Tak - wyszeptła kobieta.

- Ale chodziła tak zwyczajnie, raz na tydzień? Czy może jakoś częściej?

- Różnie. - Szept był ledwie dosłyszalny.

- A pielgrzymki? Czy córka chodziła na Jasną Górę?

Na twarzy Kowalikowej pojawił się przestrach.

- Ja nie mówię, że chodzenie na pielgrzymki to coś złego - dodał szybko uspokajającym tonem. Zrobiło mu się wstyd przed samym sobą, że musi się tłumaczyć gospodyni, ale rzucił: - Ani chodzenie na religię. To nic złego.

Kowalikowa nic nie powiedziała. Jej twarz poszarzała. Kapitan kontynuował:

- To ważne. To może być bardzo ważne. Bardzo proszę się skupić i sobie przypomnieć. - Pochylił się w stronę kobiety. - Czy córka była na pielgrzymce w sześćdziesiątym szóstym? Nic wam nie grozi - dodał i znowu poczuł wstyd.

- Tak. Była na pielgrzymce. Z księdzem Chwaliszewskim. Szli w małych grupach. Milicja ludzi łąpała i zawracała. Ksiądz mówił, żeby szli leśnymi dróżkami, a do Częstochowy przyszli w nocy.

Banasik doskonale pamiętał rok milenijny. Władza robiła wtedy wszystko, by torpedować uroczystości na Jasnej Górze. Pamiętał, że urlop mógł wziąć dopiero w październiku. W sierpniu wraz z innymi milicjantami skrupulatnie sprawdzał stan techniczny samochodów jadących do Częstochowy. Nawet najmniejsza usterka miała być powodem do tego, by kierowcę ukarać mandatem, a wóz odesłać i nie wpuścić go do miasta.

- A czy księdza Chwaliszewskiego córka poznała podczas pielgrzymki?

- Nie. Chodziła na religię. Znała go wcześniej.

- Czy Cecylia coś o księdzu Chwaliszewskim mówiła?

- Co miała mówić? - Kowalikowa popatrzyła nieprzytomnie.

- No, ogólnie. Coś wspominała?

- Nie bardzo. Mało rozmawialiśmy. Ja często na drugą zmianę pracuję. W domu jestem przed jedenastą. Jak Cecylia przychodziła ze szkoły, to mnie nie było.

- Skarżyła się na coś?

- Na co?

- Ogólnie. Na coś. - Banasik chciał już wyjść, miał dość tej rozmowy i całego tego tematu. - Albo na kogoś.

- Nie - kobieta odparła krótko.

- A czy córka odwiedzała księdza na plebanii?

- Nie wiem.

- Jak wracaliście z fabryki po drugiej zmianie, to zawsze była w domu?

- Chyba tak.

Banasik wreszcie podziękował za rozmowę i wyszedł. Odetchnął głęboko. Zaczął padać śnieg i Ruda wyglądała jak kurort zimowy. Kapitan z żalem poczłapał w stronę ulicy Karowej, na której wcześniej zostawił niebieską milicyjną warszawę. Gdy odpalał silnik, dochodziła czternasta. Banasik pomyślał, że woli pracować sam. Po każdym spotkaniu z prokuratorem jego mundur zawsze śmierdział tytoniem.

Rozdział 21



- Ciekawe – odezwał się Drzewicki.

Siedzieli w budynku prokuratury. Banasik zdał relację z wycieczki na Rudę Pabianicką.

Prawnik nie zaskoczył go i natychmiast sięgnął po papierosa. Banasik spojrzął na paprotki. Wyły o łyk tlenu. W odpowiedzi na te nieme wołania oskarżyciel dmuchnął w nie kłębem dymu.

- Jutro pojedziecie do kościoła Biedaczyny. Pokażecie zdjęcia obu dziewczyn. Jeżeli proboszcz Wiktorzyński je rozpozna, to będzie wyraźny przełom w sprawie. Innych księży nie ma co pytać, bo są w parafii od niedawna. Zresztą potwierdzili fakt, że Maria Żydek bywała w pokoju księdza do późna.

Następnego dnia kapitan Banasik zatrzymał warszawę przed plebanią na ulicy Przyszkole. Telefonicznie uprzedził proboszcza o swoim przybyciu. Gdy wszedł do środka, gospodarz zaproponował herbatę, lecz Banasik grzecznie odmówił i szybko przeszedł do meritum. Wyciągnął ze skórzanej teczki plik zdjęć i podał je księdzu. Wiktorzyński założył okulary w rogowej oprawie i wyteżył wzrok. Przymknął lewe oko. Grube szła powodowały, że proboszcz wyglądał teraz jak mitologiczny cyklop.

- Poznaję. Poznaję te dziewczęta.

- Na pewno?

- Tak. Kilka lat temu obie przychodziły do księdza Chwaliszewskiego.

- Razem?

- Co takiego?

- Pytam, czy przychodziły razem.

- Nie. Osobno. Jedna wcześniej, druga nieco później. Nie pamiętam, która wcześniej. Ale na pewno obie przychodziły.

- Rano? W południe? Kiedy najczęściej?

- Wieczorami. Często wychodziły bardzo późno. Nawet po jedenastej. Interweniowałem w sprawie tych nocnych wizyt, ale... - Ksiądz wyglądał tak, jakby szukał odpowiednich słów.

- Ale co? - ponaglił Banasik.

- Ksiądz Chwaliszewski ma mocną pozycję w kurii. Zna dobrze biskupa Klepacza oraz samego Wyszyńskiego. Niewiele mogłem wskórać. Ksiądz Chwaliszewski twierdzi, że w nocy najlepiej mu się pracuje. Od roku już nawet nie zwracam mu uwagi.

- Rozumiem... A czy zauważył ksiądz, by między tymi dziewczętami a księdzem Chwaliszewskim istniały jakieś relacje, hm, nazwijmy to: bliższe?

- Grzeszne?

- Można tak to nazwać.

Wiktorzyński podrapał się po głowie. Jego twarz zdradzała niepokój. Oblicze było wyraźnym odzwierciedleniem wielkiej wewnętrznej walki. Banasik natychmiast to wyczuł.

- Odpowiedz na to pytanie może być ważna - rzekł z naciskiem.

W księdzu nadal toczyła się duchowa potyczka.

- Nie chcę rzucać fałszywych oskarżeń... - zaczął niepewnie.

- Nikt tego od księdza nie wymaga. Chodzi o to, by ksiądz powiedział prawdę.

- Nie wiem, czy były między księdzem Chwaliszewskim a tymi dziewczętami jakieś stosunki cielesne. Ale...

- Ale?

- Z pokoju księdza Chwaliszewskiego często dochodziły różne śmiechy. Grała muzyka.

- Jak rozumiem, nie była to muzyka organowa.

- Nie. Jakaś współczesna. Młodzieżowa.

- Czy jest ksiądz gotów powtórzyć to na oficjalnym przesłuchaniu w prokuraturze?

Wiktorzyński zdjął okulary i odłożył je na ciężki dębowy stół. Spojrzął na Banasika i odpowiedział ciężkim głosem:

- Tak.

Po wyjściu z plebani kapitan ruszył z impetem w stronę centrum. Już po kwadransie zameldował się w gabinecie Drzewickiego, by przekazać mu, czego dowiedział od Wiktorzyńskiego.

- Robi się coraz ciekawiej - mruknął prokurator.

- Ale w dalszym ciągu zebrany materiał dowodowy może być niewystarczający.

- Tak. To, czym dysponujemy, to ciągle za mało. Wciąż możemy liczyć tylko na proces poszlakowy. No i wiele będzie zależało od tego, kto będzie prowadził rozprawę. Trzy lata temu bym się nie wahał. Ale teraz? Argumentem przemawiającym za postawieniem Chwaliszewskiemu zarzutów jest to, że działał w zмовie z syjonistą Szadkowskim. Mamy tutaj najwyraźniej szajkę, która łączyła skrajne elementy antysocjalistyczne w działaniach, które popychały wykorzystywane seksualnie dziewczęta do samobójstw. Taki wniosek wyłania się z zebranego materiału dowodowego. Ale musimy pamiętać, że środowisko sędziowskie jest niespójne pod względem lojalności politycznej. Proces marcowych wichrzycieli jest tego najlepszym dowodem. Te śmieszne wyroki... - Drzewicki pokręcił głową. - Dlatego musimy być lepiej przygotowani. Musimy zrobić jeszcze jeden wysiłek, by znaleźć mocniejsze argumenty.

Prokurator usiadł i zaczął z uwagą przyglądać się stosowi dokumentów, którymi zawałone było biurko.

- Zastanówmy się, czy przesłuchaliśmy wszystkich świadków. Przesłuchaliśmy? - zwrócił się do Banasika.

- Chyba tak. A jeśli chodzi o księży, to zostali tylko ci, których na początku sześćdziesiątego siódmego przeniesiono do podłódzkich parafii.

- Tak, ale oni o Marii Żydek nic nie powiedzą.

- O tych dwóch pozostałych mogą coś wiedzieć.

- Więc musicie ich przesłuchać. Pozostaje też kościelny. Pamiętajmy, że stary kościelny przeszedł na emeryturę. A że nowy niczego ciekawego nie zeznał, ustalcie, gdzie mieszka stary, o ile w ogóle jeszcze żyje. Jeśli tak, to koniecznie trzeba go przesłuchać. I postarajcie się to zrobić do końca lutego. Najwyższa pora doprowadzić śledztwo do końca.

Banasik skwapliwie kiwał głową, a gdy prokurator skończył, z ulgą wyszedł na zewnątrz.

Rozdział 22



Kościelny Waclawik mieszkał w skromnym domku przy ulicy Farnej. Kiedy kapitan nacisnął dzwonek, z domu wychynął na oko dwudziestoletni chłopak. Był krótko ostrzyżony, więc Banasik skonstatował, że musiał on niedawno wyjść z więzienia lub wojska. Młody mężczyzna skierował się ku furtce. Szedł wolno. Była odwilż, a topniejący śnieg powodował, że chodniki i ścieżki wyglądały jak ślizgawki. Banasik wyprostował się. Wiedział, że w milicyjnym płaszczu jego sylwetka prezentowała się imponująco. Chłopak wreszcie dotarł do furty, popatrzył na milicjanta z powagą i zaprosił go do środka. Izdebka, w której mieszkał stary kościelny, była nader skromna. Staruszek człapał ku kapitanowi, trzymając się laski.

– Dopóki sił mi starczało, dopóty się pracowało. – Zaśmiał się gorzko i wskazał Banasikowi drewniany zydel.

Banasik usiadł, a starzec mówił:

– Dobrze, że wnuk jest na przepustce. W wojsku służy. Pomaga mi dziś. Dobry chłopak. – Zerknął w stronę drzwi, za którymi zniknął dwudziestolatek. – Ale są dni, kiedy się samemu jest jak palec w tej mojej izdebce. Sił brakuje, a emerytury nie ma. Nad Bzurą się dostało odłamkiem granatu. Po wojnie nikt mnie się nie chciał zatrudnić. Bo wiadomo, kaleka. Do kościoła na kościelnego się poszło. Dobra praca. Obiad zawsze na parafii się zjadło. Jak po kolędzie się chodziło, to zawsze parę groszy dodatkowych wpadło. Przez wiele lat się chodziło. Kiepsko, noga bolała, ale się chodziło. Po kolędzie ksiądz kopertę dostał, a mnie jako kościelnemu krzywda się nie działa. Się dostawało parę groszy, się dostawało kanapkę dobrą, a i kieliszeczek czegoś mocniejszego, gdy dzień był mroźny. Dobrze się żyło. Nie narzekało się. Proboszcz mnie lubił, ten obecny. Ale ten były też mnie lubił. Się lubiło proboszcza tego i tamtego.

– A ksiądz Chwaliszewski?

Przez twarz kościelnego przeszedł ponury cień.

– Się lubiło różnych ludzi. Takich i innych.

Banasik wyjął z teczki dużą kopertę ze zdjęciami.

– Widziało się te dziewczęta? – zapytał kapitan.

Starzec obejrzał dokładnie zdjęcia. Jego szklane oczy zaczęły błyszczeć mocniej.

– Się widziało.

– A gdzie się je widziało?

– U Świętego Biedaczyny. One do księdza Chwaliszewskiego przychodziły.

– A co one u księdza robiły? Wie się?

Waclawik zamknął oczy i wyszeptał.

– Wie się.

W izdebce zapadła cisza. Kościelny otworzył oczy i zaczął mówić:

– Każdy człowiek grzeszy. Każdy. Ale grzech księdza jest jakby zawsze większy. Ksiądz Chwaliszewski tym dziewczynom grzech zadawał. Grzech cielesny.

– Skąd się to wie?

– Się widziało.

– Na własne oczy?

– Na własne oczy.

– Na plebani?

– Na plebani się tego nie widziało. To się widziało tu. – Stary człowiek wskazał laską okno.

Banasik poszedł za wskazówką. Za oknem, w szarej, typowej dla końca lutego mazi roztopiały się stawy Stefańskiego. Kapitan pomyślał, że być może tego dnia, gdy jedna z dziewczyn wpadła do wody, była podobna pogoda.

– Przez to okno się widziało? – zapytał kapitan.

– Jak się tu mieszka, to się widzi różne rzeczy. Ksiądz Chwaliszewski przychodził tu z tymi nierządnicami i grzech cielesny robił. Latem, późną wiosną i wczesną jesienią. W nocy głównie. W nocy się spać nie mogło, bo noga po tym granacie bolała. A jak bolało, to się nie spało i się widziało.

– A powiedziało się o tym proboszczowi Wiktorzyńskiemu?

– Się powiedziało.

– No i co się potem działo?

- Nic. Proboszczowi się powiedziało, ale się usłyszało, że kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamieniem. Potem już się proboszczowi nic nie mówiło.

- Rozumiem.

Starzec poczłapał do okna.

- Sił się ma mało. Gdyby władzy się chciało mnie starego poprowadzić, toby się pokazało te miejsca, gdzie się księdzu z tymi ladacznicami brykało.

- Władzy się zachciało.

- To by się poszło. Ale nie chcę, by wnukowi się o tym dowiedziało. Młody on. Jak z wojska wyjdzie, wołę bożą mu się pewnie poczuje. To i dobrze. Nie powinno się jemu o grzechu cielesnym... To znaczy nigdy o tych sprawach się nie mówiło. I dobrze.

Banasik uśmiechnął się i pomógł starcowi wstać. Kościelny włożył wysłużone palto i trzymając się ręki kapitana, zaczął kułykać do wyjścia. Wnuk siedział w drugim pokoju i słuchał radia. Melomańskie ucho kapitana wychwyciło głos Kasi Sobczyk.

Wyszli na dwór. Staruszek, trzymając się ramienia milicjanta, powoli sunął po oblodzonej ścieżce.

- Jak się było kościelnym, to jak była zima, to zawsze wszystko się odśnieżyło. Zawsze. Wstawało się o czwartej. O piątej się było już na plebani. Rozpalało się w piecach, odśnieżało się. Wszystko było na czas. Do domu wracało się wieczorem, po ostatnim nabożeństwie. Świątek, piątek. Każdego dnia. Nawet emerytury się nie ma, bo jako zatrudniony przez kościół nie ma się do niej prawa. Czy to sprawiedliwe?

Banasik nic nie odpowiedział. Starzec westchnął i mówił dalej.

- Dobrze, że proboszcz Wiktorzyński o mnie pamięta. Co miesiąc jaki grosz od niego się dostaje. Synowie i córka też zupy jakiej przyniosą. Dobrze się dzieci wychowało. Wnuki też odwiedzają się. To znaczy mnie się odwiedza.

Minęło kilka minut, nim dotarli do furtki. Lodu na jezdni za ogrodzeniem nie było. Konie ciągnące drewniane wozy rozdeptały trakt. Zamiast lodu było błoto wymieszane z odchodami zwierząt. Staruszek stąpał teraz nieco zwawiej. Doszli do dużej kępy drzew. Duża ilość tlenu najwyraźniej ożywiła pamięć starszego pana.

- Ten Stefański to był jednak świnią. Za Niemca to się im wysługiwał. Podobnie jak inni. Chociaż były i dobre Niemce. Taki Horak na ten przykład. Przed wojną to było panisko, że ho, ho. Ludzie gadali, że w trzydziestym dziewiątym to sam Hitler odwiedził go w domu. Niby gnida, ale jak spojrzeć na to z innej strony... Się wtedy za okupacji pracowało u Horaka. Ta rana jeszcze się tak bardzo nie doskwierała wtedy. Była tam, znaczy się u Horaka, taka jedna Zośka. Do tej Zośki smalił cholewki taki majster. Niemiec. Się nie wie, czy ta Zośka poszła z nim z własnej woli, czy pod przymusem. No i po kilku miesiącach Zośka była w ciąży. Rodzina ją wykleła. Ten majster się wykipił. Zośka się zabiła. Rzuciła się pod pociąg. Się wie i inne wiedzą, że Horak tej Zośce pogrzeb wyprawił. Cała załoga wzięła udział w uroczystości. Horak wypłacił dniówkę. Co do grosza. Się było na tym pogrzebie. Młoda była ta Zośka. Szesnaście lat miała. W tym wieku to człowiek jest słaby.

Doszli do miejsca, z którego dobrze było widać domki na ulicy Farnej.

- O, to tu. Na tym pniu zwalonym dobrodziej Chwaliszewski sobie folgował. Z tymi dwiema. One obie w wieku tej Zośki były... Może one też tak jak ona? Się nie wie. Się tylko zastanawia.

Banasik się rozejrzył. Miejsce było otoczone krzakami. Chyba jedynie z domku kościelnego było widać ten skrawek parku.

Kapitan utrwał w głowie obraz miejsca uciech księdza Chwaliszewskiego, stary kościelny wracał zaś pamięcią do czasów okupacji.

- Się pamięta dobrze te czasy. Się mieszkano obok kościoła. Się wie, że księży Niemce wywiozły do Dachau. Żaden nie przeżył. Się wtedy nie myślało, że się kościelnym zostanie. Niezbadane są wyroki niebios. Się pamięta też Geblerów. To były dobre Niemce. One pomagały. Chleba Geblery dawały i nam, i ruskim jeńcom, co tu w obozie siedziały. Tych Geblerów gestapo zabrało.

- Kojarzę. Podczas okupacji bywałem na Rudzie. Towarzysze Woźniak i Oraczewski kierowali sabotażem w fabryce Horaka. Mówili mi o Geblerach.

- Się pamięta też mecze. Chłopaki z RKS grały z Wichrem, Wólką, z Widzewem. U nas w RKS grali Fuks i Lachman. Dzięki nim żandarmy przymykały oczy na te mecze.

- Wracamy?

Wacławik chwycił mocniej laskę i wczepił się palcami w ramię kapitana. Po kilkunastu minutach stary kościelny wrócił do swojej izdebki. Banasik uważnie spojrzął w okno. Miejsce, w którym kwadrans wcześniej był z Wacławikiem, było stąd świetnie widoczne. Pożegnawszy się z sędziwym kościelnym, poszedł do samochodu. Pod pachą trzymał aktówkę z podpisanym zeznaniem starca.

Rozdział 23



Robiło się coraz cieplej. Z dachów i rynien spływały strugi wody. Słońce przygrzewało coraz mocniej. Banasik z miną nieszczęśnika wszedł do zakopconej jaskini prokuratora. Tak jak domniemywał, okna były szczelnie zamknięte, oskarżyciel Drzewicki zaś tonął w kłębach dymu.

Banasik zdał relację i pokazał zeznanie. Prawnik zaciągał się sportem i czytał.

- To mamy ostatni element układanki. Mamy zeznania świadków, które trudno będzie podważyć. Dobrze, że dokładnie spenetrowaliście to miejsce schadzek.

- Jest dobrze zamaskowane. Praktycznie to, co tam się dzieje, widać tylko z okna Waclawika. W sumie przypadek. Ten dom Waclawika nie jest w stu procentach położony wzdłuż ulicy. Jest nieco pod kątem od jezdni. To powoduje, że z jednego okna dobrze widać ten konkretny fragment parku.

- To ważny atut. Co prawda dalej nie mamy dowodów na to, że Chwaliszewski namawiał te nieszczęsne dziewczęta do samobójstwa, ale mamy mocne poszlaki. Cholernie mocne. Jeśli dobrze to rozegramy, to może uda się tego klechę skazać. - Prokurator zaciągnął się i mówił dalej. - I pomyśleć, że jak znaleźliśmy ciało tej Żydek, to byłem przekonany, że to zwyczajne samobójstwo. To kolejny dowód na to, że pozory zawsze mylą. Tym się różni socjalistyczna sprawiedliwość od tej kapitalistycznej. U nas nie dajemy wiary pozorom. Nie idziemy na łatwiznę. Szukamy drugiego dna. Dzięki naszemu uporowi przerwiemy ohydny proceder zdemoralizowanego klechy. Ukróćmy go. Wsadzimy za kratki groźnego przestępcę. Uratujemy kolejne młode kobiety przed obszłizłymi mackami potwora.

Banasik znowu postanowił nic nie mówić. Był zmęczony śledztwem, częstymi kontaktami z prokuratorem i chmurami papierosowego dymu. Prokurator zaś nie przerywał tyrady.

- Po raz kolejny okazało się, że socjalistyczne państwo, kierując się zasadami humanizmu, wyhodowało potwora. Wszak państwo w pełni szanuje autonomię Kościoła. Nie przeszkadzamy szerokim kręgom społeczeństwa w kultywowaniu swoich potrzeb religijnych. I to chyba jest błąd. Chyba jesteśmy zbyt dobrzy. Zbyt liberalni i zapatrzeni w ideały humanizmu i demokracji. - Drzewicki spojrzął na portret Gomułki. Westchnął i dodał: - Na jutro przygotuję nakaz aresztowania. Pojedziecie rano i zapuszczajecie Chwaliszewskiego. I na tym wasza rola w śledztwie się kończy. Chyba że przyciśnięty do muru klecha sypnie współników i okaże się, że mieliśmy do czynienia z jakimś spiskiem. Ze zorganizowaną grupą. Dla pewności przesłucham jeszcze tych dwóch księży, którzy niedawno opuścili parafię Biedaczyny. Jeżeli potwierdzą to, co zeznał kościelny Waclawik, sąd nie będzie miał żadnych wątpliwości.

Prokurator zajął do notatnika, przekartkował go, a gdy znalazł to, czego szukał, zaczął czytać:

- Pierwszy ksiądz to Stanisław Radkowski. Od półtora roku jest proboszczem w jakiejś wsi koło Łasku. Drugi to Teodor Lepianka, wikary z jakiejś dziury pod Tomaszowem. - Podniósł wzrok i popatrzył na kapitana. - Za kilka dni mają się stawić w prokuraturze. To, co mamy, wystarczy do tego, by Chwaliszewskiego aresztować. Jeżeli tych dwóch księży potwierdzi, że podejrzany miał kontakty cielesne z dziewczynami, które popełniły samobójstwo, to będzie wisienka na torcie.

Prokurator zgasił sporta i sięgnął po kolejnego. Banasik spojrzął na popielniczkę. Papierosowe trupy wylewały się na blat biurka. Drzewicki strząsnął popiół i rzekł:

- Dziękuję wam, towarzyszu, za współpracę. To była trudna sprawa. Ale nasza służba składa się z takich trudnych spraw.

Rozdział 24



W nocy męczyły go koszmary. Jak zawsze. Okupację przeżył dzięki pomocy jednego z chłopów. Uciekł z transportu wraz z Rachelą. Do obejścia doszli, gdy wstawał dzień. Gospodarz powiedział, że im pomoże pod warunkiem, że schowają się tak, że ich nie znajdzie. Wykopali skrytkę w gnoju. Właściciel posesji dotrzymał słowa. Karmił ich i ukrywał. Żona gospodarza pomogła przyjąć poród. Dziecko zabił on. Kamieniem. Nie mogło żyć, płacz oznaczał dekonspirację. Każdej nocy miał koszmary. Dlatego pił codziennie. Sen przychodził, kiedy alkohol zaczynał ulatniać się z organizmu, gdzieś między czwartą a piątą rano. W snach najczęściej wracał do tamtych dni. Widział każdy szczegół. Jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Budził się zawsze wtedy, gdy krew z rozbitego mózgu dziecka ochlapała mu twarz.

Po wojnie ochrzcił się i został katolikiem. Przeszedł być Mordechajem, został Franciszkiem. Nazwisko Goldberg zmienił na Złotowski. Liczył, że odprawiona po spowiedzi pokuta pomoże. Nie pomogła. Dlatego odszedł od Kościoła. Został ateistą i poszedł do terapeuty, ale to też nie pomogło. Nauczył się z tym jakoś żyć. Albo raczej wegetować.

Tej nocy śniło mu się, że wracał z kolegami z Afganistanu. Koledzy pojechali się wspinać i zdobywać szczyty. On zabezpieczał wyjazd od strony finansowej. W Afganistanie dobrze sprzedawały się żyłki marki Silver. Za zysk najbardziej opłacało się zakupić karakułowe kożuchy. Wziął dwa więcej, niż pozwalały przepisy. To wszystko zdarzyło się naprawdę i realni celnicy obydwu te kożuchy zgarnęli, komentując głośno, że jest idiota. Ale we śnie mu ich nie zabrali – z kożuchów zaczęła się bowiem wysypywać mąka. Było jej coraz więcej i więcej. Zасыpywała go, zabierając mu tlen. Dusił się i nie mógł nic zrobić. Czekał na śmierć.

W kuchni zapisał czajnik. Naparzył kawy. Kofeina pobudziła mózg do myślenia. Po chwili doszedł do wniosku, że być może ten sen wcale nie był koszmarem. Wziął torbę i poszedł na postój taksówek, gdzie czekał na niego ugadany zawczasu taksjarsz. Pojechał na dworzec. Nie lubił się spóźniać. Zawsze był dużo wcześniej niż inni. W końcu był szefem. Czy może raczej menadżerem, jak sam lubił siebie nazywać. Pół godziny później zaczęli schodzić się podwładni. Gdy na dworcu pojawił się Banasik, humor mu się poprawił. Uśmiechnięty podszedł do milicjanta.

– Piękny mundur. – Zaśmiał się.

Banasik uśmiechnął się blado. Kiedy nadjechał pociąg, zaczęli pakować graty do specjalnego wagonu.

– Uważaj pan! – wrzasnął Złotowski do pracownika PKP, który zbyt nonszalancko zabrał się do przenoszenia instrumentów.

Pracownik istotnie zaczął uważać. Do zapakowania miał niemały arsenał.

– Te cacka to nie jakieś deski z Herensdorfu, tylko czeskie neotoniki – tłumaczył z dumą Banasikowi Złotowski. – Nie żadne fendery, ale porządne gitary. Zresztą fendery niedługo też będziemy mieli. – Spojrzał na kręcących się wokół podopiecznych i wskazał na wysokiego, długowłosego, chłopaka. – To Tomek, nasz gitarzysta. Kupię mu fendera stratocastera. Będziemy mieli porządną sprzęt, a nie jakieś czeskie gównno.

Po wypowiedzeniu tych słów menadżer czubkiem buta dzióbnął czeską kamerę pogłosową marki Echolana.

– Binsona też będziemy mieli. Magnetofony prima sort. Dasz wiarę, że moim pierwszym magnetofonem był szpulowiec Piosenka?

Banasik wysilił się na uśmiech, ale Franciszek Złotowski ledwie zauważył. Zaaferowany mówił dalej.

– Jak ci syn dorosnie i będzie chciał grać na gitarze, to nie kupuj mu, broń Boże, tego enerndowskiego dziadostwa. Kup mu framusa z Enerefu. A jak nie będziesz miał tyle szmalcu, to polecam rodzinną firmę Kopaczek z Bielska-Białej. Nie jest to deska, ale półpudło. Ma dosyć ciekawe brzmienie, dwie przystawki i cztery registry do zmiany barwy dźwięku. Służyły te gitarki chłopcom przez jakiś czas. Ale wiesz, nie miały wajchy i chujowo wyglądały.

Gdy zaczęto pakować zrobiony przez studentów politechniki głośnik, menadżer przestał paplać i troskliwie otaksował wzrokiem proces pakowania. Banasikowi zdawało się, że ładowany do wagonu głośnik jest najczulszą kochanką bigbitowego kapelmistrza.

– Masz ten kwit?

– Już mówiłem, że mam. Mówiłem i pokazywałem. – Zdzisław się obruszył.

– Pokaż jeszcze raz.

Kapitan wyjął z kieszeni munduru kopertę i podał Złotowskiemu. Ten uważnie przyjrzał się pieczęciom.

- Pilnuj jak oka w głowie. Albo lepiej ja to schowam i dam ci, jak będziemy przekraczać granicę.
- Banasik nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami.
- Gdy cały sprzęt został zapakowany do wagonu, kierownik bandu dał znać, by zasiadać w przedziale.
- Czekaj nas długa droga - oznajmił.

Pociąg do Moskwy jechał z Paryża. W Moskwie mieli przesiąść się do składu zmierzającego do Leningradu. Dopiero stamtąd zamierzali udać się do stolicy Finlandii. Czekali ich długa i męcząca podróż. Aby przygotować się do trudów wyprawy, honorowe miejsce w przedziale przeznaczono dla skrzynki wódki. Do wódki dołączyły spore zapasy ogórków kiszonych i suchej kiełbasy krakowskiej. Złotowski zajął najlepsze miejsce na dolnym szczeblu kuszetkowego zespołu łóżkowego. Banasik wgramolił się na górę. Kiedy tylko pociąg ruszył, menadżer dał hasło do imprezy. Biesiadnikom towarzyszył rosyjski konduktor, który raz za razem przynosił kawior. Gdy pękła druga flaszka, wodzirej wyraźnie się rozluźnił i zaczął dzielić się z biesiadnikami refleksjami na temat polskiej sceny bigbitowej.

- Jak się obkupimy w sprzęt i wreszcie wyrwiemy z tego jebanego zadupia, to będziemy grać jak najlepsze kapele na Zachodzie. Najlepsze.

Po wypowiedzeniu tych słów Złotowski zaczął imitować dźwięk gitary. Instrument łkał, piszczął, rzeził, charczał, krztusił się i piał, warczał, bekał, rzygał, szeleścił i ryczał. Dla Banasika był to po prostu hałas. Dla pozostałych podróżnych - znany rockowy szlagier *Hey Joe*. Wodzirej bandu kontynuował:

- Tak, kurwa, będziemy grać. Jak mistrzowie. Jak Hendriks, jak Manzarek, jak Cocker. A nie jak te pizdy z naszego jebanego grajdoła. - Zarechotał, po czym zaczął śpiewać cienkim głosem. - Znamy się tylko z widzeniaaaa i jedno o drugim nic nie wieeee!

Pozostali członkowie ekipy ryknęli śmiechem, a ich lider ciągnął:

- Nienawidzę tych ciot z Trubadurów. Kurwa, te ich stroje. Te żaboty. To pedalstwo. To jebane włazidupstwo. Te skurwione „przyjeżdż, mamo, na przysięgę”. Kurwa, ja pierdołę, jaki gniot. Jaka żenada. Jaki październik. Albo te pizdy z Czerwono-Czarnych. Albo te żałosne Czerwone Gitary. Kurwa, w jakiej chujowiznie przyszło nam grać! - ryknął Franciszek Złotowski, odkorkował kolejną flaszkę, upił nieco i mówił dalej. - Mamy dwóch rockowych artystów. Nalepę i Niemena. Chociaż jak słyszę tego ruskiego junosta w utworze Dziwny jest ten świat, to mnie kurwica zalewa. Ten pisk, kurwa. Chociaż utwór fajny. Nie powiem. Bardzo fajny. Ale my będziemy nagrywali lepsze. Dużo lepsze. Będziemy jak Dorsi albo i jeszcze lepsi. The Tarantules pokażą, na co ich stać. Jeszcze trochę i świat o nas usłyszy. A potem forsa, kontrakty, najfajniejsze dupy. Jak już będziemy w Stanach, to mówię wam, samą Joplinkę wydymam. Może ona nie jest na oko jakaś fajna, ale w ramach promocji kapeli gotowy jestem wypierdolić ją we wszystkie trzy otwory.

W odpowiedzi na plany szefa podkomendni znowu ryknęli śmiechem. Tymczasem zbliżali się do granicy. Lider nalał sobie kolejną już szklankę wódki i skinął na Banasika. Milicjant zsunął się z górnego miejsca i włożył mundur. Szef kapeli wstał i próbując utrzymać równowagę w ciasniutkim kuszetkowym przejściu, pomógł kapitanowi wytrzepać oficjalne odzienie z najdrobniejszych pyłków.

W napięciu oczekiwali nadejścia radzieckich celników. Gdy ci się pojawili, szef wypchnął Banasika na przód. Kapitan zaczął zagadywać mundurowych płynnym rosyjskim i opowiadać, że jest opiekunem zespołu, który jedzie do postępowej Finlandii koncertować ku czci Toivo Antikaikena. Pokazywał też dokument z pieczęciami Domu Kultury Milicjanta w Łodzi, z którego wynikało, że jest odpowiedzialny za głośnik będący darem dla policjantów z Helsinek. Radzieccy pogranicznicy słuchali uważnie, kiwali głowami. Duże wrażenie zrobił na nich dokument z pieczęciami. Po pobieżnym sprawdzeniu bagaży podręcznych celnicy ruszyli sprawdzać wagon bagażowy. Kapitan dostał od radzieckich towarzyszy zgodę, by wejść wraz z nimi do wagonu bagażowego. Jeden ze strażników granicznych spytał, który głośnik jest darem dla fińskich przyjaciół. Banasik pokazał. Strażnik uśmiechnął się i dał znać podkomendnym, by ci zajęli się innymi przewożonymi bagażami. Kontrola była szczegółowa. Czasu było dosyć, gdyż kolejarze musieli zmienić rozstaw kół, dopasowując go do innego układu szyn.

Rozdział 25



Gabinet prokuratora wyglądał tak, jak zawsze, czyli był zasłany grubym kożuchem papierosowego dymu. Przez siwą zawieszinę ledwo można było dostrzec, co dzieje się za oknem. A na dworze zaczynały się właśnie tlić ogniki wiosny. Słońce nieśmiało rozświetlało pyski maszkaronów i dodawało otuchy nielicznym spacerowiczom.

Ksiądz Radkowski nie lubił Łodzi. Bywał tu tylko wtedy, kiedy musiał. Decyzję biskupa o przeniesieniu na prowincję przyjął z ulgą. Gdy przyjeżdżał do miasta włókniarek, to najczęściej po to, by odwiedzić budynek kurii. Teraz miał stanąć przed obliczem prokuratora Drzewieckiego.

– Czy obywatel zna księdza Chwaliszewskiego? – zapytał surowym tonem oskarżyciel.

Radkowski wiercił się na krześle. W ustach czuł suchość. Zebrał się w sobie i powiedział:

– Tak. Znam.

– Pracowaliście razem w jednej parafii. Dobrze mówię?

– Tak.

Prokurator wyjął z szuflady zdjęcie Cecylii Kowalik i Anny Grzelak.

– Poznaje obywatel te dziewczęta?

– Poznają.

– Niech obywatel powie, w jakich okolicznościach poznał te młode kobiety.

– One przychodziły do księdza Chwaliszewskiego.

– Na pewno?

– Tak.

– Jakie relacje łączyły te kobiety z księdzem Chwaliszewskim?

Ksiądz Radkowski nic nie odpowiedział. Prokurator zmienił treść pytania.

– Czy te relacje miały charakter intymny?

– Tak – wyszeptał tak cicho, jak mógł.

– Jest obywatel pewny? – Na prokuratorze emocje kapłana nie robiły wrażenia.

– Tak.

– Słyszał obywatel odgłos spólkowania?

– Tak.

– Czy mówił obywatel o tym proboszczowi?

– Nie. Podobno Chwaliszewski miał mocną pozycję u Klepacza, a nawet Wyszyńskiego. Poza tym nie chciałem być judaszem. Każdy dźwiga swój krzyż. Niech każdy sam rozlicza się z Bogiem za grzechy.

– Czy te kobiety coś mówiły?

– Nie pamiętam.

– A ksiądz Chwaliszewski? Przechwalał się? Komentował? Starał się udawać, że nic się nie dzieje?

– Nie pamiętam.

– Ale tego, że te dziewczęta przychodziły i miały z Chwaliszewskim, że tak powiem, okoliczność, obywatel jest pewny?

– Tak.

Prokurator pokiwał głową i podał przesłuchiwanemu dokument do podpisu.

– To tyle. Nie mam do księdza więcej pytań. – Głos prokuratora stał się zniemacka miłszy. – Może herbaty księdzu zrobić? Albo może coś mocniejszego? Niby słońce wyszło, ale chłodno.

Ksiądz uniósł głowę i popatrzył na Drzewieckiego z niedowierzaniem, prokurator zaś, nie czekając na odpowiedź kapłana, wezwał sekretarkę i nakazał przyniesienie dwóch szklanek z herbatą. Gdy woda grzała się w czajniku, oskarżyciel wyciągnął z szafki butelkę koniaku.

– To co? Po maluchu? Na rozgrzewkę.

Ksiądz przytaknął niepewnie. Po chwili ormiański trunek zabulgotał w kieliszkach.

– To chyba nie są kieliszki do koniaku. – Drzewiecki się zaśmiał. – Ale w końcu warunki są polowe.

Kaukaski nektar rozlał się najpierw po ustach, a następnie rozgrzał trzewia.

– Psia służba – wystękał Drzewiecki – czasem to mam dość. Tych trupów, tego zła. Tego grzechu. Tak... Tego grzechu. Powiem księdzu szczerze, że długo odsuwałem od siebie podejrzenia wobec księdza

Chwaliszewskiego. Co prawda jestem funkcjonariuszem świeckiego państwa, ale... Ale, na Boga, jestem ochrzczony! Rodzice wychowywali mnie w duchu wiary. Matka jeszcze żyje. Codziennie, mimo osiemdziesiątki na karku, chodzi do kościoła. Roraty, drogi krzyżowe, majowe, czerwcowe. Codziennie.

Prokurator przerwał i uzupełnił kieliszki. Wypili na drugą nogę, nie siląc się na delektowanie aromatem.

– Powiem księdzu szczerze, że nie pochwalam wszystkich działań państwa wobec Kościoła. No bo co innego rozdział Kościoła od państwa, a co innego – zawiesił głos – różne, hm, niezrozumiałe dla mnie działania.

Ksiądz bacznie przyjrzał się prokuratorowi i przyjął od niego kolejną porcję trunku. Drzewicki zaś kontynuował:

– Weźmy na przykład te zakazy remontu kapliczek albo utrudnienia ze zdobyciem materiałów budowlanych.

Ksiądz nic nie mówił. Patrzył na prokuratora zadziwiony i słuchał jego perory.

– Ale przecież nie wszędzie i nie zawsze rzuca się Kościołowi kłody pod nogi. Weźmy przypadek ze Zgierza. Parafia pod wezwaniem Matki Boskiej Dobrej Rady. Udało się. Kościół powstał. Funkcjonuje. W sześćdziesiątym pierwszym byłem na pasterce. Wtedy odbyło się uroczyste poświęcenie świątyni.

– Proboszcz Rembowski – rzucił ksiądz.

– Właśnie. Czyż to nie symboliczne, że ofiara okresu błędów i wypaczeń została proboszczem nowego kościoła?

– Na UB go torturowali – powiedział nieśmiało kapłan.

– Wiem. Aresztowali go w pięćdziesiątym pierwszym. Ale po Październiku wyszedł, bo udało się przydusić antypolskie siły.

Zapadła cisza, którą przerwał bulgot ciemnopomarańczowej mikstury spływającej po ścianie kieliszka. Prokurator wstał i wyciągnął z szuflady paczkę dunhilów. Poczęstował księdza, który skwapliwie sięgnął po markowy tytoń. Zapach dobrej jakości papierosów zmieszał się z odorem wypalonych wcześniej sportów. Twarz prokuratora na moment się rozjaśniła, w przeciwieństwie do lic paprotek, które pogodziły się z myślą o rychłej zagładzie.

– Nastąpiła odwilż – rzekł nieśmiało ksiądz.

– Relacje między państwem a Kościołem uległy normalizacji – dodał Drzewicki.

Znowu zapadła cisza, którą przerywały odgłosy papierosowych zaciągnięć.

– Ale dosyć szybko okazało się, że komuś bardzo mocno zależy na tym, by tę normalizację przerwano – wrócił do rozmowy oskarżyciel. – Czyż to nie dziwne, że zaraz po Październiku sytuacja Kościoła wyraźnie się poprawiła, a po kilku latach...? – Zawiesił głos.

Ksiądz nic nie odpowiedział.

Za to Drzewicki mówił dalej.

– Nie ma co się oszukiwać, że Październik był tylko wygraną bitwą. Ostatnia dekada jednoznacznie potwierdziła tezę, że nie oczyszczono partii i struktur państwa ze wszystkich wrogów. I to się zemściło. Przez te wszystkie lata hodowaliśmy nowotwór w zdrowej tkance partii i narodu. Tolerowaliśmy obce siły etnicznie, które koniec końców okazały się piątą kolumną. Może więc niejednolita polityka państwa wobec Kościoła była wynikiem działań dywersyjnych podejmowanych przez określone kręgi?

– Myśli pan, że...

– Czyż to nie dziwne, że kilka lat po Październiku, który unormował relacje państwa z Kościołem, pojawiła się w polityce państwa jakaś dychotomia? To chyba dobre określenie. Przecież przyzna ksiądz, że obok przykładów działań niejako niezrozumiałych możemy podać przykłady nie tylko wzajemnej tolerancji, lecz także wręcz współpracy pomiędzy świeckim państwem a Kościołem. Weźmy na ten przykład Chabielice koło Bełchatowa. Kościół Świętego Michała Archanioła.

– Niemcy spalili tam kościół jesienią trzydziestego dziewiątego.

– Zabytkowy kościół, dodajmy. Bodajże z końca osiemnastego wieku.

– Po wojnie ksiądz Struzik wybudował drewnianą kaplicę.

– Właśnie. Przykład Chabielic jest doskonałym dowodem na to, że Polak z Polakiem może się dogadać. Nawet jeżeli jeden jest ateistą, a drugi praktykującym katolikiem. Ksiądz Bąkiewicz, nie pomnę imienia...

– Adam.

– Właśnie. Adam Bąkiewicz otrzymał zgodę na budowę murowanego kościoła w zamian za udostępnienie władzom grodzkim w Chabielicach plebanii pod wiejski ośrodek zdrowia.

– Wcześniej mieścił się tam posterunek MO.

– Właśnie. Czyż to nie piękny przykład ścisłego współzycia lokalnych instytucji państwa z parafialnym klerem? Jeżeli w Chabielicach można było się dogadać, to dlaczego nie można się porozumieć gdzie indziej? Przecież wiejski ośrodek zdrowia leczy wierzących i niewierzących, partyjnych i bezpartyjnych.

– Może w Chabielicach nie było tych, którzy jątrzą...

– Jątrzą, a nawet judzą. Dobrze ksiądz to ujął. Wybornie.

Na chwilę zapadła cisza, podczas której prokurator uzupełnił kieliszki.

– Być może tutaj jest pies pogrzebany – odezwał się Drzewicki – tam, gdzie nikt nas, Polaków, nie skłóca, nie judzi i nie jątrzy, możliwa jest zgodna koegzystencja wierzących i świeckiego państwa.

– Myśli pan, że to... ich sprawka? – Ksiądz poufale nachylił się w stronę rozmówcy.

- Jestem tego pewien. Obawiam się, że w imię internacjonalistycznych zasad daliśmy się zwieść syjonistycznej hydrze. Ten ich jad wobec wszystkiego, co polskie, zatruł zdolność do logicznego myślenia niektórym kierownikom życia politycznego w kraju. Do czego są zdolni, mogliśmy się przekonać w Marcu. Na szczęście działania Wiesława okazały się skuteczne. Chociaż nie wiem, czy do końca...

- Minął prawie rok od wydarzeń marcowych, a ja dwa tygodnie temu dostałem pismo, że nie wyrażono zgody na remont mojego kościółka pod Łaskiem.

- Sam ksiądz widzi. To jest najlepszy komentarz do moich słów o polityce Wiesława. Gomułka jest za miękką. Za liberalną. Potrzebny jest ktoś, kto w sposób twardy i zdecydowany rozprawi się z syjonizmem. Ktoś, kto w czasie okupacji nie siedział zadekowany w Warszawie jak Gomułka, ale walczył na pierwszej linii partyzanckiego frontu.

- Moczar?

- Cieszę się, że to ksiądz to powiedział. Mnie jest niezręcznie. W końcu jestem funkcjonariuszem państwa.

- Myśli pan, że jak Moczar przejmie władzę, to relacje państwa z Kościołem staną się lepsze?

- Myślę, że tak. Przecież tak na zdrowy rozum... I Kościół, i państwo mają tego wroga.

- I będzie łatwiej uzyskać zgodę na remont parafii?

- Myślę, że już jest łatwiej.

Prokurator założył okulary. Ze stosu zapisanych kartek wyciągnął jedną czystą i coś na niej zapisał.

- Proszę raz jeszcze złożyć wniosek o wydanie zgody. - Przesunął zapisany papier w stronę duchownego. - Podaję księdzu nazwiska moich kolegów z partyzantki, którzy w ostatnich miesiącach zajęli miejsca różnych syjonistów, którym obrzydła Polska i którzy zdecydowali się na tak zwaną emigrację. Jan Szarek z Urzędu do Spraw Wyznań, Tadeusz Karbowski z Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Wiesław Gawlik z Wydziału Budownictwa, Urbanistyki i Architektury. Wniosek wnioskiem, ale najlepiej umówić się z każdym i szczerze porozmawiać. Jak Polak z Polakiem. Proszę się na mnie powołać. Nie obiecuję, że wszystko da się załatwić, ale obiecuję, że na pewno księdza wysłuchają.

- Dziękuję - odparł kapłan, który cały czas był niezwykle zaskoczony rozmową z prokuratorem.

- My, Polacy - dodał Drzewicki - musimy się trzymać razem. Możemy się różnić, możemy wierzyć w Boga bądź mieć materialistyczny punkt widzenia, ale jesteśmy narodem. I to się powinno liczyć.

Ksiądz wylewnie podziękował i szczerze uściśnął dłoń prokuratora. Drzewicki zaś rzekł:

- Gdyby coś się księdzu przypomniało w sprawie kontaktów Chwaliszewskiego z tymi młodymi kobietami, to proszę się koniecznie zgłosić.

- Jak tylko coś mi się przypomni, na pewno się odezwę.

Rozdział 26



Księdzu Teodorowi Lepiance wejście do budynku prokuratury zajęło dużo czasu. Obrażenia, których doznał w Dachau, dawały o sobie znać codziennie, a gdy dzień był słotny, pamięć o nazistowskim koszmarze wracała ze zdwojoną mocą. Ból przeszywał ciało i odbierał chęć do życia. Tego dnia niestety było deszczowo.

Kiedy obywatel ksiądz – który został wezwany w charakterze świadka – doczłapał do gabinetu Drzewieckiego, wyglądał jak Chrystus tuż przed wypowiedzeniem słów: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił”. Prezencja nieszczęśnika zmiękczyła twarde serce prokuratora.

– Niech ksiądz siada. – Drzewiecki zrezygnował z formy obywatel.

Kapłan sapnął. Wyjął z kieszeni podniszczoną sutanny kraciatą chustkę i otarł pot z twarzy. Prokurator podał wezwanemu szklanekę z wodą. Chciał zapalić, ale ku zaskoczeniu paprotek postanowił, że chwilowo powstrzyma nałóg.

Gdy Lepianka przestał dyszeć, prokurator pokazał mu fotografie młodych kobiet.

– Czy kojarzy ksiądz te kobiety?

Były więzień hitlerowskich kazamatów nie odpowiedział od razu. Wyjął okulary, zdmuchnął z nich paprochy i uważnie przyjrzał się fotografiom.

– O ile mnie pamięć nie myli, to są moje byłe parafianki.

– Jest ksiądz pewien?

– Nie jestem. Ale jestem pewien, że widziałem je na plebani parafii Świętego Biedaczyny.

– Widział je ksiądz czy widywał?

– Widywałem.

– A pamięta ksiądz, w jakich okolicznościach je ksiądz widywał?

Kapłan nie odpowiedział, tylko spojrział błagalnie na prokuratora i zapytał:

– Mogę prosić o jeszcze trochę wody?

Prokurator uniósł brwi, po czym szybko pokiwał głową i uzupełnił szklanekę wodą sodową. Ksiądz łapczywie wypił. W takich chwilach zawsze wracały do niego koszmary. Nie z Dachau, ale z przesłuchania na gestapo, podczas którego był bity i odmawiano mu choćby zwilżenia ust. O szklance z wodą nie wspominając. Kiedy Lepianka wypił całą zawartość, odstawił szklanekę na blat biurka i szepnął:

– Pamiętam.

Prokurator chciał sięgnąć po paczkę papierosów. Wszystkie części jego ciała wyły o dawkę nikotyny. Zacisnął jednak zęby i spokojnie poczekał na rozwinięcie wypowiedzi świadka.

– One przychodziły do księdza Chwaliszewskiego.

– Po co? Wie ksiądz, po co przychodziły?

Ksiądz zamknął oczy.

Jego twarz była biała jak kreda.

– Nie jestem pewien, nie pamiętam – powiedział cicho i pokręcił głową.

Prokurator westchnął.

Organizm ryczał o chociaż jednego sztacha.

– Jedna z tych kobiet, właściwie dziewcząt, popełniła samobójstwo. Druga najprawdopodobniej też. Wiedział ksiądz o tym?

– Nie.

– Istnieją poważne poszlaki, które mówią, że odpowiedzialność za zgony ponosi ksiądz Chwaliszewski.

– Słyszałem o tym. – Kapłan popatrzył w twarz prokuratora. – Obiło mi się o uszy, że został tymczasowo aresztowany.

– Nie robi to na księdzu wrażenia?

– Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków.

– Mamy poważne poszlaki, które wskazują na to, że ksiądz Chwaliszewski omamiał niewinne dziewczęta i doprowadzał na skraj wytrzymałości nerwowej. Być może to był powód tego, że te dziewczęta targały się na własne życie.

– To pan jest prokuratorem.

Drzewiecki chrząknął i wolno pochylił się nad przesłuchiwanym.

- Zapytam więc jak prokurator. Czy obywatel Chwaliszewski utrzymywał z tymi kobietami stosunki cielesne?
- Tego nie wiem, ale...
- Co „ale”?
- Ale z jego pokoju dochodziły różne...
- Co „różne”?
- Odgłosy.
- Jakże? Sugerujące łamanie celibatu?
- Tak.
Drzewiecki wziął głęboki oddech.
Nałóg atakował.
Oskarżyciel czuł, że ktoś wbija mu ostre drzazgi w mózg.
Postukał palcami o biurko.
- Co na to proboszcz? Wiedział o tym?
- Nie wiem.
- Nie rozmawiał ksiądz o tym z proboszczem?
- Proboszcz Wiktorzyński nie rozmawiał ze mną. Wydawał polecenia. Oceniał mnie, gdy dochodził do wniosku, że źle wykonuję powierzone obowiązki.
Drzewiecki potarł dłonią czoło i spojrzał na księdza uważnie.
- Od kiedy ksiądz był w parafii Świętego Biedaczyny? - zapytał.
- Od jesieni pięćdziesiątego szóstego.
- Jak Wyszyński wyszedł na wolność?
Kapłan skinął głową.
- Co ksiądz robił wcześniej?
- Wykładałem na Akademii Teologii Katolickiej.
- Rozumiem, że z kardynałem Wyszyńskim nie łączy księdza przyjacielska więź.
- Nie wiem, na ile jest to prawdą, ale z plotek wiem, że podczas negocjacji z Gomułką Wyszyński żądał, by mnie z akademii relegowano...
- Ciekawe.
- Dla mnie już nie. Każdy dźwiga swój krzyż.
- Nie odwoływał się ksiądz? Nikt się za księdzem nie wstawił?
- Pan mój i Bóg mój.
- Nie chce chyba ksiądz powiedzieć, że tak bez szemrania zgodził się na zesłanie do tej małej parafii. Jest ksiądz profesorem teologii. Doktorat obronił ksiądz w Niemczech. Dobrze mówię?
- W Münster, w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Studiowałem też orientalistykę w Monachium, a potem asyriologię w Paryżu. Profesorem zwyczajnym zostałem w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym.
- Pisał ksiądz książki. Był redaktorem pisma „Głos Kapłana”...
- Dziesięć. Dziesięć ksiązek. Pięć przed wojną i pięć po wojnie. Ostatnia w pięćdziesiątym piątym roku. Uwagi filozoficzne do listu do Koryntian.
- Rozumiem, że po skierowaniu do parafii Biedaczyny...
- Tak, trudno skupiać się na pracy naukowej, gdy trzeba odwiedzać chorych, udzielać ostatniego namaszczenia, zajmować się ministrantami, budować grób Pański na Triduum paschalne, chodzić po kolędzie...
- Nie ciągnie księdza do pisania? Taki dorobek...
- Ostatnią książkę, o tekstach z Nadż Hammadi, skończyłem pisać na początku pięćdziesiątego szóstego...
Może ktoś ją wyda po mojej śmierci. Mam też w rękopisie wspomnienia z Dachau.
- Rozumiem, że na razie...
- Na razie jestem wikarym w podlódzkiej wsi. Naprawdę nie mam głowy do filozofii.
- Rozumiem.
Zapadła cisza, którą w końcu przerwał ksiądz.
- Czy mogę już iść?
- Za chwilę. - Drzewiecki wyrwał się z zamyślenia. - Wróćmy jeszcze do księdza Chwaliszewskiego. Jego relacje z proboszczem były chyba inne niż księdza...
- Ksiądz Chwaliszewski był protegowanym Wyszyńskiego. Czasem odnosiłem wrażenie, że to on jest proboszczem, a nie Wiktorzyński.
- Nie denerwowało księdza, że to Chwaliszewski miał jechać do Rzymu na sobór?
- Błogosławieni cisi i pokornego serca.
Drzewiecki westchnął, wstał i rzekł:
- No dobrze. Gdyby coś się księdzu przypomniało odnośnie do tych dziewcząt... proszę o telefon.
Ksiądz nic nie odpowiedział, tylko zaczął zbierać siły, by wyczołgać się z pokoju przestuchań.

Rozdział 27



Helsinki przywitały ich zimową aurą. Gdy pociąg zatrzymał się na dworcu, Banasik westchnął z ulgą. Na peronie czekała na łódzkich muzyków powitalna ekipa Finów. Kiedy menadżer „tarantul” wytaszczył z wagonu bagażowego dar łódzkich milicjantów dla kolegów po fachu z postępowego, choć w dalszym ciągu burżuazyjnego państwa, podbiegli do niego jacyś ludzie. Potężne fińskie ręce chwyciły wzmacniacz i szybko wyniosły z terenu dworca. Gdy podarunek zniknął w bagażniku zaparkowanego nieopodal okazałych rozmiarów mercedesa, na peronie pojawili się inni rodacy Mannerheima. Ci przydzwigali ze sobą ogromny futerał skrywający wiolonczelę. Lider polskiej kapeli, która miała w planach przyćmienie The Doors, przekazał instrument Banasikowi.

– We wnętrzu instrumentu masz zapas lekarstw na dwa lata. Ja zawsze wywiązuję się z umowy.

Gdy zdziwiony kapitan przejął wiolonczelę, menadżer pstryknął palcami, a zaraz potem jeden z Finów podał mu kopertę.

– Tego w umowie nie było, ale wiedz, że masz do czynienia z człowiekiem, który zawsze dotrzymuje danego słowa. W tej kopercie jest list, w którym policjanci z Helsinek dziękują dyrektorowi łódzkiego Domu Kultury Milicjanta za wzmacniacz i w ramach internacjonalistycznej współpracy rewanżują się wiolonczelą. Tekst napisany jest po fińsku, rosyjsku i polsku. Wszystkie pieczęcie są legalne. Jak widzisz, niektórzy z fińskich stróżów prawa lubią sobie czasem odlecieć.

Banasik skwapliwie schował kopertę. Lider The Tarantules klepnął milicjanta w plecy.

– Chodź z nami – rzekł familiarnie. – Pociąg powrotny masz za kilka dni. Koncerty mamy zaklepane, hotel zarezerwowany, dziwki opłacone. Za nic nie musisz płacić. Potraktuj to jako gest dobrej woli ze strony syjonisty wobec prawdziwego Polaka internacjonalisty. – Zaśmiał się.

Nie czekając na odpowiedź milicjanta, przedsiębiorca muzyczny popchnął go delikatnie w stronę postojów taksówek.

Wiolonczela nie była lekka, ale Banasik nie narzekał, wiedząc, co skrywa w środku. Po drodze zaradny przedstawiciel łódzkiej sceny muzycznej przeliczył, że wartość przemyconej we wzmacniaczu afgańskiej heroiny jest warta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. O karakułowych futrach, które poszły na rozkurz, by zmylić czujność afgańskich celników, nawet nie pomyślał.

– Może jakieś zakupy? – zawołał basista. – Tu obok dworca jest supermarket.

– Nie będziemy robić już zakupów w tym grajdole. Jedziemy na Mannerheimintie – odpowiedział gromko wodzirej bandu.

Na postoju taksówek czekały różne wozy. Banasik był zdziwiony widokiem – w PRL na postoju taxi prawie zawsze stała liczna gromada oczekująca na miłosiernego szofera. Gdy milicjant zastanawiał się, czy w innych krajach kapitalistycznych na postojach też jest więcej taksówek niż klientów, wodzirej „tarantul” surowym okiem badał jakość samochodów.

– Zaporozce, moskwicze i lady: wypierdalać! My wsiadamy do merca i volvo.

Kierowcy radzieckich samochodów mieli nietęgę minę, za to właściciele wybranych aut wyskoczyli zza kółka i kornie pakowali graty muzyków do bagażników. Wiolonczela wylądowała na siedzeniu obok kierowcy. Nowy właściciel instrumentu poprosił po rosyjsku taksiarza o zapięcie cennej zdobyczy pasem bezpieczeństwa. Za moment menadżer dał sygnał i auta pomknęły w stronę reprezentacyjnej dzielnicy Helsinek. Banasik siedział obok kierownika kapeli, a ten z każdą chwilą stawał się coraz bardziej wyluzowany.

– Najpierw zjemy dobry obiad i napijemy się fińskiej wódki – zakomenderował muzyk, po czym zwrócił się do Banasika. – Gdy pierwszy raz przyjechałem do Helsinek, akurat była niedziela. Kumpie mówili, żebym koniecznie napił się tutejszej gorzały. No to zaraz po przyjeździe poszliśmy do marketu koło dworca. Najpierw zachwyty, no bo to niedziela, a sklep czynny i towaru w nim po kokardę. Ale szukamy wódki, no i dupa. Dopiero po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że w normalnych sklepach wódki nie ma. Piwa zresztą też. To znaczy jest taki sikacz, co tam ma ze dwa albo trzy procent. Tak sobie myślę, że postępową Finlandia jest jednak tylko nieco mniej chujowa od socjalistycznej Polski. Chcesz się napić wódki, to albo idziesz do knajpy, gdzie jest w pizdu drogo, albo jedziesz do specjalnego sklepu, gdzie spisują twoje dane. Takie sklepy są czynne wyłącznie przez kilka godzin w ciągu dnia. Koszmarne kuriozum! Ciekawe, czy jak przestaną być postępowi i staną się

socjalistyczni, to wódka będzie dostępna o każdej porze i wszędzie. – Złotowski się zaśmiał, po czym odpowiedział sam sobie. – Pewnie tak, ale w sklepach będzie gówno.

Banasik pomyślał, że rozwiązania fińskie należałoby wdrożyć nad Wisłą, a do tego surowiej karać bimbrowników i nielegalnych handlarzy. Nic jednak nie powiedział. Tymczasem lider zespołu gadał bez przerwy.

– Dlatego my, The Tarantules, kopujemy w dupę i postępowość, i socjalizm. Naszym celem jest reakcyjna Ameryka. Jedziemy tam, gdzie są uciśnieni Murzyni, zgniła coca-cola, a na ulicy można kupić herę.

Taksówka zatrzymała się między Teatrem Szwedzkim a domem handlowym Sokos. Wodzirej zamaszystym gestem wręczył szoferowi banknot i oznajmił z dumą, że reszty nie trzeba.

– Idziemy na obiad! – zawołał z animuszem.

W restauracji panował dyskretny półmrok. Muzycy zamówili dobrze zmrożoną wódkę, która wszystkim pijącym jeszcze bardziej poprawiła humory. Tylko Banasik nie pił. Patrzył tępo w kartę dań i nie mógł się zdecydować. Z pomocą przyszedł wodzirej.

– Weź to. – Wskazał palcem punkt na karcie. – Sipulikeitto, czyli zupa cebulowa. Bardzo dobra. Najesz się nie najesz, ale jest przepyszna. Na drugie polecam łososia duszonego w jarzynach. Warzywa tutaj serwuje się inaczej niż w Polsce. Wrzuca się je na krótko do wrzątku. Są twardawe, ale podobno nie tracą witamin. Bardzo dobre są też pannukakku. To rodzaj naleśników, podają je z powidłami agrestowymi. Palce lizać. Jak znajdziesz miejsce w brzuchu, to zamów też lody. U nas są tylko latem. Tutaj można je jeść przez cały rok.

Banasik podziękował uśmiechem i zamówił wskazane przez szefa zespołu specjały. Jedzenie okazało się bardzo smaczne, kapitan nieźle się najadł. Po obiedzie do stolika milicjanta znów dosiadł się lider tarantul.

– I idź jutro do Stockmanna. Zrób porządne zakupy. Jest wszystko, czego dusza zapragnie. Kawa, salami, kawior. Zabawki. Zawieź to dziecku. Masz zapas leków na dwa lata. Będę cię miło wspominał, ale mam nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Rozdział 28



Kwiecień przeplatał akurat trochę lata. Miasto wyraźnie budziło się z zimowego letargu. Gdzieśgdzie, szczególnie na obrzeżach molocha, pojawiały się kwiatki, a co bardziej hipisowsko nastawione dziewczęta wplatały je sobie we włosy.

Kapitan Banasik był tak szczęśliwy z powodu wiosny, udanej podróży do Helsinek oraz poprawy relacji małżeńskich, że gotów był prokuratorowi wybaczyć gęstą siwą zawiesinę, która tradycyjnie wypełniała pomieszczenie. Próby Drzewickiego, by ograniczyć palenie, najwyraźniej spełzły na niczym.

– Jak tam w postępowej Finlandii? – zagał oskarżyciel.

– Zimno. – Kapitan się zaśmiał.

– Powiem szczerze, że podziwiam was, kapitanie. Macie trudną i wymagającą pracę, małe dziecko, które choruje, i jeszcze znajdujecie siłę do pracy społecznej. Imponujące jest to wasze obywatelskie zaangażowanie. Gdyby tak każdy członek partii wykazywał się taką odpowiedzialnością za ludową ojczyznę, to nie doszłoby do żadnych studenckich protestów, do tej całej syjonistycznej hucpy.

– Mam dla was mały prezent – odpowiedział na to milicjant.

Na stosie papierzyśk błysnęła paczka marlboro. Drzewicki się rozpromienił.

– O, dziękuję wam, towarzyszu! To naprawdę piękny gest. Piękny! Chociaż wiem, że nie pochwalacie palenia papierosów. Zostawię na specjalną okazję.

Prawnik schował paczuszkę do kieszeni marynarki, a na stole wylądowało znajome opakowanie sportów. Prokurator sprawnie wydobył jednego z nich, zapalił i zaciągnął się tak potężnie, jak gdyby chciał nadrobić tych kilka chwil bez nałogu.

– Sprawa Chwaliszewskiego została definitywnie zamknięta – powiedział. – Czekamy na termin rozprawy.

– Więc jednak proces poszlakowy...

– Niezupełnie. Gdy zawoziliście dar dla policji bratniego państwa, pojawiły się nowe, bardzo ciekawe zeznania.

Prokurator sięgnął po jeden ze skoroszytów, otworzył go i zaczął czytać.

W nawiązaniu do mojego poprzedniego zeznania chciałem sprostować, że przypomniałem sobie, w jakich okolicznościach poznałem obywatelkę Cecylię Kowalik. Otóż rzeczona obywatelka rozmawiała ze mną i zwierzała ze swoich problemów. Jak powiedziała, była zmuszana przez księdza Chwaliszewskiego do obcowania cielesnego. Rzeczoną kapłan miał ją szantażować, że rozpowie wszystkim o tym, że powiedziała, tu cytuję wspomnianą obywatelkę, „jestem łatwa i każdemu daję”. Słów obywatelki Kowalik nie wziąłem poważnie. Byłem przekonany, że to konfabulacja. Poświadczam jednak, że powyższa rozmowa między mną a obywatelką Kowalik miała miejsce na początku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku.

Banasik był tak zdumiony, że nic nie powiedział.

Prokurator zaciągnął się sportem i rzekł:

– To nie koniec. Mam zeznanie innego księdza, który pamięta nieszczęsne dziewczęta. Teodor Lepianka. Oto co zeznał.

Prawnik poprawił okulary i zaczął czytać.

W nawiązaniu do mojego poprzedniego zeznania chciałem nadmienić, że przypomniałem sobie jedno ważne wydarzenie. Jedną z osób uczęszczających do parafii Świętego Biedaczyny, obywatelka Anna Grzelak, poskarżyła się, w poufnej rozmowie, że jeden z wikarych rzeczonoj parafii, ksiądz Chwaliszewski, zmuszał ją do obcowania cielesnego. Grzelakówna twierdziła, że ów ksiądz był ojcem jej dziecka, którego się pozbyła, dokonując aborcji. Ksiądz Chwaliszewski miał zmuszać wspomnianą obywatelkę do współżycia, szantażując, że rozpowie wszystkim o jej prowadzeniu się, szargając jej opinię. Nie dałem wiary tym słowom, ale potwierdzam, że taka rozmowa miała miejsce.

Prokurator odłożył skoroszyt.

– To koniec. Nie wyłga się.

– Ta poufna rozmowa to spowiedź?

- Tego nie wiem. W zeznaniu nie jest wyszczególnione. O spowiedzi nie ma mowy. Nie każda poufna rozmowa jest spowiedzią. To chyba dobrze, że są księża, którzy gotowi są złamać omertę?

- Nie przypuszczałem, że śledztwo doprowadzi nas do czegoś takiego. Demoniczny ksiądz manipulator omamiający niewinne dziewczęta i zmuszający je do samobójstwa. To chyba pierwsza taka sprawa w Polsce. W Łodzi na pewno... Pewnie znajdzie się w podręcznikach do kryminologii.

- Najpierw muszę wygrać w sądzie.

- Ciekawe, kto będzie obrońcą. Kościół odetnie się od zatrutego owocu? Czy będzie go bronić, argumentując, że zwyrodnialec padł ofiarą politycznej prowokacji?

- Nie wiem. Przecież tok śledztwa ukazał, że oprócz tego, jak go towarzysz nazwał, zwyrodnialca są w polskim Kościele przyzwyczajeni księża. Może najwyższa pora, by relacje państwa z Kościołem wróciły do standardów z końca lat pięćdziesiątych? W końcu i Kościół Katolicki, i Polska Ludowa mają tego samego wroga.

W tym momencie na biurku prokuratora zabrzączał telefon.

Drzewiecki odebrał. Jego twarz zrobiła się biała, by za chwilę zalać się purpurą.

Kilka minut później obaj z Banasikiem jechali w stronę aresztu na Smutnej. Naczelnik więzienia był przejęty, podobnie jak większość klawiszów. Ksiądz Chwaliszewski wisi na kracie.

- Ktoś musiał mu przemycić stułę - wybełkotał zdenerwowany naczelnik - wszcząłem wewnętrzne procedury.

- Wszyscy współwięźniowie byli na spacerze. Aresztowany Chwaliszewski źle się czuł wczoraj i dziś. Został w celi - dodał jeden z obecnych strażników.

- Koniec wieńczy dzieło - rzekł poważnie prokurator.

- Pewnie koledzy spod celi powiedzieli mu, co go czeka, jak sąd skaze go za podżeganie nieletnich dziewcząt do samobójstwa - wystękał klawisz.

- Wolał zginąć, niż przechodzić przez piekło procesu - uzupełnił naczelnik.

- A może swoją śmiercią chciał urwać nić łączącą go z innymi zwyrodnialcami, którzy ukrywają się w kościelnych szatach? - zapytał cicho Drzewiecki. - Tego chyba już nigdy nie wyjaśnimy.

Rozdział 29



Wiosna atakowała. Zieleń wybuchała w parkach, laskach, na skwerach i nieużytkach. Niektóre stare kamienie również przejawiały wiosenne akcenty. Banasik lubił przyglądać się kamienicznym dachom, gdzie w różnych szczelinach uwiły sobie gniazda brzoźki. Niezrażone niczym drzewka żyły, dodając barwy włókienniczemu miastu. Banasik, przyglądając się brzoźkom, natychmiast pomyślał o synu. Leki działały. Andrzej lepiej jadł, lepiej spał. Jego zahamowany chorobą rozwój przyspieszył. Halina też się zmieniła. Od kiedy syn czuł się lepiej, wyglądała jak pierwszomajowy tulipan. Wrócił dawny blask w jej oczach. Włosy lśniły w słońcu.

Kapitan odżył. Powrót z Finlandii z potężnym zapasem leków zaowocował powrotem małżeńskiej harmonii. Zakończenie śledztwa, podczas którego musiał niemal codziennie obcować z palącym jak smok prokuratorem, sprzyjało optymizmowi. Mógł oddychać pełną piersią, przestał zdręzczać się myślą, że jest w wieku dziadka. Wiosna budziła w nim energię. Wydarzenia ostatniego półrocza coraz częściej traktował jak zły sen.

- Idziemy na zakupy – zakomenderowała Halina, wyglądając przez okno na zieleń łódzkiego maja.

- A co konkretnie będziemy kupować? – zapytał Zdzisław.

- Po pierwsze: rajtuzy dla Andrzejka. Po drugie: chciałabym ci kupić nowy golf. Teraz są modne. Przecież mam męża przystojniaka, oficera milicji. Chcę, by mi go zazdrościły wszystkie kobiety w Łodzi.

Podeszła do niego i czule go pocałowała. Pocałunek żony odjął Banasikowi pół dekady. Gotów był nie tylko kupić sobie nowy golf, lecz także jeansy.

- Coś jeszcze? – zapytał.

- Tak. Lada chwila Andrzej zacznie chodzić. Potrzebne są buty. Pieluchy się zużyły, trzeba kupić nowe. I kaftaniki.

- Oby to wszystko było.

- Z butami może być problem. Ale ciuszki i pieluchy powinny być. W końcu mieszkamy w centrum włókienniczym.

Znowu go pocałowała. Tak namiętnie, że zapomniał przeliczyć w myślach, czy kapitańska pensja nie zostanie zbyttno uszczuplona. Po godzinie byli gotowi do wyjścia. Dzień był piękny, majowy, nie za gorący. Nie musieli długo czekać na tramwaj. W ciągu dwudziestu minut znaleźli się na Piotrkowskiej.

- Najpierw rajtuzy. Trzeba kupić teraz trochę większe, bo na jesień nie będzie wcale.

- Teraz też może nie być – powiedział z lekką obawą kapitan.

Weszli do sklepu. Co prawda towar rzucony peerelowskim helotom przez komunistyczną geruzję z okazji Międzynarodowego Święta Pracy dawno został wykupiony, ale Banasik po cichu liczył, że część towarów została zmyślnie zachowana w magazynach, by godnie uczcić triumf ludowego wojska, które wraz z niezwyciężoną Armią Czerwoną dobiło faszystowskiego gada w jego berlińskim gnieździe. Podeszli do lady, za którą stała zażywna ekspedientka.

- Czy są rajtuzy dla dzieci? – zapytała Halina.

Kobieta nie odpowiedziała, tylko rzuciła matce Andrzejka paczkę z rajtuzami.

- Można przymierzyć?

- Rajtuzy? – zdziwiła się ekspedientka. – Na gołe ciało, żeby mały się zsiakał i zniszczył towar? Nie ma mowy. Bierz albo nie bierz. Jutro już nie będzie. Rzucili na dziewiątego maja.

- Rozmiar odrobinę większy, ale tak, o to mi chodzi. Żeby miał rajtki na jesień.

- Bierzemy je – powiedział do rozgorączkowanej żony Zdzisław i zerknął na kobietę za ladą.

- Pięćdziesiąt dziewięć złotych...

Kapitan westchnął.

- Trudno. Przecież nie może mu tyłek marznąć, jak go będziemy zawozić do żłobka.

- Może jeszcze coś jest? – zapytała Halina. – Buty, kaftaniki i tak dalej.

- Zapłać za te rajtuzy, bo za chwilę wykupią. A ja rozejrzę się za kaftanikami.

Mąż wręczył żonie plik banknotów i z Andrzejem na ręku poszedł szukać kaftaników dla dziecka. Wózek został przed sklepem. Kapitan co jakiś czas zerkał, czy nikt z przechodniów nie traktuje dosłownie słów o

socjalistycznej równości. Na drugim stoisku pracownica sektora usług była tak samo niesympatyczna jak ta na dziale z rajtuzami. Na pytanie o kaftaniki nic nie odpowiedziała, tylko rzuciła na blat trzy egzemplarze. Banasik spojrzął na cenę. Ubranko z łódzkich zakładów Marko kosztowało sto złotych. Nieco tańszy był model wykonany w zakładach, którym patronowała Armia Ludowa. Najtaniej prezentowało się wdzianko wyprodukowane w Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego w Głubczycach. Kosztowało siedemdziesiąt osiem złotych.

– Można przymierzyć? – zapytał troskliwy ojciec.

– Można, ale do przymierzalni jest kolejka – odfuknęła kobieta, nawet na niego nie patrząc.

Banasik podniósł wzrok i zobaczył, że sprzedawczyni ma rację. Przed jedyną w sklepie przymierzalnią ustawił się pokaźny ogonek.

– Niech tak przyłoży do dziecka, to będzie widział, czy dobre czy niedobre.

Banasik spróbował przyłożyć ubranko do ciątka wierzącego się synka. Po chwili doszedł do wniosku, że kaftanik jest odrobinę za duży. Rad, że nie za mały, kupił trzy egzemplarze. Wszystkie ubranka z Głubczyc były w tym samym kolorze przypominającym miks seledynu z szarością.

– No i co? Udało się? – zapytała Halina.

– Tak. – Mąż z triumfem pokazał dziecięce ochędóstwo.

– A ja kupiłam pieluszki. Ale zobacz jakie. Suche! Takie, co nie przepuszczają.

– Szczęśliwy dzień.

– Może uda się jeszcze buciki kupić.

Oboje podeszli do stoiska z bucikami. Tutaj, o dziwo, ekspedientka była całkiem miła.

– Niech pani tego nie kupuje – odpowiedziała konspiracyjnym szeptem na pytanie o buciki dla dziecka.

– Dlaczego? – zdumiała się Halina.

Kobieta położyła na ladzie egzemplarz kapci wyprodukowanych przez bydgoską spółdzielnię Zenit.

– Niech pani spojrzy – rzekła – po pierwsze: bardzo śliska podeszwa. Syn mojej sąsiadki przewrócił się i złamał nogę. Po drugie: widzi pani to wiązanie? Poniżej kostki.

– No i co?

– No to, że nóżka jest niestabilna. Nogi się będą wykoślawiać, wykręcać. Niech pani tego nie kupuje.

– Co pani radzi?

– Niech pani idzie pod numer pięćdziesiąt dwa. Tam są porządne butki dla dzieci. Z zakładów w Oleśnicy. Lniane, wysoko sznurowane, w kolorowe kwiatki. Tam niech pani idzie. Jak rzucili na pierwszego maja, to w ciągu jednego dnia wszystkie wyszły. Ale na dziewiątego też trochę przyszło. Wczoraj były. Może dziś też są. Tylko niech pani koniecznie przymierzy i włoży dziecku na nogę. W zeszłym roku kupowałam buty dla córki. To była droga przez mękę. Za każdym razem miałam ze sobą miarkę. No i niby wszystko się zgadzało, ale po przyjęciu do domu okazywało się, że buty są nie do włożenia. Żaden nie chciał wejść. Jedne miały twarde napiętek, a dwie pozostałe pary były za niskie w podbiciu. Buty z Zakładów Alka ze Słupska.

Na Piotrkowską pięćdziesiąt dwa nie tyle doszli, co dobiegli.

– Są! – radośnie zawołała Halina.

– Weź trzy pary.

– Tylko musimy przymierzyć.

Buty pasowały. To znaczy, że były trochę za duże. Banasikowie ze zdziwieniem i zadowoleniem przyjęli do wiadomości fakt, że sklep, w którym się znaleźli, był nadzwyczaj dobrze zaopatrzony, a sprzedawczyni zachowywała się kulturalnie.

– Niech pani weźmie też fartuszki – powiedziała jedna z ekspedientek.

– Jakie fartuszki? – zdziwiła się Banasikowa.

– No takie.

Na ladzie znalazły się miniaturowe sukienki i fartuszki. Były piękne, kolorowe, dobrze wykonane.

– Spodenek nie ma? Mam synka.

– Nie ma niestety. A w dodatku „Siła” produkuje wyłącznie takie rozmiary. Szkoda, że nie ma większych. Mam dwie córki. Jedna ma trzy lata, a druga pięć. Kupić dla nich coś ładnego jest prawie niemożliwością. A tego tutaj nikt nie kupuje.

– Jak to? Dlaczego?

– Bo rozmiary są małe. Po co niemowlakowi sukienka? Spodenek nie produkują. Tylko sukienki. No i te fartuszki. Pani syn taki mikry, to może się w fartuszek zmieści i go trochę ponosi. Niby te ciuszki ładne, a nikt tego nie chce. Leży toto i zalega w magazynie. Napisałam do tych zakładów, żeby zaczęli produkować większe rzeczy, dla starszych dzieci, ale nie odpisali.

– Idziemy? – zapytał Zdzisiek, któremu zaczęło się nudzić.

– Jeszcze golf. Zapytam, czy są.

Golfy rzeczywiście były. Ładne fasony, różne kolory. Aż trudno było uwierzyć.

– Jaki chcesz kolor? – zapytała.

– Może czarny?

- Czarny jest dobry dla księdza – odrzekła Halina i uśmiechnęła się filuternie – ale nie dla przystojnego kapitana MO. Kupię ci czerwony. Na co dzień chodzisz w niebieskim mundurze. Przyda ci się czerwony. Uwielbiam, jak chodzisz w czerwonych ubraniach.

- Dobrze.

- Przymierzysz?

- W domu przymierzę. Na pewno będzie dobry. – Banasik chciał jak najszybciej zakończyć zakupy. Nie lubił przymierzać ubrań i rozmawiać z ekspedientkami. – Wracajmy już. Zbliża się osiemnasta, za chwilę zaczną zamykać sklepy.

- Przymierz ten golf – powiedziała Halina, jak tylko wrócili do domu.

- Po kolacji przymierzę.

- Uparciuch z ciebie.

- Zjem i przymierzę. Obiecuję – rzekł oficjalnym tonem, zaśmiał się i ruszył do kuchni. – Robię sobie kanapkę. Tobie też zrobić?

- Tak. Zgłodniałam.

Gdy tylko skonsumowali kanapki, Zdzisław wyjął z opakowania modny golf wyprodukowany przez łódzkie „Lido”.

- Jakie to szczęście, że mieszkamy w Łodzi – powiedziała Halina. – Przynajmniej ubrań nie brakuje.

- Za to nie są tanie – odrzekł z kwaśną miną Banasik. – Ten golf kosztował sto czterdzieści sześć złotych.

- Ale jaki jest modny! Niebiesko-Czarni w takich chodzą.

Banasik uśmiechnął się i wziął się do przymierzania swetra.

- Cholera, nie mogę przecisnąć głowy.

- Nie przesadzaj.

- No nie mogę.

- Za dużo myślisz i masz za dużą głowę.

- Naprawdę nie idzie.

- Mój przystojny milicyjny filozof z wielką głową.

- Naprawdę nie mogę.

- Uwielbiam twoje poczucie humoru. Jak Andrzej je po tobie odziedziczy, to będzie przebierał w kobietach jak w ulęgałkach. – Halina zaśmiała się, po czym wstała, żeby pomóc mężowi.

- Do jasnej cholery, ja nie żartuję.

Wściekłość w głosie męża sprawiła, że żonie przeszła chęć na żarty.

- Pokaż, ja włożę.

Halina wzięła od męża czerwony golf i zaczęła go wciągać na ciało.

Gdy głowa miała przejść przez materiał, zaczęły się problemy. Żona najprzystojniejszego kapitana MO nie poddawała się, parła z całą mocą. Głowa próbowała się przecisnąć przez bezlitosny materiał, który niewzruszenie opierał się atakom.

- Cholera jasna – skomentowała. – Za ciasne. Za mały otwór.

- Sto czterdzieści sześć złotych – zasyczał kapitan.

- Daj spokój. Zobacz, ile rzeczy kupiliśmy. Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że musiał się trafić jakiś bubel.

- W kapitalizmie byśmy dostali rabat za duże zakupy.

Halina popatrzyła na niego z ukosa.

- Od tego pobytu w Finlandii pomieszało ci się w głowie. Są tak postępowi, że niedługo też będą produkować szajs. Rajtuzy dla Andrzejka na pewno będą dobre – sięgnęła ku torbie, wyciągnęła rajtki i zaczęła ubierać syna.

Po chwili oczom zakochanych w jedynaku rodziców ukazał się osobliwy widok.

- Jezus Maria – skomentowała Halina. – Zdzisiek, uszczypnij mnie.

- Może źle włożyliśmy?

- No jak, gdzie? Jeden szew z przodu, dwa szwy na pupie. Włożyliśmy dobrze.

- Ale coś się nie zgadza. – Banasik wpatrywał się w syna i drapał się po głowie.

- No właśnie. – Halina zmrużyła oczy, po czym wyprostowała się i beznamiętnie orzekła: – Jedna stopa jest zrobiona normalnie, to znaczy do przodu, a druga idzie do tyłu.

Banasik zaczął gwałtownie sapać, czego Halina bardzo nie lubiła.

- Do diaska, nawet nie można tego włożyć tył na przód!

- Uspokój się kochanie. Po prostu pech. Spójrz na korzyści. Andrzejek ma piękne buty, kolorowe, lniane, z kwiatkami. Mamy suche pieluszki, które nie przepuszczają wilgoci. Zaraz te pieluszki włożę, synuś zaśnie, a my trochę poświntuszmy.

Argument o świntuszeniu okazał się koronnym. Zdzisław dał się udobruchać, a gdy dziecko zasnęło, Halina zrobiła wymowną minę. Mąż zareagował natychmiast, ale kiedy jego usta zbliżyły się do namiętnego

pocałunku, Halina odchyliła głowę i rzekła:

– Śmierdzi coś.

Banasik wciągnął powietrze w nozdrza.

– Masz rację. Ale co?

Oboje zaczęli chodzić po mieszkaniu. Zaglądali w różne zakamarki. Żona lustrowała rejon przedpokoju i łazienki, mąż zaś sprawdzał kuchnię i dwa pokoje.

– To chyba gdzieś z szafki z butami – powiedziała Halina.

– Nie. Ja czuję, że to od Andrzejka – odparł mąż.

– Nie, Zdzisiek, zobacz. Wyraźnie cuchnie z szafki. Nie umyłeś butów po bieganiu?

– Umyłem. Zawsze myję.

– Ale śmierdzi.

– Już wiem. – Banasik pochylił się wymownie nad śpiącym dzieckiem. – To jego nogi.

Halina obwąchiwała zawartość przedpokojowej szafki.

– To te buciki w kwiatki. Boże, jaka ohyda! Ale dlaczego? Co się stało? W sklepie nie śmierdziały.

– Zaczęły śmierdzieć, gdy włożyliśmy je na nogi Andrzeja.

– Może da się je jakoś przewietrzyć? Zanim zacznie chodzić, może minąć nawet i miesiąc. Albo nawet dwa.

– Halina, nie mamy balkonu.

– To na lufciku położę.

Do nastroju sprzed kilku minut żadne z nich nie potrafiło powrócić. Zasnęli. Obudził ich płacz syna. Sucha pieluszka okazała się mokra.

Rozdział 30



- Może w przyszłym roku uda się do tej Bułgarii jednak pojechać? - zastanawiała się Halina.

W Lesie Łągiewnickim było gwarno. Tłumy Łodzian kryły się przed sierpniowym słońcem. Niektórzy urządzali przejażdżki na rowerach, inni spacerowali, jeszcze inni leżeli na kocach. To i ówdzie słychać było odgłos otwieranych butelek z piwem lub oranżadą. Ktoś coś zaśpiewał, ktoś inny zabluźnił. Życie toczyło się wedle wakacyjnej normy.

- Puszczam go - zawołał przejęty kapitan.

Serce matki stanęło, by po chwili zabić z mocą Zygmunrowskiego dzwonu.

- Chodź! - ryknął dumny ojciec. - Chodzi sam! Bez mojej pomocy!

Andrzej zachwiał się, zerknął na ojca, potem na matkę. Lekko się zachybotał, ale wciąż kroczył po leśnej drodze.

- Trzeba uważać na rowerzystów, jeżdżą jak wariaci - powiedziała Halina, nie mogąc oderwać wzroku od utrzymującej pion progenitury.

- Za rok sam będzie rowerzystą. - Banasik klepnął się w kolana i zaśmiał. - Kupię mu taki rowerek z trzema kółkami.

Gdy wrócili do domu, było już prawie ciemno. Potężna wierzba, która rosła przed ich blokiem, gwarantowała rześkość w letnie dni. Halina zakrzętała się koło kolacji, a Zdzisław umył syna, który swój pierwszy spacer na własnych nogach odkupił wysokim wskaźnikiem umorusania. Kiedy wybiła dziewiąta wieczorem, zmęczony życiowym sukcesem Andrzej zasnął. Ojciec ułożył go w łóżeczku i pożądlawie zerknął na żonę. Halina odwzajemniła spojrzenie. Przez otwarte okna wpadał upojny zapach sierpniowej nocy. Romantyczny nastrój został jednak przerwany wwiercającym się w uszy dźwiękiem telefonu. Wściekły Banasik podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę.

- Mam nadzieję, że jeszcze nie śpicie.

Głos prokuratora zdawał się miły.

- Nie. Nie śpimy. - Zdzisław wyczerzył wszystkie siły, by swemu głosowi nadać naturalny ton.

- To dobrze. Dzwonię do was, towarzyszu, bo jutro z rana jadę do Bułgarii. Na wczasy. Nie mam maski do nurkowania. A słyszałem plotki, że wy taką macie. Bądźcie kolegą. Pożyczcie. Zrewanżuję się jakimiś cytrusami. Towarzysze z Bułgarii mają jednak cieplejszy klimat.

- Oczywiście - powiedział z ulgą Banasik. Był przekonany, że prokurator dzwoni w sprawach służbowych.

- A byłby towarzysz skłonny podrzucić tę maskę? Jutro o ósmej mam pociąg z Łodzi Kaliskiej.

- Tak. Nie ma problemu.

- Dziękuję, towarzyszu. Bardzo dziękuję, dobranoc.

- Dobranoc.

Banasik wyłączył wtyczkę z gniazdka i poszedł w stronę nagiej Haliny.

Rozdział 31



Na dworcu kaliskim panował rejwach. Na peronach kłębili się przedstawiciele klasy robotniczej, którzy dojeżdżali do swoich zakładów pracy z okolicznych miejscowości. W rękach dzierżyli teczki z drugim śniadaniem, pachnące kaszanką i salcesonem. Po wyjściu z pociągów zbiegali po schodach i gnali w stronę tramwajów oraz ogórkowatych autobusów. Robotnicy mieszały się z tłumem kolonistów. Część dziatwy jechała w góry lub nad morze, inni właśnie wrócili do włókienniczej metropolii. Młódź brykała, popychając się i wystawiając języki, a przejęci rodzice dawali ostatnie rady, ci zaś, którzy już odbierali pociechy z pociągów, komentowali poziom opalenizny. Kapitanowi zajęło dłuższą chwilę, nim precyzyjnie się przez różnokolorową cizbę i dotarł na peron trzeci, gdzie stał skład jadący do Warny. Rozemocjonowani podróżni poprawiali ułożone walizki i czule żegnali się z tymi, którzy przyszli ich pożegnać przed wakacjami życia. Zdzisław bacznie rozglądał się za sylwetką prokuratora. Drzewickiego nie zobaczył, za to jego uwagę zwrócił pochylony starzec, któremu pomagał we wchodzeniu do wagonu krótko obstrzyżony młody człowiek.

– To pan? – zapytał z głupia frant milicjant.

Starzec powoli odwrócił głowę, spojrzał na śledczego i zatrzymał się pośrodku schodów. Banasik skinał chłopakowi głową i sam wprowadził starszego pana na najwyższy ze schodków. Stanęli w kącie obok przeciskających się ludzi.

– Dziękuję. I dzień dobry – wystękał.

– Na wczasy do Bułgarii? – Banasik był mocno zdziwiony.

Staruszek sapnął i powoli odpowiedział:

– Się w życiu sprawiedliwie żyło i pan Bóg człowiekowi za ordynans zapłacił. W kwietniu przyszło dwóch ludzi. Się myślało, że z jakiego urzędu i że nękać będą, tak się myślało. Żle się myślało. Tych, co przyszło, to ze ZBOWiD-u przyszło. Przyszło i powiedziało, że mnie się też należy. Tych dwóch powiedziało, że Woźniak i Oraczewski powiedzieli, że jak u Horaka za Niemca różne dywersje się czyniło, to się pomagało. Znaczą się za moją sprawą się pomagało. Tych dwóch powiedziało, że się bohaterem było. Się od tych dwóch medal dostało.

Staruszek z dumą wskazał na błyszczący krzyż partyzancki przyczepiony do kłapy lekko wypłowiałej marynarki.

– Gratuluję – rzekł na to kapitan.

– A oprócz medalu dostało się zasiłek ze ZBOWiD-u. Tych dwóch powiedziało, że się mnie należało, że jak się we wojnę bohaterem było, to się należało. To jak się ten zasiłek dostało, to się pomyślało, że na stare lata by się kości wygrzeżało. Tak się zamarzyło. Żyło się przecież w tej swojej chałupie tyle lat. Obce kraje się zobaczy i stare kości wygrzeje. Jak wnuk był na przepustce z wojska, to się słuchało, jak on opowiadał, co się w Czechosłowacji przeżyło. Się wtedy pomyślało, że też by się wyjechało.

– No i się udało. – Banasik się zaśmiał.

Stary uśmiechnął się, pożegnał i ruszył w głąb pociągu. Zdzisław zaś skierował się do następnego wagonu. Minął wars i zobaczył machającego doń przez okno prokuratora.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. – Prokurator był bardzo wylewny.

– Nie ma problemu. Ja już jestem po urlopie.

– No tak. Przecież byliście w Helsinkach.

– Właśnie.

– Tak czy inaczej dziękuję. Naprawdę. Powiem wam, towarzyszu, że tacy jak wy to się na kamieniu rodzą. Ze świecą szukać.

Banasik w takich chwilach zawsze oblewał się rumieńcem.

– Aha, zapomniałbym – powiedział nagle Drzewicki. – Zwolniłem warunkowo tych dwóch, którzy siedzieli w celi z syjonistą, tym całym Szadkowskim. Przyjrzałem się ich sprawom dokładnie. Poszły do umorzenia. Dobry adwokat by ich bez problemu wybronił. Nie było podstaw do wzniesienia aktu oskarżenia. Może i trochę nabroili, ale żeby od razu do więzienia...? Sądy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają być ostoją sprawiedliwości, a nie jakąś reakcyjną inkwizycją. Teraz obaj są na wolności, ale sądzę, że jednak nie można im tak całkowicie ufać. Zadzwońcie do dzielnicowego Dziomdziory, niech ich odwiedzi, niech ich wezwie na komisariat. Niech wiedzą, że jesteśmy czujni.

– Tak jest.

- I jeszcze jedno, towarzyszu.
Prokurator zniknął na chwilę w przedziale, po czym na powrót wychynął.
- To dla was. Jako dowód uznania dla waszej zawodowej rzetelności.
W rękę Drzewickiego mignęła okładka. Banasik wyciągnął dłoń po prezent.
- Mam nadzieję, że nie czytaliście - powiedział prokurator.
Kapitan spojrzał na tytuł.
- Jeszcze nie miałem okazji.
- Przeczytajcie. Warto. Z towarzyszem Moczarem można się zgadzać bądź nie, ale jedno trzeba mu oddać. Talent do pisania ma. Jak dla mnie to bestseller. Ciekawy jestem, czy wam się to spodoba.
- Nie omieszkać przeczytać. - Banasik pokiwał głową, wpatrując się w egzemplarz Barw walki.
- No, to do zobaczyska. Ukłony dla małżonki. Nich się urwis dobrze chowa.
Kapitan podziękował i odszedł od okna. Pociąg drgnął. Prokurator pomachał na pożegnanie. Milicjant skonstatował, że po raz pierwszy zobaczył prokuratora ubranego w jaskrawą koszulę, a nie w szarą marynarkę.

Po południu Banasik nie wrócił do domu, tylko pojechał na Piotrkowską. Zbliżały się imieniny jego żony. Do dwudziestego czwartego sierpnia było jeszcze sporo czasu, ale kapitan jako mąż idealny lubił prezenty kupować zawczasu, robiąc dokładne rozeznanie w potrzebach Haliny i możliwościach rynku. Oboje lubili czytać i zawsze na imieniny kupowali sobie książki. Na gwiazdkę zresztą też. Banasik najczęściej kupował książki w księgarni na Piotrkowskiej, blisko skrzyżowania z Narutowicza.

- I co? Jest? - zagadnął znajomego księgarza.
Pracownik księgarni zrobił charakterystyczną minę, która oznaczała, że muszą pogadać na zewnątrz. Księgarz zabrał ze sobą paczkę papierosów, by uzasadnić konieczność opuszczenia stanowiska pracy. Poszli w stronę Grand Hotelu.

- Nie ma - odpowiedział lakonicznie i zapalił papierosa.
- Mówiłeś, że będzie.
- Ale nie ma.
- Na początku zeszłego roku Państwowy Instytut Wydawniczy zrobił plebiscyt na najpoczytniejszego pisarza w Polsce. Wygrał Steinbeck. Bezapelacyjnie.

- Mnie to nie dziwi.
- Ciebie nie, ale towarzyszy z SB ta wiadomość niepomierne zdziwiła, a nawet rozdrażniła.
- Dlaczego?
- Oj, Zdzichu, Zdzichu. Zabawny jesteś z tą swoją poczciwością.
- Bo jest Amerykaninem?
- Tak.
- Ale przecież to postępowy pisarz! Zacięty krytyk patologii systemu kapitalistycznego!
- Ciszej! Na Boga. Znam twórczość Steinbecka.
- To mów, o co chodzi.
- Chodzi o to, że postępowy to może i jest. Brandys o nim pisał, że nie jest przyjacielem Związku Radzieckiego, ale też nie jest jego wrogiem.

- Znam to zdanie.
- Żeby wygrać plebiscyt na najpopularniejszego pisarza w PRL, nie można być tylko postępowym. To za mało. SB zablokowało ogłoszenie wyników, ale sprawa wyciekła. Ludzie dopominali się wyników, pisali listy. No i ktoś tam coś chlapanął, ktoś inny ubarwił, wiesz, jak to jest, plotka poszła. Nie muszę mówić, co się zaczęło dziać. Istne szaleństwo. Co prawda Steinbeck zawsze sprzedawał się dobrze, ale to, co się stało w zeszłym roku...

- Kilka dni temu dowiedziałem się, że umarł...
- Podobno to, że w Polsce się nic o tym nie pisało i nie mówiło, to zemsta SB za ten wyciek.
- No dobra. Ale jest szansa, że załatwisz do dwudziestego czwartego?
- Będzie trudno, chyba że...
- Że co?
- No wiesz...

Banasik zawsze miał problem ze zrozumieniem tych wszystkich „No wiesz”, „Wiesz, jak to jest”, „Nie da rady, ale...”. Zawsze był zbity z tropu, gdy słyszał tego typu zwroty, szczególnie od ludzi zatrudnionych w sektorze usług i handlu. Teraz też nie był pewien, czy dobrze rozumiał. Był jednak tak zdeterminowany, że postanowił wystrzelić z grubej rury.

- Mam puszkę ananasów. Dużą puszkę. Prosto z Finlandii.
- Etykieta jest ładna?
- Bardzo ładna. Nietknięta. Nawet nie jest zarysowana.
- Wolałbym jakąś z angielskimi napisami...

- Są fińskie napisy...
- Jakichś ryb nie przywiozłeś z tej Finlandii?
- Przywiozłem. Dorsze w zalewie z ichnimi grzybami, które kiszą tak, jak my kisimy kapustę.
- O, widzisz. Brzmi ciekawie. Dorzucić dorsze do tych ananasów i może coś się znajdzie.
- Dobrze.
- No to jesteśmy dogadani.
- Jutro ci przyniosę.

Księgarz wiedział, że Banasik nie kłamie. Niewywiązanie się z umowy oznaczałoby koniec współpracy polegającej na chowaniu pod ladę książek co lepszych autorów. Wrócili pod księgarnię.

- Poczekaj tutaj – rzucił do milicjanta.

Pozostawiony przed witryną Banasik z ciekawością przyglądał się wystawianym nowościom. Koledzy i koleżanki jego kontrahenta uwijali się przy wykładaniu woluminów na wystawie.

- *Eschatologiczne poglądy gnostyków na przykładzie tekstów z Nag Hammadi*. Teodor Lepianka. Wydawnictwo Państwowy Instytut Wydawniczy – przeczytał głośno tytuł jednego z dzieł.

Po chwili obok książki pojawiła się kolejna, tego samego autora. *Wspomnienia z piekła Dachau*.

Na następne milicjant już nie patrzył, gdyż ze środka wyszedł amator fińskich dorszy.

- Odejźmy na bok – zakomenderował.

Banasik potulnie przespacerował wraz z księgarzem kilkanaście kroków.

- Masz. *Myszy i ludzie*, tak jak chciałeś.

- Dziękuję.

- Ucałuj Halinę i chłopaka.

Koneser postępowej literatury amerykańskiej wskoczył do tramwaju i zanurzył się w lekturze, bacząc uważnie, by nie zostawić śladów na przeczytanych stronicach. Tramwaj przejechał kilka przystanków i nagle gwałtownie się zatrzymał. Wściekły kapitan, który o mało nie wypuścił z ręki czytanego egzemplarza, syknął z wściekłości.

- Jak jedziesz, baranie!?! – zakrzyknął motorniczy w stronę kierowcy białego auta, które zajęło szynowemu pojazdowi drogę.

Banasik wyjrzał przez okno i dostrzegł, że w pobliżu znajduje się patrol drogówki. Milicjanci natychmiast zareagowali na wydarzenie, podeszli do syreny sto trzy i wezwali motorniczego. Tramwaj stał. Kapitan z każdą chwilą robił się coraz bardziej zdenerwowany. W pewnym momencie jego cierpliwość się skończyła. Wyszedł z pojazdu.

- Co jest? – zapytał surowym tonem Banasik, zwracając się do młodszych kolegów z MO i pokazując służbową legitymację.

- Kolidacja – wycedził sierżant.

- Przecież widzę, że nie procesja.

- Wiele się obywatel kapitan nie pomylił – odpowiedział sierżant. – Ten z syreny to ksiądz.

- Ksiądz?

- Tak. Stanisław Radkowski z Łasku. A właściwie spod Łasku. Twierdzi, że dostał zgodę na remont kościoła, czy tam na budowę nowego, i tak się ucieszył, że się zagapił i wjechał na torowisko.

- Nie możecie tamować ruchu. Wezwijcie motorniczego na komendę jako świadka, i już. Ofiar nie ma, nikt nie ucierpiał, zwyczajna kolidacja. Nie ma co tamować ruchu i utrudniać życia obywatelom.

Sierżant zasalutował. Po chwili tramwaj ruszył.

Epilog



Łódź, marzec 1968 roku

Na korytarzu szkolnym panowało istne pandemonium. O parkiet uderzały stopy w juniorkach, kapciach i innego rodzaju obuwiu dostępnym w uspołecznionym sektorze usług i handlu. Dzwonek wyrwał z klasowych kazamatów biczowanych wiedzą cierpiętników. Liberalna część ciała pedagogicznego traktowała dźwięk oznajmiający koniec lekcji dosłownie. Bardziej konserwatywna część belferskiego grona, a może bardziej czujna na froncie walki z ciemnogrodem i wstecznictwem, wychodziła z założenia, że dzwonek na przerwę jest dla nauczyciela, a ten na lekcję – dla ucznia. Ten fakt powodował, że dopiero w połowie pauzy harmider osiągał apogeum. Ryki mieszały się wrzaskiem, a wyzwiska z szeptem modlitw, które poprzedzały klasówki.

Dyżurująca na korytarzu nauczycielka, Barbara Kowalska, znała ten specyficzny hałas bardzo dobrze. Od ponad dziesięciu lat stała w falandze edukacji. Na jej tarczy zaschły hektolitry reakcyjnej posoki, na ostrzu włóczni – tkanki trafionych ciemnogrodzian. Pani Barbara była wierną i lojalną służebnicą świeckiego socjalistycznego państwa. Nigdy nie narzekała na kiepski żołąd. Nigdy nie sarkała na trudne warunki pracy. Była pierwszą w dziejach rodziny absolwentką wyższej uczelni. Na ołtarzu edukacji poświęciła swoje życie osobiste. Nie miała męża, nigdy nie miała kochanka. Jej rodziną była wspólnota szkolna. Obiady jadała w ramach syssitii. Była czujna i zawsze gotowa do działania.

Rzeczona czujność spowodowała, że pani Barbara wychwyciła w otoczeniu jakąś zmianę. Instynkt podpowiadał jej, że wróg wkroczył do Termopil. Korytarzowy harmider zagłuszał wszelkie inne dźwięki i zapewne każda mniej doświadczona w edukacyjnych bojach hoplitka dałaby się zwieść, ale nie pani Barbara. Nauczycielka nie widziała wroga, ale go wyczuwała. Jej mięśnie drgały w napięciu. Oczy zmieniły się w ślepią żbika. Wierna włócznia błyszczała w blasku rachitycznego marcowego słońca. Tarcza chroniła korpus. Pani Barbara ruszyła.

Wróg czaił się – tak jak zazwyczaj – w toalecie chłopców. Można by rzec, że chłopięcy kłopot był prawdziwym bastionem wrażliwych sił. To stamtąd wypelzały macki ciemnogrodu. Ale teraz wróg cuchnął inaczej. Nie śmierdział tytoniowym dymem, nie odrzucał odorem przepisanych zadań. Ten wróg gnił. Gnił moralnie. Wojowniczką stanęła metr od drzwi do ustępu. Jej serce waliło jak młotem. Czekwała w napięciu...

Tymczasem w jaskini wroga działały się dantejskie sceny. Centralne miejsce ubikacji zajmował chuderlawy blondyn, Stanisław Płatek. Po jego lewicy i prawicy stali rośli koledzy z siódmej A, nad Płatkiem wznosili się najwyżsi rówieśnicy. Ci, których gabaryty nie były imponujące, podskakiwali lub wspinali się na plecy kamratów. Najsprytniejsi próbowali wcisnąć się w ludzką gęstwę. Nastolatkowicie zbili się tak, że razem przypominali ogromną poczwagę. Potwór drżał, dyszał, jęczał, prychał, charczał, kwękał, jęczał, sapał, dygotał, miotał się, podskakiwał, wył i rzeził. Co chwilę wybuchał skowytami.

Spartanka wzięła głęboki oddech. Odgłos rywala, którego nie widziała, a tylko słyszała, przerażała ją, lecz także potęgował chęć walki. Decyzję podjęła nagle.

– Co tu się dzieje?!

Włócznia nauczycielskiego gniewu poszybowała i rozbiła zwartą ludzką bryłę. Potwór zachwiał się i rozpadł na atomy.

Na polu bitwy został Stanisław Płatek ze szwedzką gazetką pornograficzną w dłoni. W blasku słabego marcowego słońca połyskiwały jego żółte skarpetki ubarwione napisami: „ELA”, „ULA”, „ALA”, „OLA”. Po sekundzie zaskoczenia spartiatka opanowała się i potężnym zamachem ręki chwyciła jeńca za ucho. Płatek zawył. Wojowniczką odłożyła oręż i drugą ręką podniosła dowód zbrodni, tę szeleszczącą zachodnią zgniliznę.

– Idziemy do dyrektorki – syknęła – a wy jazda na korytarz!

Triumfalny marsz z jeńcem wzbudził uwagę działwy i na moment zapanowała cisza. Po chwili jednak znów było jak w ulu.

– No i świerszczyk poszedł do Żyda – powiedział z kwaśną miną najroślejszy z siódmoklasistów, Zygmunt Białecki.

– Chyba do Żydówki – sprostował Janek Karczewski i zaśmiał się.

– Do Żydów!

Nagle Karczewski wystrzelił jak z procy, dopadł do siedzącej na ławce koleżanki z klasy i mocno chwycił ją za ramiona.

– Wyrucham cię, Żydów! – wrzasnął Janek.

Chwilę później Marysia Żydek leżała na korytarzu, a Karczewski imitował kopulację. Rozedrgana masa chłopaków otoczyła dziewczynę i chłopaka ciasnym kółkiem. Do Karczewskiego dołączył repetujący klasę Białecki. Obaj chłopcy zaczęli odtwarzać trójosobowy układ erotyczny, który przed momentem widzieli na zdjęciach.

Było już ciemno. Na piecu buzował czajnik. Garnek z grochówką stał w kącie.

– Nic nie zjadłaś – oceniła poziom zawartości talerza babcia.

– Nie jestem głodna – odpowiedziała Marysia.

– Chleba też nie zjadłaś.

– Babciu, czy my jesteśmy Żydami?

Staruszka przeżegnała się i wypowiedziała magiczne zaklęcie.

– Jezus Maria, dziecko, co ci chodzi po głowie?

– Jesteśmy?

– W życiu! Jesteśmy porządną katolicką rodziną.

– To dlaczego tak się nazywamy?

– Jak?

– No tak, Żydkowie.

– A bo ja wiem? U mnie na wsi była taka rodzina. Nazywali się Pizdulki. Antoni Pizdulka i Aniela Pizdulka. W wiosce twojego dziadka, mojego męża, była rodzina Chujasów.

– Dokuczali im?

– Nie pamiętam. Pewnie jakieś żarty były. Tyle lat minęło... – Babcia machnęła ręką i już chciała wrócić do tematu zupy, gdy Marysia ścisnęła dłonie i z mocą zapytała:

– Ale dlaczego Żydek? Dlaczego właśnie tak?

– Nie wiem.

– Może ktoś z naszych krewnych...

Starsza pani natychmiast podniosła głos.

– Wypłuj to! Nic nie mów! Jesteśmy dobrą katolicką rodziną.

– To może kiedyś? Dawno temu? – Dziewczynka się nie poddawała.

– Nic o tym nie wiem – westchnęła starsza pani. – Nie zwracaj sobie głowy bzdurami. Idź do kościoła i się pomódl. Nazwisko jak nazwisko. Wolałabyś być Pizdulką?

Łódź, maj 1968 roku

Socjalistyczna edukacja kwitła, a buchająca zewsząd wiosna obudziła w pannie Krawczykównie potrzebę zorganizowania konkursu poetyckiego. Dopięła swego, konkurs się odbył, a wyniki zostały ogłoszone. Marysia Żydek z dumą patrzyła na kartkę ze swoim wierszem, upublicznionym na dużej tablicy przy wejściu. Nad wierszem wznosiły się dumnie zdjęcia wybitnych absolwentów placówki. Dziewczynka nie mogła oderwać wzroku od dyplomu informującego o tym, że to jej dzieło zdobyło największe uznanie jury.

– No i z czego się cieszysz, Żydówko?

Marysia usłyszała charkot Zosi, koleżanki z klasy.

– Żydowa i syjonistka – dodała Kasia, która również uczęszczała do siódmej A.

– Do Syjamu. Wypierdalaj do Syjamu! – Zosia wskazała na drzwi szkoły.

– Wypierdalaj z Polski! – Kasia także wskazała na drzwi.

Gdy Marysia nie zareagowała na zaczepki, postawna Zosia podskoczyła i zerwała dyplom laureatki.

– Pisać wiersze to możesz po syjamsku i żydowsku – wysyczała młoda Polka i rozerwała dyplom Marysi na strzępy.

Na majowym nabożeństwie były tłumy. Jak zawsze. Wonny dym mile łechtał nozdrza. Krzątający się przy ołtarzu ministranci, odziani w czerwone pelerynki, wyglądali jak pełgające ogniki. Nabożeństwo dobiegało

końca. Marysia wyszła po cichu z kościoła i stanęła przy drzwiach do zakrystii. Minęła dłuższa chwila, nim zjawił się ksiądz Chwaliszewski.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – zwróciła się do kapłana dziewczynka.

– Na wieki wieków.

– Czy możemy porozmawiać?

– Oczywiście – powiedział.

Ksiądz zmełł w ustach przekleństwo, a w myślach zbeształ się za okazanie słabości. Był głodny, ale przemógł się i wysilił na łagodny ton.

Poszli w stronę torów kolejowych, które biegły blisko świątyni. Marysia skubała warkocz. Kapłan nie ponaglał, choć popędzało go ssanie w żołądku.

– Dlaczego ludzie nie lubią Żydów?

Ksiądz westchnął.

– To trudne do wytłumaczenia. Polacy nie lubią Żydów, Żydzi Polaków. Polacy nie cierpią też Rosjan i Ukraińców. Ukraińcy nienawidzą Polaków. Jak to u sąsiadów... Ale przecież nie zawsze ludzie się tylko nienawidzą. Jeden z moich znajomych pochodzi z Wołynia. Byli na polu, gdy przybiegł do nich sąsiad Ukrainiec i powiedział, by uciekali, bo we wsi jest UPA. Uciekli tak, jak stali. Ten Ukrainiec dał im zapas żywności. Jak widzisz, w tych wzajemnych relacjach nic nie jest proste i jednoznaczne.

– Ale chyba Polacy Żydów bardziej nienawidzą niż Rosjan.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo u nas w klasie jest taki Marek Rusek i nikt mu nie dokucza. Może czasem, ale bardzo rzadko.

Ksiądz Chwaliszewski od razu zrozumiał problem.

– Za rok pójdziesz do liceum. Tam jest inaczej. Teraz chodzisz do szkoły z różnymi łobuziakami. Oni do liceum nie pójdą, bo się nie dostaną. Zresztą w liceum trzeba się uczyć. Zobaczysz, tam będzie inaczej. Nikt nikomu nie będzie dokuczać z powodu nazwiska.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Uszy do góry. Leć do babci na kolację, pewnie jesteś głodna.

Dziewczynka poszła do domu, a ksiądz pobiegł na plebanie.

Kiszki nie grały mu marsza, ale wręcz wygrywały jakieś niesamowite gitarowe solówki.

Łódź, czerwiec 1968 roku

Na przystanku kłębił się tłum. Czerwcowe słońko otwierało pory na skórze obywateli, którzy czekali na ogórkowaty autobus. Byli tam robotnicy, chłoporobotnicy oraz inteligencja pracująca. W blasku słońca migotały kolorowe koszule i barwne sukienki. W rękach szeleściły potężne szpalty „Głosu Robotniczego” oraz „Karuzeli”. Z każdą chwilą tłum gęstniał, tężał, dyszał, sapał, przeklinał i spajał się w mokry od potu socjalistyczny organizm. Marysia źle znosiła upań, a zapachowe skutki wysokiej temperatury przyprowadziły ją o zawroty głowy. By nieco odkleić się od mokrego ciełskatego słońca, stanęła na jezdni, tuż za piętami miała krawężnik. Z niecierpliwością spojrzała na ulicę, lecz jej oczom nie ukazał się upragniony widok autobusu. Za dziewczyną stały dwie kobiety w wieku balzakowskim. Do jej uszu docierały echa rozmowy.

– Stałam wczoraj u rzeźnika, ale tylko kaszankę udało mi się kupić – powiedziała ta odziana w niebieską sukienkę.

– To miałaś szczęście – odrzekła druga, w długiej białej sukni upstrzonej w wizerunki archaicznych samochodów z początku wieku.

Przez ulicę przemknął ryczący zaporoziec. Gdy hałas ustał, do uszu Marii dotarły dalsze słowa amatorki starych samochodów.

– Tydzień temu zaszłam do sklepu na Limanowskiego. Społem, wiesz gdzie. To był poniedziałek. – Przez chwilę się zastanowiła, czy aby to nie był wtorek. – Patrzą, kolejki nie ma. No to wchodzę śmiało. I aż mnie zatkało. Taki smród! – Mina opowiadającej wyrażała więcej niż tysiąc słów. – Na ladzie leżały nogi wołowe i mózg, w stanie płynnym, ma się rozumieć. Much tysiące. Już chciałam wyjść, ale sobie myślę: dosyć. W końcu jestem w partii, na Boga ojca. Zatkałam nos i mówię, a właściwie krzyczę, że chcę książkę zażaleń. Mówię tej łajzie, ekspedientce, że znam towarzyszkę Tatarkównę, że będę interweniować w komitecie miejskim. I wyobraź sobie, że ta flądra odpowiada mi bezczelnie, że towar oglądała już inspektorka z zarządu. I miała powiedzieć, ta inspektorka, że może ktoś jeszcze to kupić. Wściekłam się. Następnego dnia zajrzałam tam znowu. Wyobraź sobie, że to ścierwo cały czas tam leżało. W środę sklep był zamknięty, to poszłam w czwartek. Nie musiałam wchodzić, smród rozchodził się na ulicę. W piątek i sobotę cuchnęło już na rogu z Zachodnią. W następny poniedziałek wzięłam starego, w końcu jest ormowcem. Poszliśmy razem. Truchła nie ma, ale syf, owszem, jest. Mąż pyta, gdzie towar, pokazuje legitymację. A ta łajza mówi, że w lodówce. We wtorek został protokolarnie zutylizowany. Stary znowu pokazał legitymację i dzięki temu wiem, że komisyjnie

zniszczono dwadzieścia kilogramów płuczek wieprzowych i piętnaście kilogramów nerek. Tego mózgu to było trzydzieści kilogramów. Dasz wiarę? Takie marnotrawstwo.

Kobieta w niebieskiej sukience słuchała uważnie. Gdy przetrawiła wszystkie informacje, powiedziała:

– Mówisz, że mózg, nerki i płucka były wieprzowe?

– Tak.

– Ciekawe, kto jest kierownikiem tego sklepu. Bo to śmierdzi Żydem na kilometr. Sam nie zje, bo to niekoszerne, ale nam, Polakom, nie da.

– Znaczący się, że ten kierownik jest pejsaty?

– Syjonista.

Łódź, październik 1968 roku

Nad Łodzią zawisł potężny szary całun. Jesienna mgła utworzyła wraz z fabrycznym dymem szczelną kotarę. Idąca na plebanię Marysia pomyślała, że odziane w złote zbroje drzewa wyglądają jak szykujący się do snu śpiący rycerze. Jej buty stukotały po bruku, wydając przeraźliwy odgłos zagłuszany przez warstwę smogu. Było już ciemno. Z kościoła wychodzili ostatni wierni, którzy uczestniczyli w wieczornym nabożeństwie. Marysia weszła nieśmiało. Kościelny właśnie gasił świece. Chciał ją przegonić, ale pomyślał, że dziewczyna przynosi jakąś wiadomość od babki, która udzielała się w Bractwie Żywej Róży.

– Czy jest ksiądz Chwaliszewski? – zapytała dziewczynka.

Kościelny nic nie odpowiedział, tylko poszedł do zakrystii.

Po kilku minutach wyszedł stamtąd kapłan, już bez ciężkiego ornatu.

– Przyszłam się wyspowiadać, chcę się zabić – oznajmiła Marysia.

Ksiądz spojrzął na nią bacznie. Nic nie powiedział, jedynie wrócił do zakrystii i przekazał kościelnemu, by ten szykował się do domu.

Do uszu Marysi doszło zdanie, w którym duchowny informował pracownika parafii, że zamknie świątynię. Zostali sami.

Kościelny zaraz po wygaszeniu świec wyłączył oświetlenie elektryczne. W świątyni zrobiło się ciemno. Jarzyła się tylko chybotliwym światłem lampka przy tabernakulum.

– Dlaczego chcesz się zabić?

– Nie mam siły. Nie chcę dalej żyć.

Przeszli do nawy. Zatrzymali się przy pierwszej stacji drogi krzyżowej.

– Czy jak popełnię samobójstwo, to pójdę do piekła?

– Bzdura – zachnął się ksiądz.

– Ludzie tak mówią.

– Ludzie są głupi.

– Łatwo księdzu mówić.

– Zobacz. – Wskazał na obrazek ukazujący Jezusa stojącego przed obliczem Piłata. – Wiesz, co krzyczał tłum?

– Tak.

– I co? Dalej myślisz, że ludzie są mądrzy?

– To dlaczego są głupi?

Zrobili kilka kroków. Oprawcy zakładali Jezusowi krzyż na ramiona.

– Nie wiem. Myślę, że głupota jest nieodłącznym elementem zła. Nie ma zła bez głupoty. Zło jest głupie, bezmyślne. Zwróć uwagę, że grzech narodził się z głupoty. Ewa w raju miała wszystko, czego potrzebowała. Niczego jej nie brakowało, a jednak zgrzeszyła.

– Zgrzeszyła, a potem Jezus musiał za to cierpieć.

– Właśnie. – Ksiądz się uśmiechnął. – Lubię odprawiać drogę krzyżową. Męka Jezusa jest metaforą naszego życia. Jego przeznaczeniem było cierpienie za grzechy ludzi. Było mu to pisane od chwili narodzin. Nie mógł uciec. My też często nie możemy uciec. Niektórzy z nas dźwigają krzyż od urodzenia. Cierpią, chociaż niczego złego nie zrobili. Wiesz o tym dobrze.

– Pytałam rodziców, babkę, dalszą rodzinę. Wszyscy twierdzą, że od pokoleń jesteśmy katolikami.

– Może ktoś z twoich dalekich przodków kolegował się z Żydami? Może kochał Żydówkę? A może nie lubił wieprzowiny? Albo był skąpy? Jest takie powiedzenie: „Nie bądź Żyd”, czyli nie bądź skąpy.

– I przez to, że jakiś mój przodek był skąpy albo kochał się w Żydówce, ja teraz cierpię?

– Jak Jezus.

– Myśli ksiądz, że Jezus też się wściekał na Adama i Ewę?

– Możliwe. Może dlatego upadł pod krzyżem.

Przeszli do następnej stacji. Jezus leżał przywalony drewnianym balastem, a kaci chłostali go po plecach. Marysia pytała dalej.

– Miałam koleżankę, która nazywała się Niemiec. Nikt jej nie dokuczał. No, może czasami, ale rzadko. Czemu z Żydami jest inaczej?

– Bo są inni. Bo inaczej się ubierali, jedli wyłącznie koszerne potrawy, nie chodzili do kościoła, a do synagogi.

– I tylko dlatego?

Ksiądz nic nie odpowiedział. Poszli kilka kroków dalej.

– To chyba najbardziej przygnębiająca dla mnie stacja – rzekł kapłan. – Cierpiąca matka. Czasem wydaje nam się, że żyjemy w jakiejś próżni, że nikt się nami nie interesuje. Ale to nieprawda. Rodzice nas kochają. Nasze cierpienie jest dla nich cierpieniem stukrotnym.

– Myśli ksiądz, że świadomość, że rodzice nas kochają, zmniejsza cierpienie?

– Nie. Ale powoduje, czy też może powodować, że człowiek ma dla kogo żyć.

Przeszli do stacji, w której Szymon z Cyreny pomaga Jezusowi w dźwiganie krzyża.

– Mnie nikt nie pomaga – powiedziała dziewczyna – nie mam siły dalej dźwigać.

– Rozmawiałaś z babcią?

– Tak. Ale chyba mnie nie rozumie. Mówi, że jak jest mi źle, to powinnam iść do kościoła i się pomodlić. Jestem sama. Na swojej drodze nie spotkałam Szymona z Cyreny. Weroniki też nie spotkałam. Upadam pod krzyżem.

Poszli dalej. Minęli scenę, na której Święta Weronika ociera twarz Chrystusa z krwi. Na kolejnym obrazku Jezus leżał przywalony ciężarem drzewa. Jego twarz wyrażała bezgraniczny ból. Zrobili jeszcze kilka kroków i zatrzymali się przy kolejnej stacji. Obraz przedstawiał Jezusa, który pocieszał płaczące niewiasty.

– Nie mam siły nikogo pocieszać – rzekła dziewczynka i w milczeniu ruszyła dalej. Ksiądz szedł tuż za nią.

Przeszli do drugiej nawy i stanęli przed obrazem, na którym Jezus upadał po raz trzeci.

– Nie chcę dalej żyć. Nie mam siły.

Z tym etapem drogi krzyżowej sąsiadowała ilustracja, na której oprawcy zdzierali szaty z syna Marii.

– Wiem, co czujesz. Znam to uczucie.

– Ksiądz nie nazywa się Żydek.

– Nie muszę się tak nazywać. Ja jestem Żydem.

W kościele było tak cicho, że dało się usłyszeć syk gazowego płomienia, który rzucał blask na lico Jezusa uwiecznione na tabernakulum.

– Takim prawdziwym? – zapytała zdziwiona dziewczyna.

– Niezupełnie takim prawdziwym. Mój ojciec był chrześcijaninem. Mój dziad także. Mój pradziadek odszedł od judaizmu.

– To musiało być dawno.

– Sto pięćdziesiąt lat temu.

– No to chyba nie jest ksiądz Żydem.

– Dla wielu jestem. Zawsze byłem, byliśmy. Moja rodzina wywodzi się z Tarnowa. Pradziad ochrzcił się na początku dziewiętnastego wieku. Najpierw wyklęli go Żydzi, potem chrześcijanie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Wielu chrześcijan nie lubi takich ludzi. Przechrzta. Tak wołają. Na mojego pradziada mówili tak do końca życia. Dziad przeniósł się z Tarnowa do Gorlic. Myślał, że ucieknie od przechrzty. Nie uciekł. Ojciec postanowił pojechać dalej na wschód, do Lwowa. Urodziłem się tam.

– We Lwowie dali wam spokój?

– Na początku tak. Ojciec był dobrze wykształcony. Skończył uniwersytet. Ostentacyjnie nie kolegował się z Żydami, mimo że wielu z nich było wybitnymi studentami. Ożenił się z Polką, moją matką. Była gorliwą katoliczką, jak ojciec zresztą. Pamiętam, że każdej niedzieli chodziliśmy na mszę. W październiku na różaniec, w adwent na raty, w maju na majowe, w czerwcu na czerwcowe. Biblię znałem na pamięć. Modlitwa rano, modlitwa wieczorem. Przed modlitwą ojciec zawsze czytał mnie i siostrze teksty Ojców Kościoła. Czasem mnie to irytowało. Wolałem pójść do kina albo na mecz Czarnych. O tym, że jestem Żydem, dowiedziałem się w listopadzie tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Miałem siedem lat. Najpierw wybuchiły walki z Ukraińcami, a potem...

Ksiądz umilkł, Marysia spojrzała na niego, po czym przeniosła wzrok na wizerunek Jezusa na tabernakulum. Światło czerwonej lampki drgało niespokojnie, blask wykrzywił rysy Zbawiciela i nadawał im jakiegoś groteskowego wymiaru. Chrystus wyglądał tak, jak gdyby stworzyła go ręka dadaisty.

– Potem co? – zapytała Marysia.

– Potem był pogrom.

– Pogrom? Graliście w piłkę? – Dziewczynie słowo „pogrom” kojarzyło się z terminologią piłkarską.

Słowa Marysi setnie ubawiły Jezusowych oprawców, którzy na wizerunku zdzierali z niego przyodziewek. Tutaj nie sięgał blask lampki, za to padał rachityczny blask lampy ulicznej.

– Thum poszedł do dzielnicy żydowskiej. Szli wszyscy. Bogaci i biedni. Elity i batiary.

– Batiary?

– Tak się mówiło na lwowskich łobuziaków. Pamiętam ten dzień bardzo dobrze. Dwudziesty drugi listopada. Nie wiem, kto pierwszy rzucił hasło do ataku. Nie bardzo rozumiałem, co się dzieje. Pamiętam za to płonąca

kamienicę na Bożniczej. Bramę wyważono granatami. Potem ktoś podłożył ogień. Pamiętam atak na dom pana Baracha. Miał skład papieru na Dominikańskiej. Często tam chodziłem, żeby kupić kartki do rysowania. Ojciec nie był rad, bo twierdził, że kto kupuje u Żyda, ten zdradza Polskę. Pamiętam, jak z okna wypadali ludzie. Wszędzie trupy. Chaos. Koszmar. I nagle usłyszałem dźwięk fortepianu...

- Fortepianu? - zdziwiła się Marysia.

- Tak. Intuicyjnie poszedłem za muzyką. Tej sceny nie zapomnę do końca życia. Na parterze w jednej z kamienic na Żółkiewskiej była rozbita granatami ściana. We wnętrzu mieszkania siedział jakiś mężczyzna w ceratowej marynarce i grał na fortepianie. Na tamtej ulicy mieszkały żydowskie elity intelektualne, a na Akademickiej, która była jej przedłużeniem, mieszkały polskie... Ten człowiek grał poloneza A-dur Chopina. Tu obok, na fortepianie, jego koledzy gwałcili kilkunastoletnią dziewczynę. Pod ich nogami leżała zamordowana kobieta, pewnie matka tej nieszczęsnicy. Ci zwyrodnialcy wyli, dziewczyna błagała o litość, a ten w ceratowej marynarce grał.

Zrobili parę kroków. Na stacji jedenastej zwyrodnialcy przybijali Jezusa do krzyża. Marysi wydawało się, że Chrystus ma twarz kilkunastoletniej dziewczyny.

- Przeraziłem się - kontynuował ksiądz - pobiegłem do domu. Mieszkaliśmy na Akademickiej. Gdy wbiegłem do mieszkania, ojciec szykował się do wyjścia. Miał torbę doktorską, był chirurgiem. Krzyknął, żebym został w mieszkaniu. Powiedział, że nie lubi Żydów, ale jest lekarzem i katolikiem, a jego obowiązkiem jest ratowanie potrzebujących. Nie usłuchałem, pobiegłem za nim. Z Żółkiewskiej ojca przegonili. Nie chcieli słuchać, że przyszedł ratować rannych. Pobiegł na Kazimierzowską, ja za nim, z tyłu, nie widział mnie. Na ulicy leżała jakaś ranna kobieta. Ojciec się pochylił i chciał ją opatrzyć. I wtedy jeden z morderców krzyknął na ojca: „Przechrzta!”. Najpierw dźgnął go bagnetem, a potem zabił kobietę.

Maria przełknęła ślinę i zerknęła na następną stację. Martwy Jezus miał opuszczoną głowę. Nad nim widniała tabliczka z napisem INRI. Ksiądz mówił dalej.

- Po śmierci ojca matka sprzedała mieszkanie. Przenieśliśmy się do Warszawy. Duże miasto. Inny zabór. Skończyłem szkołę. Poszedłem do seminarium. Zostałem księdzem. Był rok czterdziesty trzeci albo czwarty. Może czterdziesty drugi? Nie pamiętam konkretnie. Pamiętam natomiast ten jeden dzień. Był październik, pogoda taka jak dziś. Na plebanię przyszedł człowiek. Powiedział, że wie, że jestem przechrzta. Opłacałem mu się do końca okupacji. Na szczęście wierni co tydzień wrzucali na tacę.

- Nie jestem tak silna jak ksiądz.

Na przedostatniej ciału Jezusa było zdejmowane z krzyża.

- Moja starsza siostra nie wytrzymała - mówił Chwaliszewski. - Rok po pogromie się powiesiła. Mieszkaliśmy już w Warszawie. Modłę się za nią każdego dnia.

Na ostatniej stacji trup trzydziestotrzyletniego obrzezanego Żyda był składany do grobu.

- Jak ja się zabiję, to ksiądz też będzie się za mnie modlił?

- Będę.

Łódź, luty 1971 roku

- Myślisz, że ten Gierek spełni obietnice?

Siedzieli przytuleni i patrzyli się w srebrny ekran telewizora. Miler obiecywał, że załatwi radzieckiego rubina, ale Banasik nie był przekonany, czy warto inwestować w kolorowy telewizor.

- Zobaczymy - odpowiedział żonie.

- Zgłosiłeś reklamację w uniwersalu?

- Tak.

- No i co?

- Nie przyjęli.

- Jak to nie przyjęli? Przecież to futro nosiłam raptem parę razy i już się wytarł cały przód.

- Powiedzieli, bym odesłał do producenta albo do Zjednoczenia Domów Towarowych w Warszawie.

- Myślisz, że odpowiedzą?

- Myślę, że nie.

Posłowie



Opisany w książce przypadek miał miejsce w rzeczywistości.

Ale nie w roku 1968, tylko trochę później. W Łodzi. Tym specyficznym mieście, gdzie, jak ktoś kiedyś powiedział, wszystko jest *bardziej*.

Oczywiście zmieniłem personalia dziewczynki. Uparci i wytrwali odnajdą jednak ten przypadek w annałach łódzkiej historii.

Tworząc opowieść o Łodzi z końca lat sześćdziesiątych, korzystałem z wielu pozycji książkowych. Szczególnie polecam zbiór źródeł zatytułowanych *Marzec 68 w Łodzi* pod redakcją Sławomira M. Nowinowskiego. Wiele cennych materiałów czytelnik znajdzie także w książce *Oblicza Marca*. Znakomity materiałem poznawczym są publikacje Krzysztofa Lesiakowskiego: *Opozycja i opór społeczny w Łodzi 1956-1981* oraz biografia przywódcy frakcji tak zwanych partyzantów, *Mieczysław Moczar „Mietek”. Biografia polityczna*. Innymi książkami, w których można poznać specyficzny klimat Marca, są relacje uczestników opozycji demokratycznej w Łodzi – *Niezależność kosztuje najwięcej* pod redakcją Leszka Próchniaka – oraz biografia Stefana Türschmida zatytułowana *Cień Lucyfera*. Szereg ciekawych informacji znalazłem w książce *Zgody nie wyrażono: problem budownictwa sakralnego w diecezji łódzkiej 1945-1989* oraz w zbiorze artykułów *Władze komunistyczne wobec Kościoła katolickiego w Łódzkiem 1945-1967*. Zagadnienia ogólne dotyczące relacji państwa z Kościołem w latach 1954-1989 można znaleźć w wielu publikacjach profesora Antoniego Dudka, takich jak: *Państwo i Kościół w Polsce 1945-1970 czy Komuniści i Kościół w Polsce* (współautor – R. Gryz). Ciekawą publikacją jest też *Antymilenium. Konflikt państwa z Kościołem* autorstwa Bartłomieja Noszczaka. Cennym źródłem wiedzy o mechanizmach sądownictwa PRL jest pozycja Krzysztofa Madeja pod tytułem *Bezradność lub represja. Władze wobec przestępczości gospodarczej w PRL (1956-1970)*.

Tematy muzyczne warto zgłębić, zapoznając się ze wspomnieniami Wojciecha Frankowskiego: *Moja Pietryna nocą* oraz *Kolumb odkrył Amerykę, a łódzcy muzycy Finlandię*. Kopalnią wiedzy o łódzkiej scenie rockowej jest publikacja Dariusza Postolskiego.

Korzystałem również między innymi z książki Kazimierza Imielińskiego – *Seksuologia społeczna: zagadnienia psychospołeczne* – oraz Juliana Godlewskiego – *Życie płciowe człowieka: fizjologia, psychologia, socjologia*. Interesujące informacje znalazłem w prawnocarnej problematyce samobójstwa Andrzeja Wąska. Przyczynkiem do poznania dziejów łódzkich Żydów po 1945 roku może być książka *Na rozdrożu: Żydzi w powojennej Łodzi 1945-1950*.

Korzystałem także z ówczesnej prasy („Głos Robotniczy”, „Trybuna Ludu”, „Odgłosy”, „Karuzela”).

W książce oddałem też hołd filmowej Łodzi. W tekst wplotłem dialogi z *Muchotłuka* w reżyserii Marka Piwowoskiego¹. Akcja tej etiudy filmowej rozgrywa się w jednej z łódzkich knajp...

Patologie socjalistycznej gospodarki opisałem, bazując na znakomitym zbiorze źródeł z epoki pod tytułem *Listy do Przyjaciółki*.

¹ Rozdział ósmy.